

Spis rzeczy, na które czekamy w **2011** roku

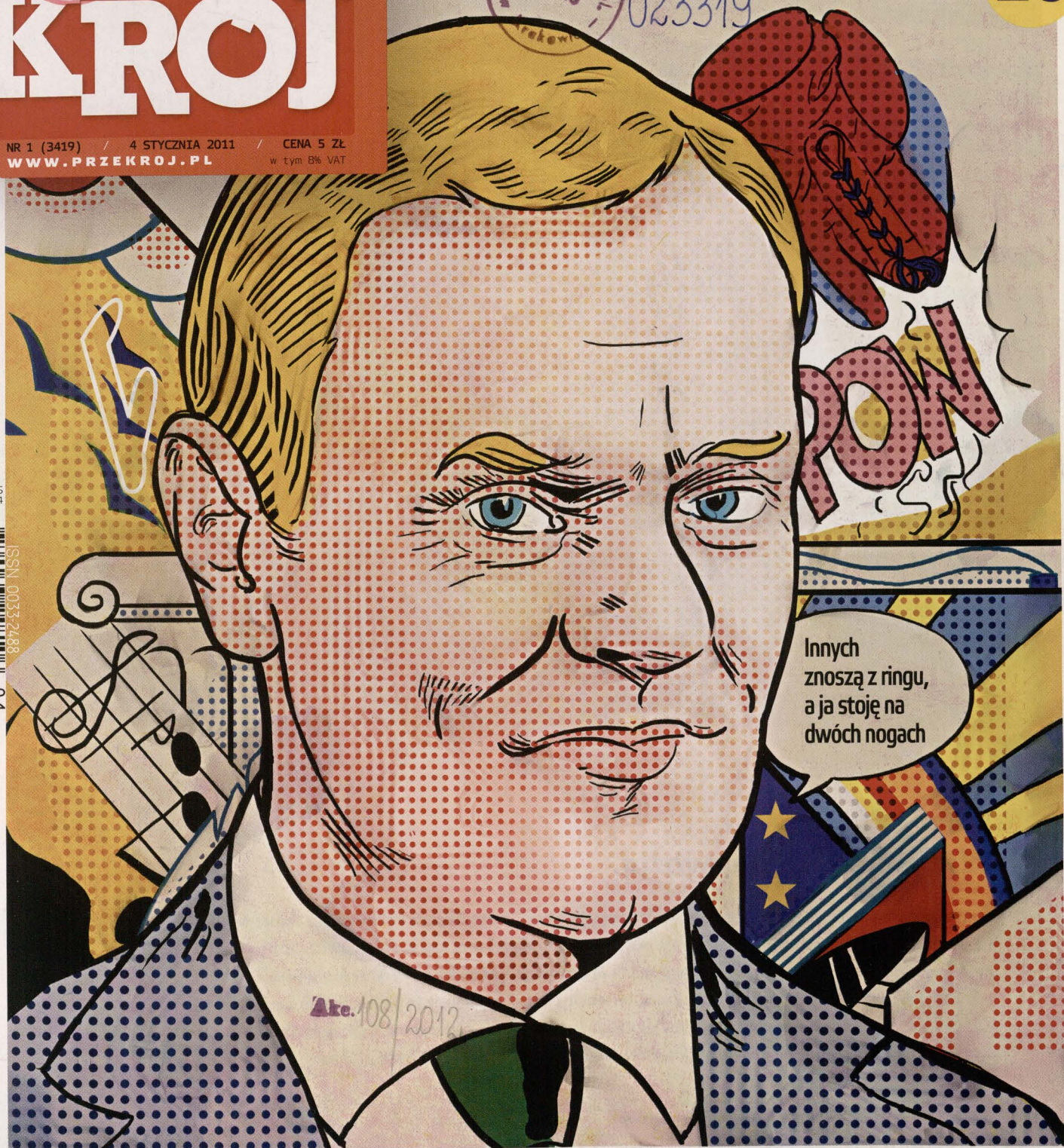
PRZE KROJ

Tusk: Kto mnie znokautuje?

Wywiad z premierem na nowy rok

10

NR 1 (3419) / 4 STYCZNIA 2011 / CENA 5 ZŁ
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



INDEKS
371424

9

770033 248106

0 1

ISSN 0033-2488

0 1



**SAM PARKUJE, ZAPOBIEGA ZDERZENIU, WYKRYWA ZMĘCZENIE.
TYLKO PRZYJEMNOŚĆ JAZDY MUSISZ WZIĄĆ NA SIEBIE.**

Nowy Passat. Wszystko jest innowacją.

W nowym Passacie znajdziesz wszystkie najbardziej innowacyjne rozwiązania Volkswagena. Zwróć uwagę na system wykrywający zmęczenie kierowcy, aktywny tempomat z Front Assist, automatycznie utrzymujący bezpieczną odległość od poprzedzającego pojazdu oraz funkcję hamowania awaryjnego w mieście. Przekonaj się, jak wiele daje system Light Assist, automatycznie zmieniający światła drogowe na mijania tak, by nie oślepić innych kierowców. Sprawdź, jak działa Park Assist nowej generacji, parkujący równolegle i prostopadle do osi drogi. Poznaj wszystkie innowacje Passata. Umów się na jazdę próbną.



Das Auto.



ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA
REDAKTOR NACZELNA



ORBITA PRZEKROJU

JAN HARTMAN

Noworoczne postanowienia

Mój stosunek do Polski wynika z mego stosunku do formy – pragnę uchylić się Polsce, jak uchylam się formie, pragnę wzbić się ponad Polskę, jak ponad styl – i tu i tam, to samo zadanie” – ten fragment z „Dzienników” Gombrowicza nie opuszcza mnie od dnia premiery spektaklu Mikołaja Grabowskiego w Teatrze IMKA. Z perspektywy roku to wszystko, co wydarzyło się w polityce, wydaje się snem wykreowanym na potrzeby teatru. W zderzeniu z katastrofą smoleńską daliśmy się złapać w obręcz romantycznej formy, Wawel odżył jako święta nekropolia, trumny rządzą. Zmarli, którym należy się wieczne odpoczywanie, ciągle są wygrzebywani przez polityka, który nie jest już tylko politykiem, ale przede wszystkim człowiekiem dotkniętym śmiercią brata. Chciałoby się postanowić w nowym roku: dajmy mu spokój. Nie nagłaśniajmy kolejnych odebranych od realiów pomysłów. Ale czy to możliwe, że my, dziennikarze, nie będziemy komentować każdej głupoty polityków? Gdybyśmy wszyscy spróbowali, nie zważając na oglądalność, sprzedaż, może by się udało?

Kiedy myślę o tym, jak próbujemy budować swe miejsce w świecie, kiedy pomyślę o prezydencie Komorowskim, który przekonywał Obamę, że gdy mężczyźni idą na polowanie, ktoś musi bronić kobiet i dzieci, znowu odzywa się Gombrowicz. W spektaklu Grabowskiego ucharakteryzowany na sumiastego Polaka aktor mówi: „Czytam Sienkiewicza. Dręcząca lektura. Mówimy: to dosyć kiepskie, i czytamy dalej... Potężny geniusz i chyba nigdy nie było tak pierwszorzędnego pisarza drugorzędnego... Sienkiewicz, ten magik, uwodziciel, wsadził nam w głowy Kmicica wraz z Wołodyjowskim oraz panem Hetmanem Wielkim i zakorkował... To zaszpuntowanie naszej wyobraźni sprawiło, że wiek ten przeżywaliśmy jak na innej planecie i niewiele z myśli współczesnej przenikało w nas”. Grabowski dostaje szczególne wzmocnienie tej sceny. W pierwszym rządzie podczas premiery siedzi prezydent Komorowski z żoną.

Drugie postanowienie brzmi zatem: politycy, nie przenoście nas w XIX wiek. Nie wypychajcie w sytuację, gdy odtańczywszy krakowiaka i odśpiewawszy „Rotę”, już do końca świata będziemy powtarzać, że wydaliśmy Chopina i Mickiewicza, a Konstytucja 3 maja była postępową. Wszystko prawda, ale czy na tym można budować politykę nowoczesnego kraju?

Donald Tusk radzi w „Przekroju”: jeśli pojawi się polityk z wizją, trzeba go przegonić. A może wizję, której tak boi się premier, wystarczy zastąpić realną perspektywą, bo przecież nie umiemy, więcej, nie chcemy żyć wyłącznie z dnia na dzień. Trzecie noworoczne postanowienie brzmi zatem: gońmy polityków uprawiających politykę tylko dla polityki. Pytajmy, jak widzą kraj za kilka lat? Na co konkretnie stawiają?

I wreszcie czwarte, najtrudniejsze postanowienie:

- Poniedziałek nie tylko Ja.
- Wtorek nie tylko Ja.
- Środa

Takie dobre prorocstwo

Czeka nas dobry rok! Wszak ten, który minął, był dla Polski smutny i zły, ale po nocy przychodzi dzień, po deszczu pogoda. Swoje odcierpieliśmy w roku 2010 – katastrofę smoleńską, powodzie, społeczne konflikty – więc już czas na lepszy czas. A skoro w dodatku rozpoczynamy nową dekadę, to i nadziei noworocznej w nas jakby więcej niż zwykle.

W dobrym, spokojnym 2011 roku będziemy stolicą Europy. Bylibyśmy przetrwali zimę – ale to zawsze nam się udaje. Za to już od wiosny zjeżdżać się do nas będą wielcy dygnitarze i skromni urzędnicy, niepewnie testując nasze hotele i cateringi, a gdy wybije już godzina naszego przewodnictwa w Unii, wkrótce okażemy się lepsi od sąsiadów godność tę pełniących przed nami. Nasz premier będzie „Mr Europa”, a my pocujemy powiew wielkiej polityki. Kto wie, może przyjedzie do nas sam prezydent Obama?

Nie dość na tym. Jesienią będą wybory, które pokażą, że jesteśmy spokojnym krajem, bo zmieni się niewiele – ot, odrobinę mniej prawicy i odrobinę więcej lewicy w parlamencie, jak to bywa w solidnym europejskim państwie. Solennie nudna polityka pozostawi więcej miejsca dla innych spraw. Z dumą obejrzymy nowy Stadion Narodowy, a przygotowania do Euro 2012 będą szły pełną parą, za co poklepie nas po ramieniu sam Michel Platini.

Wiosna przyjdzie wiosną, a lato będzie ciepłe, lecz bez suszy. Większe powodzie nam nie grożą, zaledwie lokalne podtopienia. Złoty będzie się umacniać, konsumpcja będzie rosła, podobnie jak PKB. Eksport i inwestycje zagraniczne pójdą w górę, a rząd obieca, że już wkrótce będą reformy. Będziemy kochać naszego prezydenta, a ci, którzy akurat wola go nienawidzić, będą wołać: „Hańba!”. Przylecą bociany, a potem odlecą. Będzie Wielkanoc i dożynki. Wszystko jak należy. A na świecie? A na świecie będą wojny i kryzysy, katastrofy naturalne i nienaturalne. Jak zwykle.

Dobry polski rok 2011 – nic szczególnego się nie wydarzy, ale będzie miło i przyjemnie. Wolno w to wierzyć, bo jesteśmy dziećmi szczęścia. Żyjemy w wolnym, względnie zasobnym kraju. Ogromna większość ludzi na tym świecie nie może tak o sobie powiedzieć. Strasznie więc nam się udało, ale też sami swemu szczęściu dopomogliśmy. Po stuleciach nieszczęść i katastrof. Nauczmy się teraz doceniać szczęście i smakować to swobodne, spokojne życie. Nie dajmy go zniszczyć awanturnikom i nienawistnikom – pocujmy się narodem ludzi wolnych i wolność miłujących, tolerancyjnych, racjonalnych i uczciwych. Rok 2011 – rok zadowolenia i dumy narodowej bez mitomanii, kompleksów i ksenofobii. Pierwszy rok dorosłości nowej, liberalnej Polski: jeszcze protekcyjne uśmiechy, ale już i męskie rozmowy. Fajnie być Polakiem!

Autor jest profesorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego

W TYM TYGODNIU

- 7 Świat według „Przekroju” Katarzyny Janowskiej i Orbita „Przekroju” Jana Hartmana
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

PRZĘDE WSZYSTKIM

- 10 O Jarosławie Kaczyńskim nie myśl, bo przeprowadza rewolucję. Rewolucję cichych kroków. Z premierem Donaldem Tuskiem rozmawiają Katarzyna Janowska i Marek Zajac
- 16 W nowym roku nowym dzieciom państwo obiecuje żłobki słodkie jak marzenia Puchatka – o żłobkach utopkach Anna Szulc
- 20 Sudan podzielony na dwa to jeszcze mniej pokoju w Afryce. Co z tym fantem zrobi świat – zastanawia się Maciej Jarkowicz
- 22 Na półmetku pierwszej prezydenckiej kadencji Barack Obama zachowuje się tak, jakby drugiej miało nie być – pisze Rafał Kostrzyński
- 24 Krótko

ROZMOWA PRZEKROJU

- 26 Magda Jethon zdradza Grzegorzowi Miecugowowi, za co kocha Trójkę

NA CO CZEKAMY

- 30 Na koncert Coldplay na Open'erze? Oczywiście też. Ale przede wszystkim chcemy, żeby w końcu było inaczej, lepiej, ciekawiej niż w zeszłym roku. Żeby w końcu zaczęło się dziać. W każdej dziedzinie życia. Zaplanować tego, rzecz jasna, się nie da, ale z już zaplanowanych wydarzeń można wybrać te najbardziej inspirujące. Nasz przewodnik przez 2011 rok

OD AUTORÓW



Karolina Pasternak

Od Cezarego Pazury nie chciałam usłyszeć nic śmieszniejszego. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego po tak świetnie zapowiadającym się aktorze pozostało nienasyconie? Nie obyło się bez bolesnej wycieczki na „13. posterunek”, ale chłopaki nie płaczą. Aktor jest tylko facetem do wzięcia – stwierdził Pazura (s. 46). Czy jego debiut reżyserski pod tytułem „Weekend” będzie frekwencyjnym kilerem, okaże się już 6 stycznia.

Marcin Sendek

Na co w roku 2011 z niecierpliwością czekamy? Na co ostrzyjemy sobie zęby (i klawiatury)? Wydarzeń będzie jak zwykle bez liku, a nasz wybór – te wyczekiwane najbardziej – znajdują Państwo na stronach 30–36. Niektóre są ważne niejako z urzędu, innym sami chcemy nadać wagę i apelować, by ich nikt nie przeoczył. Tak czy inaczej, będzie się działo. A o tym, jak będzie się działo, przez cały rok będziemy pisać w „Przekroju”.

CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 41 Lepiej znać kilka języków obcych po łebkach niż jeden perfekcyjnie. Absurd? Niekoniecznie. W rozmowie z Olgą Woźniak przekonuje o tym metodyk języka angielskiego doktor Grzegorz Śpiewak
- 44 Da Vinci pomaga naszym chirurgom operować precyzyjnie jak nigdy dotąd. O robocie na sali operacyjnej Milena Rachid Chehab
- 45 Korzystaj z komputera

KONIEC Z KULTURĄ

- 46 Cezary Pazura w rozmowie z Karoliną Pasternak przekonuje nas, że jego film zdobędzie Oscara. Pożyjemy i raczej nie zobaczymy
- 50 Chopina pomnik z rysą, czyli Adam Suprynowicz i Michał Mendyk krytycznie o obchodach roku wielkiego kompozytora
- 53 Nie możecie się doczekać nowych płyt Daft Punk czy Grizzly Bear, biegnijcie do kina. To właśnie tam coraz częściej można usłyszeć gwiazdy alternatywy
- 54 Lektura: Małgorzata Sadowska rozmawia ze Swietlaną Aleksijewicz. O człowieku radzieckim

OTWÓRZ OCZY

- 58 Leci, leci i przestać nie zamierza. Sonda Voyager 1 pokonała już 16 miliardów kilometrów. Robi wrażenie, prawda? U nas kilka zdjęć z tej wyprawy

RECENZJE

- 64 Film: Kałużyński zachwycił się Tamarą
- 65 Muzyka: Szubrycht znalazł na stoliku wielką płytę
- 66 Książki: Sendek padł na kolana przed prozą Wołaczka
- 67 Teatr: Drewniak odnalazł „czarnego Gombrowicza”



ADRES REDAKCJI:
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,
www.przekroj.pl
e-mail: redakcja@przekroj.pl
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:
Katarzyna Janowska
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:
Marek Zajac
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
SEKRETARZ REDAKCJI:
Magda Gędziorowska, Piotr Witek
SEKRETARIAT:
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZĘDE WSZYSTKIM:
wydarzenia@przekroj.pl,
Paweł Wiczorek (szef),
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),
Agnieszka Fiedorowicz,
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,
Anna Szulc, Donat Szyller,
Małgorzata Święchowicz,
Joanna Woźniak-Czczott;
stałe współpracuje Agata Jankowska
CYWILIZACJA OD ŚRODKA:
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski (szef),
Milena Rachid Chehab,
Olaf Szewczyk; stałe współpracuje:
Irena Cieślińska, Urszula Dąbrowska,
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ:
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),
Marcin Sendek (zastępca szefa),
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk;
stałe współpracuje: Kuba Dąbrowski,
Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz,
Mariusz Herma, Anna Jastrzębska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk;
stałe współpracuje Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:
Władysław Buchner (wicedyr. art.),
Agnieszka Kwiatkowska,
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
FOTOEDYCJA:
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),
Marek Szczepański; stałe współpracuje
Anna Bajorek
KOREKTA:
Dorota Dul, Tatiana Hardej
PROJEKT GRAFICZNY:
Kasper Skirgajło-Krajewski
STRONA INTERNETOWA:
Marcin Cichoński
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBRÓBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE
DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski



Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa,
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:
Grzegorz Hajdarowicz
PREZES WYDAWNICTWA:
Jan Godtowski
DYREKTOR WYDAWNICTWA:
Sławomir Mokrzycki
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:
Artur Rumianek
PROMOCJA I MARKETING:
promocja@przekroj.pl,
Agata Stremiecka (szef),
Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY:
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek
– dyrektor, tel. 22 525 99 17,
Grzegorz Makowski tel. 22 525 99 16,
Agnieszka Pawelec tel. 525 99 15,
Małgorzata Skorupa tel. 22 525 99 18.
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:
Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley

PRENUMERATA
PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto:
Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,
ul. Nowogrodzka 47 a,
00-695 Warszawa, Alifor Bank SA
80 2490 0005 0000 4600 1542 1792
i wysłać dowód wpłaty faksem:
22 525 99 88 lub e-mailem:
prenumerata@przekroj.pl.
Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej
– 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł.
Informacji udziela Dział Dystrybucji
tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez
Ruch SA – RUCH SA prenumerata
krajowa – 804 200 600, prenumerata
zagraniczna – (+48) 22 532 88 16;
22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 Kroniki popkultury Orbitowskiego
- 68 Rozmaitości z krzyżówką, jolką, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi rzeczami Salwy i kuchnią Gesslera
- 72 Dziennik Jerzego Pilcha
- 73 Stopkiatka
- 4, 24, 74 Raczkowski



Ilustracja na okładce: Rafał Piekarczyk
<http://piekarczyk.blogspot.com/>

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

rys. Barbara Sadowska (3) na podstawie zdjęć Marka Szczepańskiego (2) i Mateusza Nasternaka dla magazynu „Majmelen”
rys. Katarzyna Leszczyńska-Suminska na podstawie zdjęć Marka Szczepańskiego i Wojciecha Matusiaka/AG



Wszystkich znokautowałem

Do Pałacu Prezydenckiego się nie wybiera, następcy nie wychowuje, robi swoje, czyli rewolucję cichych kroków. Pół żartem, pół serio **DONALD TUSK** zapowiada, że czekają go jeszcze dwie kadencje premiera i szefowanie Komisji Europejskiej. A potem to już tylko emerytura

ROZMAWIAJĄ KATARZYNA JANOWSKA I MAREK ZAJĄC

Co pan sądzi o Jarosławie Kaczyńskim?

- Nic.

W ogóle pan o nim nie myśli? Pomijając wszystko inne, przecież grozi panu procesem.

- Jakby powiedział polski pisarz: nie jestem taki głupi, żeby coś sądzić albo czegoś nie sądzić.

Profesor Wnuk-Lipiński mówił w wywiadzie dla „Przekroju”, że prezes PiS stworzył religię, a religia to możliwość manipulacji emocjami wyższymi. To zaś grozi tym, że w 2011 roku może wyprowadzić ludzi na ulice. Taki scenariusz budzi pana obawy? Jest możliwy?

- Nie. Kiedy tworzyliśmy Platformę, przede wszystkim chcieliśmy normalności w naszym kraju. Ale, jak wiemy, w każdej normalności istnieją też skrajności. I nie jest to paradoks. Pamiętam publiczną debatę z udziałem Pawła Śpiewaka, który zadał mi pytanie, czy nie boję się, że w Polsce odrodzi się antysemityzm. Powiedziałem: człowieku, a po co my to wszystko robimy? Będą i antysemici, i twardzi populiści, a i chamów będziemy w polityce spotykać. Oprócz tego będą sekty polityczne i ludzie owładnięci żądzą odwetu albo nienawiścią. To wszystko będzie się w Polsce zdarzać. Ale z tego nie wynika, że trzeba drżącym głosem przepowiadać katastrofy, które w związku z tym muszą się pojawić. Nie. Trzeba robić wszystko, by normalni ludzie umieli bronić tego, co ważne. Żeby nie byli słabsi ci, którzy nie mieli siły, a czasem odwagi, by bronić tej zwyczajnej normalności, w której nie pogardza się inteligentem, a przedsiębiorca nie jest zagrożony ciągłymi zawirowa-

niami politycznymi. Platforma rządzi między innymi po to, by oni nie czuli się bezradni.

A jak to się ma do Jarosława Kaczyńskiego?

- Moim zadaniem jest dać alternatywę tym rodakom, którzy obawiają się namiętności kierujących Kaczyńskim. Nie chcę natomiast włączać się do chóru tych, którzy mówią: o Jezu, co oni nam zrobią? Odpowiadam: nic nie zrobią, póki jest alternatywa, i to silna.

Przez publicystykę - i to wcale nie propisowską - przewija się teza, że polskie życie publiczne nigdy nie wyjdzie z bezsensownego klinczu, dopóki ze sceny politycznej nie zejda i Kaczyński, i Tusk.

- Jest taka teza.

Wybiera się gdzieś pan premier?

- Właściwie można by uznać przywołaną opinię za komplement. Jesteśmy dużym europejskim krajem i gdyby rzeczywiście cała polityka w Polsce zależała tylko od dwóch polityków, to wbiłbym się w dumę. Ale tak nie jest, ja w to nie wierzę. Po pierwsze, problemem nie jest ani Kaczyński, ani Tusk. Tu grają emocje, interesy milionów ludzi, którzy wyznają określone poglądy. Nie będzie Jarosława, będzie ktoś inny. Stan rzeczy na pewno nie jest związany - jak czasem widzą to publicyści - z pojedynkiem dwóch politycznych gigantów. Dziś większość społeczeństwa, ta raczej umiarkowana, liberalna i mieszczańska, po prostu znalazła partię, która jest skuteczna. I Bogu niech będą dzięki. A niektórzy komentatorzy zwyczajnie szukają ekscytujących, prostych rozwiązań. →



→ **Ten rok nie był nudny, proszę nam wierzyć.**

– Niektórzy nudzą się tym, że nic nie wskazuje, by jakoś radykalnie zmienił się układ sił w polityce.

Niedawno Bronisław Wildstein opublikował tekst o tym, że – trawestując Tocqueville'a – grozi nam tyrania większości: wasz prezydent, wasz premier, wasz samorząd i pewnie wasz parlament w 2011 roku. Również wyborcom może wydawać się niebezpieczne czy irytujące to, że jedna opcja ma wszystko.

– Nie sądzę, żeby wyborcy podzielali to przekonanie i jednocześnie udzielali nam tak wysokiego poparcia jak dotąd. Kiedy w drugiej połowie lat 80. byłem po raz pierwszy w życiu na Zachodzie, bo władza dawała paszporty z nadzieją, że niektórzy do Polski już nie wrócą, to jedną z pierwszych osób spotkanych w Paryżu był Broniek Wildstein. Rozmawialiśmy wtedy o Tocqueville'u, ale w zupełnie innym kontekście. W Polsce rządzi teraz partia, która zarówno w oczach Polaków, jak i Europy uznawana jest za liberalno-konserwatywne centrum. Pozostaje fenomenem, że z takim zestawem poglądów utrzymuje tak wysokie notowania i – co więcej – ma realną szansę na drugą kadencję. Nie ma większego absurdu niż twierdzenie, że to cios w demokrację.

Gdy zabraknie Jarosława Kaczyńskiego, w PiS pewnie będzie rządził Zbigniew Ziobro. A jak zabraknie Tuska, to kto poprowadzi mieszczańską większość?

– Nie wiem.

Nie wychowuje pan następcy?

– Ja się już napracowałem, żeby dobrze wychować dzieci. Oczywiście moja żona pewnie by się obraziła, gdyby nagle dowiedziała się z „Przekroju”, że to głównie ja byłem zajęty synem i córką, więc powiem tak: nie udało mi się zrujnować jej wysiłku wychowawczego.

Mówi się, że lubi pan spychać z ławki politycznych kolegów, paru wylądowało już na aucie. Boi się pan konkurencji?

– Tu w pewnym sensie dotykamy istoty polityki. Nie chcę prawić komunałów o etyce i odpowiedzialności, które już wszyscy bezmyślnie powtarzają za Weberem. Czasem jest tak, że im kto większe łajdactwo planuje, tym więcej mówi o etyce i odpowiedzialności. Uważam, że polityka zawsze była i będzie naznaczona ambicjami oraz namiętnościami. Czasami kojarzy mi się z zawodowym boksem, z tą różnicą, że w polityce nawet 12. runda nie musi oznaczać końca walki.

W polityce nie zdarza się często, by więzi między ludźmi zamieniały się w przyjaźń czy lojalność na śmierć i życie. W nowoczesnych demokracjach bywa, że władzę sprawują ludzie dalecy od ideału, którzy są bezwzględni kiedy trzeba, choć nigdy nad miarę, a wyborcy ich akceptują, nawet jakoś cenią za skuteczność. Przywołałiscie przykład Ziobry, który dobrze pokazuje, że o władzę się walczy. Można sobie wyobrazić sto powodów, dla których w Platformie Obywatelskiej nie będzie już Tuska. Ale wiem jedno, bo tego się nauczyłem: wtedy partią będzie rządził ten, kto sobie władzę weźmie, a nie ten, komu ją przekażą.

Czyli znokautował pan wszystkich kolegów oraz koleżanki i dlatego pan rządzi?

– Rozmawiamy w czasie, kiedy to innych znoszą z ringu, a ja stoję na dwóch nogach, ale karta zawsze może się odwrócić. Jak mawiał wybitny bokser: nie ma odpornych na ciosy, są tylko źle trafieni. Na razie źle mnie trafiają.

Zapowiadał pan, że gdy Platforma Obywatelska będzie miała premiera i prezydenta, to będzie pan forsował ograniczenie weta prezydenckiego. Uda się to zmienić w 2011 roku?

– Ja bym chciał. Polski ustrój nie jest – delikatnie mówiąc – doskonały i warto zdecydować się na model albo ostatecznie kanclerski, albo prezydencki. Ponieważ nie jestem hipokrytą, powiem otwarcie, że dziś lepszy wydaje się kanclerski, ale mniej istotne jest, który z tych modeli zwycięży. Wystarczy, żeby było wiadomo, kto za co w Polsce odpowiada. Harmonia, wzajemny szacunek i przyjaźń polityczna między prezydentem Komorowskim a mną nie dowodzą, że ustrój jest OK. Dowodzą jedynie, że trzeba być w bardzo dobrych relacjach, żeby państwo sprawnie działało.

Zmiana konstytucji mogłaby w przyszłości związać ręce prezydenta Tuska?

– Nie wybieram się do Pałacu Prezydenckiego.

Nigdy?

– Wydaje mi się to bardzo mało prawdopodobne.

Co pan w takim razie będzie robił, kiedy już ktoś pana znokautuje?

Przecież nie emerytura, pan jest za młody, a wnuki za chwilę będą odchowane. Co robić w Sopocie? Kino, książki?

– Z tego, co mówicie, mogłoby wynikać, że teraz nie chodzę do kina i nie czytam książek. Pewnie nie uwierzycie, ale tak nie jest. A co do emerytury, to jeszcze o niej nie myślę, choć coraz lepiej rozumiem tych, dla których jest ona czasem odpoczynku i działania bez obowiązku, dla przyjemności.

Trudno nam sobie wyobrazić, że pana kariera skończy się za dwa-trzy lata.

– Jeszcze dwie następne kadencje będę premierem, potem zostanę szefem Komisji

Europejskiej, też raczej na dwie kadencje, i wtedy wrócimy do tematu emerytury (*śmiech*).

Na razie wszystko wskazuje na to, że będzie pan kierował rządem podczas prezydentury Polski w UE. Będą niebezpieczne rafy?

– Tak jak zawsze, kiedy chodzi o pieniądze.

Ale sprawując prezydenturę, mamy trochę związane ręce. Musimy pamiętać o wszystkich, mediować...

– Mamy równocześnie bardzo dobrą i bardzo trudną sytuację. Ale wolę ten stan rzeczy niż położenie, w którym bylibyśmy zupełnie bezbronni. Kluczową jest dyskusja o budżecie europejskim, a więc o miliardach euro. Czy wieloletnie ramy finansowe rozstrzygną się w czasie naszej prezydentury, tego nikt nie jest dziś pewien, ale wiemy, że istotna część negocjacji będzie za nami. Przypominam sobie, jak musiałem wysłuchiwać różnych podpowiedzi, gdy zaczynała się dyskusja z szefem KE i premierami różnych państw, kto jakie stanowisko komisarza dostanie. Kilku wybitnych specjalistów radziło: w żadnym wypadku nie bierzmy komisarza od budżetu, bo to wcale nie jest ważne. Na szczęście okoliczności i nasza determinacja spowodowały, że dzisiaj mamy szefa Parlamentu Europejskiego, komisarza oraz sprawozdawcę w europarlamentaracie do spraw budżetu i jeszcze przypada nasza prezydentura. Dobrze mieć taką personalną konstelację w momencie, kiedy niektóre kraje twardo opowiadają się za radykalną redukcją wydatków, głównie funduszy spójności. W Europie, gdy żądamy większego budżetu, nasi partnerzy pytają: dlaczego akurat wy za tym gardzicie? Mamy kryzys finansowy, a wy jedyni nie wiecie, co to kryzys. Odpowiadam jasno

i prosto, że zawarte traktaty obowiązują wszystkich, a w traktacie jest jak wół napisane, że to Komisja Europejska przedstawia projekt budżetu, a nie Wielka Brytania, Niemcy czy Francja. W tym znaczeniu nasza prezydentura będzie najbardziej proeuropejska.

Z jednym zastrzeżeniem: deficyt budżetowy mać sielski obrazek z zieloną wyspą na niespokojnym europejskim oceanie.

– Nie jesteśmy wyspą w tym sensie, że nie mają się nas żadne problemy. Ale proszę porównać nasz deficyt z irlandzkim – my mamy 8 procent, tam jest 32 procent. Chciałbym, żeby było lepiej, ale spójrzcie na państwa, które jeszcze niedawno były wzorem sukcesu, na Hiszpanię, Włochy, Portugalię, i zobaczcie, co w tych krajach działo się dwa lata temu, kiedy zaczął się kryzys, a co działo się u nas. Wybraliśmy radykalnie inną drogę przejścia przez kryzys i z tego, co widać, słuszną. Nadal będziemy więc postępować ostrożnie i racjonalnie.

Polska prezydentura w Unii to także projekt kulturalny. W kilkunastu krajach świata będziemy mogli pokazać, że jesteśmy mocni w kulturze.

To nasz jedyny kreatywny przemysł. W pozostałych dziedzinach gospodarki tylko wykonujemy zlecenia. Zresztą w swoim exposé ludzi kultury nazwał pan „skarbem narodowym”.

– Nie wypieram się. Dalej tak uważam.

A zna pan tę anegdotę o Churchillu?

Kiedy dla Anglii zaczęła się II wojna, przyszedł ministrowie i mówił: „Panie premierze, musimy cię wydatki. Najlepiej zacząć od kultury”. Na to Churchill odpowiada: „W takim razie, panowie, o co my tę wojnę toczyliśmy?”

– Ta anegdota jest zbyt piękna, by ją komentować.

Ale o kulturę to pana rząd nadmiernie nie walczy, podczas gdy akurat od premiera historyka, autora książek i wydawcy można by tego oczekiwać. Obywatele

Kultury nie mogą się doprosić o 1 procent z budżetu. Miał powstać międzyresortowy zespół, który wypracowałby zasady finansowania kultury. Nie powstał, choć sam pan zapowiadał jego powołanie.

– Układając budżet na rok 2011, najtrudniejszy budżet ostatnich 10 lat, dokonaliśmy ostrej korekty na rzecz zwiększenia środków na kulturę. Przekazaliśmy tyle, ile mogliśmy.

Więcej niż 1 procent na kulturę przeznaczano w latach 1995–1998.

Potem było już tylko gorzej. Obywatele Kultury wypracowali projekt „Pakt dla kultury”, w którym proponują zmianę zasad finansowania i zagwarantowanie co najmniej 1 procentu budżetu na kulturę. Wesprze ich pan?

– Dotychczasowe doświadczenie podpowiada, że z pieniędzmi publicznymi lepiej postępować elastycznie. W kulturze – podobnie jak w innych dziedzinach – trzeba szukać rozsądnego kompromisu. Spór o jej finansowanie ze środków publicznych zapewne będzie istniał zawsze i nigdy nie rozwiążemy go definitywnie. Trzeba zatem znaleźć rozsądną granicę między inwestowaniem w kulturę a świadomością, że niektóre dokonania artystyczne (na przykład istotna część produkcji filmowej) nie znajdują akceptacji u odbiorców czy widzów, a mimo to będziemy je finansowali.

Na sześć dobrych czy bardzo dobrych filmów trzeba wyprodukować kilkadziesiąt przyzwoitych, czasem słabych. Arcydzieła nie biorą się z próżni.

– Pokutuje takie wrażenie, że rząd ma pieniądze i może nimi dowolnie dysponować. A to nieprawda. Cały czas poruszamy się w sferze trud-

nych dylematów – reżyser chce więcej pieniędzy na film, lekarz pokazuje chore dzieci w szpitalu, naukowcy grzmią, że nauka w potrzebie itd.

Dla nas kultura to nie taki sam towar jak każdy inny. Jeśli będziemy ją traktować jak, nie przymierzając, buty, to wiadomo, że trzeba będzie ją przykroić na miarę tak zwanego średniego gustu. W tak rozumianej kulturze nie ma co liczyć na dzieła, rozwój, odkrywanie nowych rejonów. A na przykład gdyby nie Norwid, to jak kończyłby pan swoje trzygodzinne exposé? „Wolni ludzie, tworzyć czas”. To dobrze zabrzmiało.

– Mówiąc pół żartem, pół serio, pewnie znalazłbym inny cytat. Poza tym nie słyszałem, żeby Norwid był sponsorowany przez państwo. Przeciwnie, umarł w biedzie.

Ale to było w XIX wieku. Teraz mamy wiek XXI.

– Miałem dość długą przygodę jako wydawca książek. I kiedyś rozmawiałem z Pawłem Huelle, który na pewno nie narzeka na brak czytelników. Pamiętam, jak tłumaczył, że bezwzględny obowiązek państwa jest utrzymywanie każdego, kto ma choć odrobinę talentu. Rozumiem jego argumentację, bo ludzie z talentem rodzi się niewiele i nie powinno się ich rzucać na pastwę rynku. Trzeba zatem pogodzić się z tym, że co prawda nie będzie pieniędzy na wszystko, ale w miarę

możliwości należy dawać ich coraz więcej i starać się stworzyć system, dzięki któremu środki publiczne będą płynąć w stronę rzeczywistych talentów.

I tego właśnie chcą Obywatele Kultury – racjonalizacji wydatków. Może warto posłuchać tego, co proponują? Czy pan powiedziałby o sobie, że jest człowiekiem kultury?

– Jasne, że tak! To jest ta przestrzeń, w której dobrze się czuję, potrzebuję jej. Nie zawsze się domyślamy, że jesteśmy ludźmi kultury, ale kiedy jej brakuje albo kiedy trafiamy na coś, co nas porusza, wtedy przez

moment myślimy, że uczestniczymy w czymś wielkim, wspólnym. Ale wiem, że łatwiej tkwić w przekonaniu, że jeśli polityk chwali się cytatem, to mu go PR-owiec napisał, z artykułów czyta tylko te na własny temat, a z książek – jedynie kolorowanki dla wnuka.

Nie bardzo widać, żeby pan miał jakiś cel w rządzeniu. Nie widać dalszej perspektywy. Sama władza jest upajająca?

– Nie, władza nie jest upajająca.

Przychodzi pan codziennie do pracy, siada i zaczyna się młocka. Po co pan to w takim razie robi?

– Jestem owładnięty jedną myślą – żeby wszystko, co robimy, oznaczało lub zapowiadało wyraźnie wyższy standard cywilizacyjny, estetyczny, kulturowy, techniczny, finansowy. Ta „rewolucja cichych kroków” wydaje mi się najbardziej podniecająca, bo po raz pierwszy w historii mamy szansę, żeby w wielu dziedzinach osiągnąć wyższy standard. Najgroźniejsze dla nas byłoby, gdyby dzisiejsze nastolatki przeżyły życie tak samo jak ich dziadkowie – wśród bałaganu, brudu, kulawych przepisów. Tym się ekscytuję jako premier, bo szczerze mówiąc, nie sądzę, by w jakimkolwiek stopniu ode mnie zależało, czy powstanie arcydzieło literackie, genialny obraz lub wspaniały film.

Nasz znajomy leciał do Poznania i nie doleciał. Spędził na lotnisku 10 godzin, bo spadł śnieg. Kolej jest sparalizowana od tygodni, a do zimy stulecia nam daleko. To jest lepszy standard?

– Sami państwo widzą, jak wielką potrzebą jest wysoki standard cywilizacyjny, także w pociągu.

Wystarczyliby nam przyzwoity.

„Można sobie wyobrazić sto powodów, dla których w PO nie będzie już Tuska. Ale wiem jedno: wtedy partią będzie rządził ten, kto sobie weźmie władzę

DONALD TUSK

„Najgroźniejsze dla nas byłoby, gdyby dzisiejsze nastolatki przeżyły życie tak samo jak ich dziadkowie – wśród bałaganu, brudu, kulawych przepisów

DONALD TUSK

O żłobku utopku i niani do bani

W nowym roku nowym dzieciom państwo obiecuje spore co nieco. Żłobki słodkie jak marzenia Puchatka. Ale ustawa żłobkowa to wcale nie miód, a o potrzebach dzieci politycy wiedzą mniej niż miś o bardzo małym rozumku

TEKST ANNA SZULC,
MARCELINA SZUMER
ZDJĘCIA BOGDANKREZEL.COM

Michalina, mama niespełna dwuletniego Nataniela, codziennie mija żłobek – jeden z tych, które rodzice nazywają puchatkowymi, bo często patronuje im sam Kubuś (prym wiodą Kubusiowe Raję i Chatki Puchatka) oraz Tygrysek albo Kłapouchy. Za to Sowa Przemądrzała – przenigdy. Może dlatego, że sowa lubi odtrąbić swe wielkie sukcesy, choć tak naprawdę zalicza same wpadki.

Michalina patrzy też na rząd i widzi w nim taką sowę. Rada Ministrów odtrąbiła przecież wielki sukces: każda gmina będzie mieć własny żłobek. Dostępny dla każdej mamy przez 10 godzin dziennie!

Teraz żłobki to zakłady opieki zdrowotnej kontrolowane przez Ministerstwo Zdrowia, choć finansowane przez samorządy. Muszą spełniać wiele restrykcyjnych kryteriów, głównie sanitarnych, lokalowych i żywieniowych. Od kadry też wiele się wymaga – żłobek musi zatrudniać lekarza, opiekunkami mogą być pielęgniarki, położne lub przynajmniej osoby po dwuletnim studium opieki nad małym dzieckiem.



Rafał pracuje jako barman, Natalia w korporacji, ale tylko na pół etatu. Nie wysłali Lili do żłobka, **by córka nie czuła się samotnie w tłumie dzieci**

Tymczasem zgodnie z projektem ustawy o opiece nad dzieckiem w wieku do lat trzech, którą przyjął już rząd, a którą teraz zajmują się posłowie, z nowych żłobków znikną lekarze. Będą działały zgodnie z przepisami o swobodzie działalności gospodarczej, czyli każdy, kto spełni kryteria, będzie mógł założyć żłobek – samorząd lub osoba prywatna. Lekarz nie

będzie potrzebny. Opiekunami będą mogły być osoby z wykształceniem średnim po szkoleniu, także wolontariusze. Zatrudnienie pielęgniarki lub położnej? Obowiązkowe tylko od 20 dzieci. A dzieci w żłobku – już od 20. tygodnia życia do wspomnianych trzech lat. Żłobek nie będzie musiał mieć oddzielnej kuchni, będzie mógł zamawiać catering.



Ala zawsze chciała poświęcić się wychowaniu dziecka. Dlatego od urodzenia **Frania liczy tylko na siebie i rodzinę**

Rząd jest swoim projektem zachwycony, podobnie zresztą jak posłowie. – Takie żłobki to priorytet, skok cywilizacyjny – publicznie oświadczył niedawno premier Donald Tusk. I obiecywał, że w ciągu czterech lat będzie 400 tysięcy miejsc w nowych placówkach dla maluchów. A dzieci w wieku do lat trzech jest w Polsce milion. Teraz tylko niecałe trzy

procent z nich chodzi do żłobka. Czyli około 30 tysięcy.

Matki i podatki

– Młode matki wrócą do pracy i będą płacić podatki – dodaje z dumą premier. I w tym momencie dowiadujemy się, że nie tylko o żłobki chodzi, ale i o budżet.



Michalinie **nie udało się zapisać Nataniela do żłobka**, pracy znaleźć nie może, a pieniędzy na nianię nie ma. Korzysta na tym syn, który mamę ma zawsze przy sobie

Dla Michaliny ta propozycja brzmi niezłe. Bo żłobek, który codziennie mija, jest prywatny, kosztuje 800 złotych miesięcznie. A Michalina i jej rodzina zarabiają w sumie dwa tysiące na miesiąc. Taką rodzinę urządzałby żłobek za góra 200 złotych miesięcznie. Ale dziś do żłobka taniego, czyli opłacanego przez państwo, trafiają w takich miastach →

→ jak Kraków (a tam właśnie mieszka Michalina) dzieci zapisane jeszcze przed urodzeniem, a najpóźniej tuż po. Michalina się spóźniła, siedziała z Nataniem w domu, a teraz nie ma dla niej i żłobka, i pracy. Michalina siedzi więc z synkiem w pokoju, w którym króluje pluszowy Kubuś Puchatek – prezent od rodziny. A także Prosiaczek i Tygrysek ze sklepu z używaną odzieżą. I jeszcze jakiś sponiewierany Królik.

– Hurra! – zakrzyknął Puchatek na wieść o planach premiera. – Skoro powstanie tyle żłobków, to następne młode mamy nie będą musiały siedzieć w domu, a może stać je będzie nawet na inne pluszaki ze Stumilowego Lasu.

Ale trzeba naprawdę małego rozumku, by cieszyć się z zapowiedzi rządu. Bo ten na nowe żłobki nie zamierza wydać ani złotówki. Chce, by organizowały je jak dotąd – z własnych dochodów – samorządy. Przecież, zdaniem premiera Tuska, najwięcej na pracujących, płacących podatki mamach zyskają właśnie gminy. Bo to z ich podatków będą mogły zakładać kolejne żłobki.

Tymczasem własne obliczenia od kilku miesięcy bezskutecznie przedstawia rządowi Związek Gmin Wiejskich. Według jego przewodniczącego Marka Olszewskiego, wójta gminy Lubicz, dziś samorządowi brakuje pieniędzy na wszystko, właściwie są już na granicy bankructwa. Zatem żłobki to dla nich marzenie ściętej głowy. W polskiej uśrednionej gminie zgodna z nową ustawą placówka oznaczałaby dla samorządu wydatek 366 tysięcy rocznie – jedno dziecko to koszt około tysiąca złotych miesięcznie, a w przypadku niemowlęcia – nawet dwa tysiące.

– Ustawa jest nierealna nie tylko z powodów finansowych – uważa Marek Olszewski. – Zupełnie nie są brane pod uwagę realia polskiej prowincji, gdzie jedno dziecko oddalone jest od drugiego nawet o kilkadziesiąt kilometrów, a zimą drogi bardzo często są nieprzejezdne.

Olszewski nie owija w bawełnę: gminni samorządowcy są przekonani, że nowych żłobków na prowincji nie będzie. A samorządowcy miejscy? Sprawdziliśmy – brakuje deklaracji, że żłobki na pewno będą. Są za to zapowiedzi, że bez dotacji państwa nic nie powstanie, bo już teraz samorząd z trudem opłaca przedszkola.

Teraz w Polsce na 2,5 tysiąca gmin jest 500 żłobków. 10 lat temu było ich 600. Samorządowcy nie mają zamiaru otwierać nowych, a stopniowo – jak widać – zamykają dotychczasowe. Ustawa nie obliguje rządu, by finansowo wspierał gminy zakładające żłobki, nie

ma więc żadnych podstaw, by spodziewać się odwrócenia tendencji spadkowej. – Żłobki jako instytucja są kosztownym przeżytkiem – ocenia Jerzy Stępień, wiceprezydent Poznania.

Co więc ustawa proponuje matce w sytuacji, gdy nowego żłobka nie będzie lub gdy zamykane są dotychczasowe?

Zero na plus

Teoretycznie ustawa przewidziała nowość – opiekuna dziennego, zwanego również nia-



– Widzę, ile czasu w ciągu dnia poświęcam Lili. Nie wierzę, że jedna pani w żłobku jest w stanie tyle samo uwagi poświęcić dwóm dziesiątkom dzieci – mówi Natalia

nią samorządową. Ma to być osoba, która we własnym mieszkaniu zajmie się pięciorgiem dzieci, w tym nie więcej niż dwójgim własnych. Kandydaci na dziennych opiekunów będą wyłaniani w konkursie ofert, a samorządy będą prowadzić ogólnodostępne listy osób pełniących taką funkcję. – Ale jej wynagrodzenie też obciąża budżet gminy – kręci głową Marek Olszewski, zaś Jerzy Stępień wyjaśnia, że – choć podoba mu się pomysł takiej kameralnej opieki nad dziećmi – to bez rządowych dotacji nie będzie na opiekunów pieniędzy.

No trudno, skoro samorządy nie mają środków ani na żłobki, ani na opiekę, ustawa ułatwia zakładanie placówek dla najmłodszych dzieci także przy zakładach pracy (przewiduje dla firm odpisy na fundusz świadczeń społecznych). Ale w sprawie żłobków zaklado-

wych nikt nie decyduje się na przepowiednie, kto, gdzie i kiedy otworzy takie żłobki. Wyjdźmy więc z tej strefy, zwłaszcza że Kubuś coś do nas mówi.

– Może i dobrze, że żłobków będzie mało – wzdycha Puchatek, który zawsze woli się cieszyć, niż martwić. Bo przypomniawszy sobie, że Kangurzyca ze Stumilowego Lasu nie oddała Maleństwa do żadnej instytucji i zajmuje się nim sama. Mama wraz z Maleństwem cieszą się sobą nawzajem i choć to drugie czasem wzdryga się przed łyżką tranu oraz ciągłym

poprawianiem szalika, dzieciństwo upływa mu głównie na radosnych podskokach.

– Dobrze, dobrze, że nie idzie do żłobka – wtórują Kubusiowi pediatrzy i psycholodzy. Nie kryją przy tym zdenerwowania, bo rząd traktuje ich jak hefalumpy, czyli bestie raczej krwiożercze – do konsultacji przy tworzeniu projektu ustawy zaproszono przedstawicieli pracodawców i związków zawodowych (BCC, Konfederację Pracodawców Prywatnych Lewiatan, NSZZ Solidarność), a specjalistów od dzieci – wcale, przeciwko czemu protestuje teraz środowisko. – W projekcie fundujemy dzieciom rozwiązania, od których odchodzi cały świat – wyjaśnia profesor Andrzej Rajewski z Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. – Wszystkie najnowsze badania

naukowe potwierdzają tezę, że dzieci, które na dłuższą odrywa się od matek przed ukończeniem trzeciego roku życia, nierzadko mają zaburzenia psychiczne i emocjonalne. To także często dzieci o obniżonej odporności, podatne na choroby.

Dlatego są w Polsce matki takie jak Natalia będąca na urlopie wychowawczym, która swojej dwuipółletniej córeczki do żłobka w Warszawie nie posłałaby za żadne skarby. Mimo że życie rodziny przy ograniczonych dochodach jest pełne problemów. A gdyby rząd zaproponował Natalii inne wyjście niż żłobek? W ustawie proponuje nianię. Gdyby Natalia miała nianię, mogłaby wrócić do pracy.

– Niania? – zdziwił się Tygrysek. – W życiu nie widziałem niani.

– Bo jak słasice i łonie żyją w kryjówkach – wyjaśnił przyjacielowi Kubuś.

Niania urzędowa

To prawda. Nianie w oficjalnych rejestrach niemal nie istnieją. To największa w Polsce szara strefa. Nianiami rząd przejmuje się bardzo. Co nieco więc zapisał na ich temat w ustawie żłobkowej. Na przykład to, że jeśli rodzic zatrudni nianię legalnie (czyli podpisze z nią umowę o pracę, a potem zgłosi to w swojej gminie), jej składkę do ZUS opłaci budżet państwa. Ale tylko od najniższej krajowej pensji. A ta wynosi dziś 1,3 tysiąca złotych.

– To nierealne – uważa Natalia. W Warszawie opiekunka na czarno zarabia średnio dwa tysiące złotych (w innych miastach mniej, ale więcej, niż wynosi najniższa pensja). Gdyby więc Natalia chciała rzeczywiście zatrudnić nianię, musiałaby jeszcze dopłacić państwu różnicę w kosztach składek. I oczywiście płacić niani pensję. Jak również podatek od pensji, nie mówiąc o prowadzeniu buchalterii, trzymania dokumentów przez pięć lat. I o ryzyku, że pewnego dnia niania przyniesie jej zwolnienie lekarskie.

Tymczasem rząd oczekuje, że wyciągnie nawet 50 tysięcy z prawie 200 tysięcy ukrytych opiekunek (bo na tyle jest szacowana szara strefa) i że chce na ich zalegalizowanie wydać nawet 240 milionów złotych rocznie. Co brzmi dobrze, choć samych nian ZUS nie nęci, bo wśród nich przeważają ubezpieczone już studentki i emerytki. Są też opiekunki zza wschodniej granicy, które z reguły nie tylko pracują na czarno, ale też mieszkają w Polsce nielegalnie, więc kontakt z jakimkolwiek urzędem oznaczałby dla nich przymusowy powrót w rodzinne strony.

Wszystko więc wskazuje na to, że priorytetem rządu – żłobki, nianie samorządowe i legal-

ne nianie – można włożyć między mniej lub bardziej piękne bajki. Polska matka zamiast obiecanego wsparcia nadal – czy tego chce, czy nie – będzie musiała siedzieć z dzieckiem w domu.

– A gdyby tak choćby te 240 milionów na nianie oddać mamom? – podrapał się po głowie Kubuś, choć prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, jak wygląda milion. A tym bardziej 240 milionów.

– Brykalibyśmy ze szczęścia – zapalił się do pomysłu Tygrysek.

Wojna to za mało

Ala z Krakowa, mama półrocznego Franka, z zawodu scenograf, ze zdziwieniem dowiedziała się niedawno, że w krajach skandynawskich matki mogą zostawać z dziećmi nawet przez trzy lata, bo państwo wypłaca im w tym czasie przeciętne wynagrodzenie.

– No tak, ale przecież Polska nie jest bogatym krajem, więc nie możemy liczyć na takie luksusy – stara się myśleć racjonalnie mama,

Teraz w Polsce na 2,5 tysiąca gmin jest 500 żłobków. 10 lat temu było ich 600. Nie ma żadnych podstaw, by się spodziewać, że ta spadkowa tendencja zostanie odwrócona

która przez dziecko wypadła z rynku pracy. Zleceń ma dziś mało. A jeśli są – tak jak zaprojektowanie sklepu we Wrocławiu – wymagają od Ali nerwowych poszukiwań kogoś, kto w tym czasie zajmie się dzieckiem.

Ala na jakkolwiek pomoc państwa liczyć nie może, nie przysługuje jej żaden zasiłek na urlopie wychowawczym, bo nie pracowała wcześniej na umowę o pracę. – Miałam świadomość, że decydując się na dziecko, będę musiała ponieść koszty tej decyzji – przyznaje. – Ale nie spodziewałam się, że będą aż tak duże.

– Nie zawsze, by pomóc, potrzebne są pieniądze – podpowiada Puchatek, podsuwając Tygryskowi stołeczek.

W wielu (nie tylko najbogatszych) krajach europejskich wprowadzono elastyczne godziny pracy dla kobiet z najmłodszymi dzie-

mi, za co pracodawcy dostają ulgi od państwa – byle tylko matka mogła pogodzić macierzyństwo z pracą.

Do tego w państwach Unii matka, jeśli chce, może przez rok przebywać na pełnopłatnym urlopie macierzyńskim. Tak jest w Wielkiej Brytanii, ale też na Litwie. Po urlopie macierzyńskim jest jeszcze płatny urlop wychowawczy. W Czechach – w wysokości minimalnej pensji. Czescy badacze bowiem udowodnili niedawno, że dzieci do trzeciego roku życia będące pod opieką mamy rozwijają się szybciej niż te w żłobkach i te, którymi zajmowały się nianie. W Polsce mama na trzyletnim urlopie wychowawczym (jeśli wcześniej miała etat, a dochody na rodzinę są niskie) może liczyć najwyżej na 400 złotych zasiłku.

– Zmiany zaproponowane przez rząd nie ułatwiają życia rodzinom i nie służą ich dobru – uważa Teresa Kapela ze Związku Dużych Rodzin Trzy Plus. – Nie wiem, skąd się wzięła naiwna wiara, że wyż demograficzny w latach 80. był wynikiem stanu wojennego i tego, że ludzie podczas smętnej zimy nie mieli czym się zajmować. Dlaczego nikt nie przypomina faktu, że to właśnie wtedy wprowadzono zniesiony w latach 90. trzyletni płatny urlop wychowawczy?

Regulować, nie wspierać

Minister pracy Jolanta Fedak twierdzi, że ustawę konsultowała ze wszystkimi, z którymi – w myśl przepisów – musiała to robić, a żłobki nie są przecież obowiązkowe, więc nie ma o co robić awantury. – A skoro ustawa jest nowa, może się okazać, że pewne rozwiązania sprawdzają się lepiej, inne gorzej. Wtedy będziemy poprawiać. Nie jestem nieomylna – tłumaczy minister. Podkreśla mocno, że ustawa nie jest po to, by regulować wszystko naraz.

– Regulować? – zdziwił się Prosiaczek. – To nie to samo, co wspierać.

Być może to samo zauważył prezydent Bronisław Komorowski, być może i jemu nie wszystko się podoba. Dlatego w nowym roku chce debatować na temat pomysłów rządu związanych z opieką nad małymi dziećmi.

– To dobrze czy źle? – zapytał Tygrysek.

– To zależy – odparł Kubuś – od wielu rzeczy. Jak zawsze.

Na przykład od tego, czy debata będzie dla debaty, czy po to, by rząd zrozumiał, że popełnia błędy. Od tego też, czy na debacie głos zabierze wyłącznie Sowa Przemądrzała. I czy wezmą w niej udział Kangurzyca z Maleństwem.



FOT. BRIAN KERSEY/UP/EVERETT/EAST NEWS

Cmentarz, deszcz, woda lejąca się z parasola. Prawdziwa alegoria trudnej sytuacji prezydenta Baracka Obamy. Czy wytrzyma tak przez dwie kadencje? Bo padać raczej nie przestanie

Obama jednej kadencji

Jaki wniosek można wysnuć po dwóch latach rządów Baracka Obamy? Taki, że nie będzie się on ubiegał o reelekcję

RAFAL KOSTRZYŃSKI

Obama nie podzieli losu Jimmy'ego Cartera, przegrywając z którymś z kandydatów Partii Republikańskiej albo Herbacianej. Po prostu odejdzie. Ogłosi, że to koniec, następnej kadencji nie będzie i demokraci muszą znaleźć sobie innego przywódcę. Na półmetku prezydentury Obamy taki scenariusz wieszczą coraz więcej ekspertów. Różnią się tylko w ocenie, czy to prezydentura go przerosła, czy też może on przerosł prezydenturę. Najlepiej więc ocenić to samemu.

Biały Dom to za mało

Amerikanów z establishmentu, którzy pogardziliby fotelem w Gabinetce Ovalnym, jest tak niewiele, że można ich policzyć na palcach jednej ręki. A jeśli już ktoś gardzi, to otwarcie, jak Rush Limbaugh, gwiazdor amerykańskiej anteny radiowej. Ale on ma wszystko: ma transmitowany pięć dni w tygodniu przez 650 stacji radiowych trzygodzinny program,

w którym komentuje to, czym żyje Ameryka, ma najbardziej rozpoznawalny głos w Stanach Zjednoczonych i - przede wszystkim - ma pieniądze. Dużo pieniędzy. „Newsweek” wyliczył, że jego roczne zarobki wynoszą 58 milionów dolarów. „Nie mogę sobie pozwolić na taką obniżkę pensji” - żartował Limbaugh, odpowiadając na pytanie, czy nie wolałby zamienić nieustannego rozprawiania o polityce na jej nieustanne uprawianie.

Drugim z nielicznych może być Obama. Dwa lata w Białym Domu pokazały, że obecny prezydent znacznie lepiej rozprawia, niż uprawia i garnitur przywódcy najpotężniejszego mocarstwa świata robi się na niego przyciasny. - Koronne momenty w jego karierze to przemówienia wygłoszone za granicą - tak o Obamie mówi mi Toby Harnden, waszyngtoński korespondent i publicysta brytyjskiego dziennika „Daily Telegraph”. - W Strasburgu o polityce nie mówią, tylko porywał tłumy i roztaczał wizje.

W Oslo, odbierając Pokojową Nagrodę Nobla, zapowiedział, że to dopiero początek jego działań na światowej arenie. On wie, że jest świetnym mówcą, i na tym buduje swoją reputację. Rządzenie go męczy i coraz wyraźniej widać, że nie ma ochoty użerać się z oponentami. Woli porywać tłumy i roztaczać wizje.

Harnden nie wspominał o Pradze, gdzie prezydent USA zdradził, że marzy o świecie bez broni jądrowej. Ani o Berlinie, gdzie określił się jako obywatel świata. W każdym z tych miejsc - podobnie jak w Strasburgu, Kairze i Oslo - tylko porywał tłumy i roztaczał wizje.

Toby Harnden należy do tych, którzy uważają, że miłość własna może odebrać Obamie ochotę na reelekcję. W sierpniu ubiegłego roku na łamach „Daily Telegraph” argumentował, że prawie wszystkie działania amerykańskiego przywódcy świadczą o tym, iż nie myśli o drugiej kadencji. Podał przykład reakcji prezydenta USA na zamieszanie wokół

planów budowy islamskiego centrum kultury w bezpośrednim sąsiedztwie Ground Zero. Obama, choć nie musiał tego robić, poparł inicjatywę, twierdząc, że muzułmanie mają prawo budować swoje świątynie tam, gdzie chcą. Zupełnie jakby nie rozumiał, że symbolika Ground Zero jest dla Amerykanów wyjątkowa. Zachował się jak konstytucjonalista, którym zresztą jest. Amerykańskość została pokonana przez internacjonalizm - co oburzyło nawet jego wyborców.

Barack Obama sam kilkakrotnie zapewniał, że będzie sprawował swój urząd, nie oglądając się na kolejne wybory. „Jeszcze podczas kampanii wyborczej powiedziałem sobie, że nie mogę uzależnić swoich decyzji od ich wpływu na moje szanse na reelekcję, bo uważam, że wyzwania, przed którymi stoi Ameryka, mają kluczowe znaczenie” - przyznał w wywiadzie dla CNN udzielonym w listopadzie 2009 roku. Dwa miesiące później w telewizji ABC wyraził się jeszcze bardziej dosadnie: „W Waszyngtonie uważa się, że pracą człowieka na wybieralnym stanowisku polega głównie na zabezpieczeniu sobie ponownego wyboru. Najłatwiej byłoby mi unikać trudnych tematów, proponować rozwiązania, które w nikogo nie godzą. A ja wolę być naprawdę dobrym prezydentem przez jedną kadencję niż kiepskim przez dwie”.

- Dobry prezydent jednej kadencji? - kpi w rozmowie z „Przekrojem” republikanin John LeBoutillier, były członek Izby Reprezentantów. - Dobry prezydent jednej kadencji wygrywa kolejne wybory i zostaje kimś, o kim Obama nie wspominał: dobrym prezydentem dwóch kadencji.

LeBoutillier uważa, że na 30 procent Obama zrezygnuje ze startu w wyborach w 2012 roku. I to wcale nie dlatego, że będzie tego chciał.

Widmo porażki

Obama oprócz domniemanej utraty zainteresowania uprawianiem polityki ma jeszcze jeden problem - stracił zaufanie wyborców, którzy zauważyli, że jego globalne wizje nie uzdrawiają sytuacji w kraju. Już po 10 miesiącach jego popularność spadła do poziomu nie notowanego od 1936 roku (i do dziś nie udało mu się odbić od tego dna). Odsetek Amerykanów niezadowolonych z rządów swojego prezydenta przekraczał w grudniu 50 procent. Aż 85 procent ankietowanych uważa, że sytuacja w kraju idzie w złym kierunku, a 48 procent wyraziło opinię, że kolejnym przywódcą powinna być osoba niezwiązana ani z demokratami, ani z republikanami. To są skutki polityki wewnętrznej Baracka Obamy, który nie

zatrzymał bezrobocia (nieubłaganie zbliża się ono do poziomu 10 procent), nie zmniejszył wydatków publicznych, przepchnął wyjątkowo kontrowersyjną reformę służby zdrowia i nie wyciągnął kraju z recesji.

Na demokratów padł blady strach. Po klęsce w listopadowych wyborach do Kongresu, w których utracili większość w Izbie Reprezentantów i ledwo uratowali większość w Senacie, słysząc wśród nich głosy, że aby uniknąć losu Jimmy'ego Cartera, Obama powinien pójść w ślady Lyndona B. Johnsona. Czyli: zamiast ryzykować oddanie prezydentury republikanom, powinien oficjalnie zrezygnować ze startu w wyborach. Patrick H. Caddell i Douglas E. Schoen (były doradca Cartera i były doradca Billa Clintona, a więc demokratów) opublikowali w dzienniku „The Washington Post” dramatyczny apel, w którym wezwali Obamę do tego, by nie walczył o reelekcję. „Nie było nam łatwo dojść do tej konkluzji. Ale stało się dla nas jasne, że prezydent stracił zaufanie wyborców. Wybory uzupełniające były referendum na temat jego modelu sprawowania władzy. I udzielono mu

85 procent Amerykanów uważa, że sytuacja w ich kraju się pogarsza. 48 chce bezpartyjnego prezydenta

wotum nieufności” - pisali Caddell i Schoen. I dalej: „Obama nie wie, co robi. Oferuje różne wizje swojej prezydentury: najpierw mówi o korekcie kursu, potem o tym, że musi brać pod uwagę zdanie obu stron amerykańskiej sceny, wreszcie, że kolejne dwa lata będą walką wręcz z republikanami, których określił jako wrogów”.

- Z jednym prezydentem musi się pożegnać - mówi „Przekroju” LeBoutillier. - Z bezgranicznym uwielbieniem, które tak kochał. Był mesjaszem i objawieniem. Ale to się skończyło. Po wypowiedzi w sprawie meczetu przy Ground Zero kwestionowano jego patriotyzm, wyznanie i obywatelstwo. Teraz kwestionuje się jego kompetencje.

LeBoutillier mówi, że nie wie, jak prezydent zareaguje na apel Caddella i Schoena. Boi się, że w Obamie odezwie się „jego rozbuchany egoizm”, że wystartuje. I wygra - jeśli republikanie wystawią Sarah Palin. - Ale jeśli pod koniec 2011 roku bezrobocie będzie nadal prze-

kraczało dziewięć procent, a Ameryka będzie pogrążona w recesji, prezydent pewnie powie, że rezygnuje z kampanii wyborczej, bo musi poświęcić się rządzeniu. I dotrwa do końca kadencji. To będzie najlepsze wyjście z tej sytuacji - pociesza się były kongresman.

DADT i START

Nie jest oczywiście prawdą, że prezydentura Baracka Obamy to pasmo samych porażek. Z dziennikarskiego obowiązku należy zauważyć dwa sukcesy, które zanotował ostatnio. 18 grudnia dzięki jego wielomiesięcznym staraniom Kongres przepchnął w końcu ustawę znoszącą obowiązującą w armii zasadę *don't ask, don't tell*, która zezwalała homoseksualistom na służbę wojskową tylko pod tym warunkiem, że nie będą się przyznawać do swojej orientacji (teraz można się przyznać i będzie się przyjętym). Cztery dni później Senat ratyfikował rosyjsko-amerykańskie porozumienie o redukcji zbrojeń strategicznych. New START ma zastąpić poprzedni traktat, który wygasł pod koniec 2009 roku („ma zastąpić”, bo nie ratyfikował go jeszcze rosyjski parlament). W obu przypadkach stało się to możliwe dzięki skaptowaniu kilku republikanów.

Część amerykańskich mediów, które jeszcze niedawno wróżyły Obamie czarną przyszłość, ogłosiła go więc wielkim zwycięzcą. Marne to jednak zwycięstwo. Stara ustawa o gejach i lesbijkach w armii martwiła jedynie działaczy organizacji praw człowieka, nie miała za to żadnego wpływu na popularność prezydenta i nie przy-

sporzy mu głosów. START natomiast wpisuje się dobrze w symbolikę gestów o niewielkim znaczeniu, jak wizje o świecie bez atomu czy deklaracje o nowym rozdziale w stosunkach USA z krajami muzułmańskimi. Geje nie zwiększą przecież potencjału armii, a tylko jej różnorodność. A jeśli chodzi o broń atomową, to Rosja i USA będą jej mieć niżej, niż potrzebują.

Toby Harnden: - Nie trzeba być wcale cynikiem, aby uznać, że porozumienie Obamy ponad podziałami, z grupką republikanów, będzie chwilowe. Jeszcze w styczniu, najdalej w lutym, nie zostanie po nim ślad.

Szansę prezydenta na zwycięstwo wydatnie zwiększyłoby zamknięcie Guantánamo, zakończenie sukcesem wojny w Afganistanie, redukcja bezrobocia czy zahamowanie recesji. To jednak jest już uprawianiem polityki, a nie rozprawianiem o niej. Na tym Obama zarabia rocznie 4,5 miliona dolarów. Nic dziwnego, że Limbaugh woli radio.

— Skończył się papier — powiedział Marcin

Superinspektor zerkna w teren

W tym roku z edukacyjnej mapy Polski mogą zniknąć kuratoria

Tuż przed Wigilią do konsultacji międzyresortowych trafił projekt ustawy, która likwiduje kuratoria oświaty. To rewolucja, bo kuratoria jako wydzielone instytucje nadzorujące jakość nauczania w szkołach istnieją od czasu II Rzeczypospolitej. Ale nie znikną

dzięki MEN, lecz zamknie je MSWiA – projekt ustawy o konsolidacji administracji publicznej zakłada, że kuratoria zostaną włączone do urzędów wojewódzkich, co przyniesie spore oszczędności (jeden dział kadr i jedna księgowość dla wszystkich). MEN poparło MSWiA, pod

warunkiem że urzędy wojewódzkie zajmą się tylko administracją (organizacja kolonii, przyjmowanie skarg), nad jakością edukacji zaś będą czuwać urzędnicy w instytucjach powstałych na bazie okręgowych komisji egzaminacyjnych (które według projektu też mają być zlikwidowane). Pracownicy tych jednostek ruszą w teren z laptopami, spędzając po kilka dni w każdej z kontrolowanych szkół.

16 kuratorów zastąpi jeden superkurator, który będzie naczelnym inspektorem jakości edukacji w randze wiceministra. Wszystkie te zmiany mają służyć poprawie jakości pracy szkół. Nazwanie kuratorium Centrum Jakości i zamiana 16 osób na jednego wiceministra może do tego nie wystarczyć. **MARCELINA SZUMER**

APARYCJA



Dąsy na wąsy

Prawo jazdy i dowód rejestracyjny, proszę – te słowa często padały spod sumiastego wąsa policjanta drogówki. Wiele funkcjonariuszy z wyjątkowym sentymentem traktuje zarost pod nosem. Padł jednak rozkaz (a dokładniej zarządzenie numer 1787) – wąsy do strzyżenia! Po trwających prawie rok pracach nad zmianami w regulaminie policji komendant główny Andrzej Matejuk wprowadził zasady dotyczące wyglądu policjantów noszących mundur. Szef zabronił funkcjonariuszom noszenia ozdób: kolczyków i łańcuszków, tatuaży i długich włosów. Dotyczy to również kobiet, które – jeśli chcą zachować loki – muszą je schludnie upiąć pod czapkę. Prawdziwy cios osiągnął jednak wąsacze. Ich zarost musi być „krótki i schludnie ostrzyżony”. Czyli wąsik przycięty w stylu przedwojennego fryzjera – tak. Wąs Onufrego Zagłoby – już nie. – W przepisie nie ma podanej długości wąsów w milimetrach – mówi podinspektor Krzysztof Hajdas z Komendy Głównej Policji, właściciel brody i wąsów. Krótko przystrzyżonych. – Nie chodzi o to, by wszyscy mieli taki sam zarost, lecz o to, by wyeliminować przypadki ekstrawagancji wśród funkcjonariuszy. Jako policjanci jesteśmy oceniani przez społeczeństwo i rozmaite ozdoby oraz niechlujny zarost w połączeniu z mundurem źle wypadają – mówi. Stan otwoszenia będą oceniać przełożeni mundurowych. Tym, którzy nie zadbają o swój wygląd, w skrajnych przypadkach grozi nawet odsunięcie od służby. **DNT**

for: Balazs Mohai/EPA/PAP, Piotr Malecki/Forum, Istocok, Victor Blue/WPN/Est News

KOSMOS

Ślimak w stanie nieważkości

Rosjanie znów wysłać zwierzęta w kosmos. Poza atmosferę wyruszą przedstawiciele przeszło stu gatunków, w tym myszokoczek mongolskie, jaszczurki i ślimaki. Na pokładzie rakiety znajdą się także mikroorganizmy i rośliny. Paśnierzowie muszą być nie tylko mali, ale też odznaczać się niewielkim łaknieniem, by zużywać mało wody. Lot na orbitę planowany jest na 2012 rok i potrwa miesiąc. Naukowcy będą badać zachowanie się organizmów w kosmicznych warunkach, sprawdzając między innymi, jak podróż w stanie nieważkości wpłynie na geny podróżników. Przewidziany jest powrót na Ziemię, ale nie wiadomo, ile zwierząt przeżyje. Badania mają przygotować lot człowieka na Marsa. **WOJ**



ZDROWIE



Pałą, bo się leczą

Nastolatki w USA częściej pałą marihuaną niż papierosy – orzekł amerykański instytut do spraw uzależnień od narkotyków (National Institute on Drug Abuse – NIDA). Badanie przeprowadzono wśród 46 tysięcy 14-, 18-latków ze wszystkich stanów. Wynika z niego, że pałą oni więcej trawki niż w 2009 roku. 21,4 procent młodych ludzi wybiera marihuana, a 19,2 papierosy. Nora Volkow, dyrektor NIDA, komentuje: – Już 14 stanów pozwala legalnie leczyć się marihuaną. W latach 2002–2007 zmniejszył się odsetek młodzieży palącej konopie indyjskie, ale teraz znów rośnie. Przez kampanie legalizujące nastolatki nie widzą zagrożenia w paleniu skrętów. Uwierzyli, że marihuana leczy. **WOJ**

ZAKUPY

Witamy w Euro-Chinach

Pekin, który jest największym wierzycielem Stanów Zjednoczonych (USA są winne Chinom prawie 900 miliardów dolarów), chce uzależnić finansowo także kraje Unii Europejskiej. Wykorzystując kryzys w strefie euro, Chińczycy zapowiadają wykupienie części długów najbardziej zagrożonych państw. Portugalia dostała już konkretną ofertę: w pierwszym kwartale tego roku Chiny mają zasilić jej kasę pięcioma miliardami euro za obligacje rządowe. Takie ustalenia miały zapisać podczas grudniowej wizyty premiera Hu Jintao w Lizbonie. Podobne oferty składano już wcześniej także pod ad-

resem borykających się z widmem bankructwa Irlandii, Grecji, Hiszpanii i Włoch. Wykupienie części długu tych krajów pozwoli Chinom upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: ustabilizować sytuację w eurozonie, która dla Państwa Środka jest ważnym partnerem handlowym, i zbić kapitał polityczny. Na razie euro zareagowało na chińskie deklaracje wzrostem notowań, ale wykupiona przez Chiny Europa może mieć ten sam problem co Stany Zjednoczone: – W jaki sposób twardo postępować z własnym bankierem? – jak ujęła to szefowa dyplomacji USA Hillary Clinton. **RAF**

MARZENIA

Chce żyć po śmierci

Na emeryturę w wieku 77 lat odchodzi z telewizji Larry King. Razem z nim znika talk-show „Larry King Live”, który gościł na antenie CNN przez ćwierć wieku. W ostatnim odcinku dziennikarza żegnali między innymi Barack Obama, Bill Clinton i Arnold Schwarzenegger. Przez 25 lat Larry King przeprowadził przeszło 40 tysięcy

wywiadów, między innymi z Margaret Thatcher, Michaeliem Jordanem, Michailem Gorbaczowem czy Madonną. Tylko dwa razy – 1 kwietnia 1994 i 2002 roku – gospodarzem show był ktoś inny, a dokładniej – Żaba Kermit. King był siedmiokrotnie żonaty. Rok temu w rozmowie z Conanem O’Brienem zdradził, że po śmierci chce być zamrożony, by czekać na ożywienie. Niewykluczone więc, że kiedyś znów stanie na ślubnym kobiercu. **WOJ**

RACZKOWSKI PONOWNIE



CO MÓWIĄ LICZBY

30.

MIEJSCE ZAJĘŁA POLSKA w rankingu stu najbardziej demokratycznych państw świata organizacji Democracy Ranking Association. To awans o cztery pozycje w stosunku do poprzedniego zestawienia. Wyrzadzają nas między innymi Chile (28. miejsce) i Kostaryka (29. lokata). Na szczęście nadal jesteśmy przed Rosją, która znalazła się na 87. pozycji. Najbardziej demokratyczna jest Norwegia, za nią plasują się Szwecja i Finlandia. Pierwszą dziesiątkę zamyka Wielka Brytania, która spadła z ósmego miejsca. USA są 15., o jedno oczko wyżej niż wcześniej. O dziwo, także Chiny wskoczyły jedno miejsce wyżej – są czwarte od końca, na 97. pozycji. Listę zamyka Etiopia. Najwyżej awansował Nepal, za nim Serbia. Najwięcej straciła Nigeria i RPA. **WOJ**

WYGODNICTWO

Knebel nad Dunajem



Media elektroniczne na Węgrzech mogą zapłacić nawet 200 milionów forintów kary (700 tysięcy euro) za publikacje, które „nie są zrównoważone politycznie”. Za to samo przewinienie dzienniki i portale internetowe mogą dostać karę 25 milionów forintów (89 tysięcy euro). Za nową ustawą medialną głosowało 256 parlamentarzystów, przeciw niej – 87 (rządząca partia Fidesz ma w 386-osobowym parlamen-

cie 263 mandaty). Ustawa powołuje Radę do spraw Mediów, której członków wybierze parlament. Szefą rady wskaże premier. Według ustawy dziennikarze zajmujący się bezpieczeństwem narodowym muszą ujawnić swoje źródła. O tym, co jest bezpieczeństwem, decyduje rada. Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (jak i protestujący Węgrzy) uważa, że takie prawo może ograniczyć niezależność mediów. **WOJ**

REKLAMA



DUŻA PRZESTRZEŃ MAŁA CENA

NISSAN NOTE JUŻ OD 21 450 ZŁ*
Z KLIMATYZACJĄ I ESP W KREDYCIE 50/50, SUPER 0%

O pozostałe oferty wyprzedazowe pytaj w salonach Nissan!

www.nissan.pl INFOLINIA: 0801 647 726

NISSAN FINANCE Zdjęcia są jedynie ilustracją. Dane i fakty podane w niniejszej reklamie służą wyłącznie celom informacyjnym i nie stanowią oferty zawarcia umowy. *Podana cena stanowi pierwszą wpłatę w kredycie 50/50. RRSO dla kredytu 50/50 oferowanego przez RCI Bank Polska S.A. bez odsetek i prowizji bankowej wynosi 0%, z uwzględnieniem następujących parametrów: okres 12 miesięcy, wpłata własna 50% i spłata pozostałych 50% po roku. Oferta finansowa jest ważna od dnia 1/12/2010 do odwołania lub do wyczerpania zapasów. Zużycie paliwa w cyklu mieszanym: 5,2-8,4 l/100km; Emisja CO₂: 119-149 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów oraz ich przydatności w tym zakresie dostępne są na stronie internetowej www.nissan.pl.



Chora na Trójkę

Nie musi się wysilać, bo otacza ją tłum fantastycznych ludzi. Jak mówi: jej koledzy z pracy to dzieci specjalnej troski osadzone w niewłaściwej czasoprzestrzeni. Ale robią piękne radio.

Z **MAGDĄ JETHON**, dyrektorką III Programu Polskiego Radia, rozmawia Grzegorz Miecugow

Tuż przed świętami na koncercie 85-lecia Polskiego Radia zaśpiewał Sting. Ile to kosztowało?

– To tajemnica spółki. Mogłabym się wykręcić od odpowiedzi, mówiąc, że tego nie wiem, bo nie muszę wiedzieć, ale wiem, tyle że nie mogę tego ujawnić.

A ile kosztował cały koncert, w którym oprócz Stinga wystąpiły także polskie gwiazdy?

– Też nie powiem, bo o finansach radia może mówić tylko rzecznik prasowy albo prezes spółki.

Tak czy owak, trochę to kosztowało, czyli Polskie Radio wcale nie jest takie biedne, jak by się mogło wydawać.

– Po pierwsze, występ Stinga w połowie był opłacony przez sponsora, a po drugie, wiadomo było od dawna, że w tym roku Polskie Radio obchodzi 85. urodziny, a więc zarząd wygoszparował trochę pieniędzy na ten cel.

Trzy dni po koncercie Stinga zrobiła pani koncert w Pałacu Prezydenckim. To też z tych pieniędzy?

– Nie. Ten koncert jest robiony absolutnie niskim kosztem. Ale od początku. Od lat prowadzimy na antenie Trójki licytację, z których dochód przeznaczony jest dla rodzinnych domów dziecka. W tym roku chcieliśmy do tych pieniędzy dołożyć trochę więcej. Wpadłam na pomysł, żeby zrobić koncert w pałacu i zaprosić na niego około 200 dzieci z całej Polski. Pokazać im ten gmach od środka. Poznać je z prezydentem i jego żoną. Poznać je z takimi gwiazdami jak Kayah, Ania Jopek i Edyta Górniak. Potem rozdać im prezenty i zjeść z nimi coś świątecznego. Płacimy tylko muzykom towarzyszącym gwiazdom, i to mniej niż podczas zwykłych koncertów na Mysliwieckiej. Gwiazdy występują za darmo, więc całość kosztuje naprawdę niewiele.

Ma pani sporo energii.

– Myślę, że tak. To się bierze z tego, że przez całe lata miałam poczucie pewnej skromności. Przeważnie siedziałam cicho, w różnych sprawach nie zabierałam głosu, bo uważałam, że nie wypada, nie wolno się pchać ani walić pięścią w stół – po prostu trzeba być grzeczną dziew-

czynką. I całe lata byłam taką dziewczynką, aż stało się coś takiego, że już nią nie jestem.

A wiadomo, co takiego się stało?

– W momencie kiedy zostałam po raz pierwszy dyrektorką Trójki, poczułam, że spoczywa na mnie ogromna odpowiedzialność. I rozumiałam, że jeżeli kocham to radio, i to do tego stopnia, że w dzień i w nocy myślę, co tu można jeszcze zrobić, to jeśli nadal będę grzeczną dziewczynką, to może mi się nie udać. Tyle że wtedy nie uda się nie tylko mnie, ale też całemu zespołowi. I nabrałam odwagi. Dziś mam jej jeszcze więcej, bo po moim odwołaniu zespół zachował się fantastycznie. Byłam tym trochę zaskoczona i zawstydzona, bo czegoś podobnego się nie spodziewałam. Nawet pomyślałam sobie wtedy, że może warto być odwołanym, żeby to przeżyć. To trochę tak, jakby być na swoim pogrzebie i zobaczyć, kto płacze, jak ludzie się zachowują. Podobnie było także przez następnych 10 miesięcy.

Była pani dyrektorem Trójki na uchodźstwie.

– Tak sobie koledzy żartowali.

A ktoś panią zawiódł?

– Nie. To wydaje się aż nieprawdopodobne, ale nie.

A co pani czuła, patrząc na to, co robi pani następcą?

– Z jednej strony człowiek ma taką pokusę myślenia: trudno, nie umie, to popsuje. Ale z drugiej strony przecież wiedziałam, że on psuje Trójkę. Tak było na przykład ze zbiórką publiczną. Ja ją rozpoczęłam i potem wydawałam pieniądze przez pierwszy kwartał. Przez następne pół roku tymi funduszami dysponował Jacek Sobala. I mogłam powiedzieć sobie tak: co mnie ta zbiórka obchodzi, jak źle wyda te pieniądze, to będzie awantura. Jak ją źle rozliczy, to będzie kompromitacja. Nie mogłam przewidzieć, że wrócę do Trójki, ale pilnowałam tej zbiórki i rozliczenia jej jako osoba z zewnątrz. Wypełniłam 300 stron tabelki i z pomocą kierowników redakcji ją rozliczyłam.

Ta zbiórka w ogóle była zdarzeniem bez precedensu. To był pani pomysł. Dodam, że trochę zwariowany. →



FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ/AG, RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARKA SZCZEPAŃSKIEGO

„Po moim odwołaniu zespół zachował się fantastycznie. Nawet pomyślałam sobie wtedy, że może warto być odwołanym, żeby to przeżyć. To trochę tak, jakby być na swoim pogrzebie i zobaczyć, kto płacze, jak ludzie się zachowują

MAGDA JETHON

→ - Zostałam dyrektorką w marcu 2009 roku i zastałam prawie pustą kasę. Jako dyrektorka nie mogłam ogłosić publicznej zbiórki, ale wiedziałam, co mówią nasi najwierniejsi słuchacze. Oni w wielu miejscach deklarowali gotowość opodatkowania się na rzecz Trójki. No więc połączyłam to wszystko. Skrzyknęłam kilku najbardziej aktywnych i to oni założyli komitet - to ważne, że komitet, bo to można zrobić bardzo szybko. Zakładanie stowarzyszenia trwa znacznie dłużej, a nam pieniądze potrzebne były natychmiast. Równocześnie uruchomiłam SMS, czyli możliwość wspierania nas finansowo przez wysyłanie SMS-ów, co też nie było łatwe, bo do tego musiałam przekonać najważniejsze osoby w programie, na przykład Wojtka Manna. Zespół bał się, że głupie konkursy na antenie rozwalą Trójkę, ale jakoś przez to przeszliśmy. Prowadzący nie wciskali żadnego kitu, na przykład Piotrek Baron mówił tak: wszyscy wiemy, jaka jest odpowiedź

na to pytanie, ale można jeszcze wysłać SMS. I słuchacze doskonale wiedzieli, że to nie jest konkurs, a my w ten sposób nie sprawdzamy ich wiedzy, tylko że jesteśmy w trudnej sytuacji. Zarobiliśmy w ten sposób dużo pieniędzy, lecz ciągle za mało, by przetrwać. Stąd ta publiczna zbiórka. Na nią jednak trzeba było mieć pozwolenie z MSWiA.

Wtedy resortem rządził Grzegorz Schetyna. Któregoś dnia, a konkretnie 29 czerwca, minister Schetyna przyszedł do porannego programu i wtedy się na niego zacząłam. Po programie bardzo się spieszył i chciał mnie jakoś zbyć, ale się nie dałam. Powiedziałam: ja nie zebrał i nie potrzebuję od was żadnych pieniędzy, tylko dajcie mi szansę na publiczną zbiórkę. Odpowiedział, żebym przysłała mu dokumenty. W ogóle nie wiedziałam, o jakie dokumenty chodzi, ale zebrałam kilka osób i przygotowaliśmy wnioski. Wysłałam te papiery i pojechałam do Gdyni na Open'era. Tam odebrałam telefon z ministerstwa z pretensjami, że dokumenty są nieprofesjonalnie przygotowane. Nie bardzo wiedziałam, czy mam od razu wracać. Skończyło się jednak na tym, że wisiłam na dwóch telefonach naraz i przez telefon pisaliśmy wszystko od początku. Złożyliśmy to jeszcze raz, potem dodaliśmy jakiś brakujący dokument i w połowie lipca, czyli bardzo szybko, dostaliśmy pozwolenie, a właściwie nie my, tylko Komitet Miłośników Trójki dostał zgodę na publiczną zbiórkę. Wiedziałam, że to nie koniec, że do zbiórki trzeba dorobić całą oprawę, że muszą się wypowiadać na antenie znani ludzie, ale to już było prostsze. 10 sierpnia na konto komitetu zaczęły wpływać pierwsze pieniądze.

Ile zebraliście?

- Ponad 800 tysięcy.

Będziecie to powtarzać?

- Gdyby była wielka potrzeba, to tak, ale jeśli nie będzie, wolę inne sposoby zdobywania pieniędzy. To jednak była żebrania, choć wymuszona przez okoliczności. W dodatku przy takich akcjach zawsze łatwo rzucić na to jakiś cień, oskarżyć o oszustwa. I co z tego, że wszystko jest transparentne, skoro przychodzi Sobala i daje do zrozumienia, że to była jakaś lewizna, a sami dziennikarze chcieli się tu uwłaszczyć.

A propos uwłaszczenia, a może Trójka powinna być prywatna?

- Gdyby to było radio prywatne i - powiem nieskromnie - gdybym to ja była dyrektorką, to myślę, że krzywda by się temu radiu nie stała. Na pewno dalibyśmy sobie radę, bo Trójka prawdopodobnie jest

w stanie na siebie zarobić. Ale może stać się tak, że właściciel uzna, iż można zarobić więcej, i zacznie wprowadzać takie zmiany, które spowodują, że Trójka straci swoją niepowtarzalność. To, że jest się radiem publicznym, to jednak jakaś gwarancja...

Jaka gwarancja? Zakreśliło się polityczne koło i pani wyleciała.

- Dlatego podejmujemy próbę napisania nowej ustawy o radiofonii. Zdajemy sobie sprawę z tego, że za jakiś czas przyjdzie kolejny kipisz i wszystko zacznie się od początku. Nie możemy zgodzić się na to, by politycy tak nami pomiatali. Mam w zespole świetną reporterkę, studentkę prawa, która właśnie pisze pracę magisterską, mogącą być podstawą dla całego zespołu ludzi i kilku kancelarii prawnych do stworzenia nowej ustawy.

Byli już tacy, którzy pisali nową ustawę: Agnieszka Holland, Maciej Strzembosz, Jacek Żakowski.

- Czyli tak zwani twórcy. Z całym szacunkiem dla twórców - nie mogę zrozumieć, dlaczego to oni mają pisać ustawę radiową?

Oni to robili dlatego, że widzieli niemoc polityków, czyli właściwie z tych samych powodów, dla których wy się do tego bierzecie.

- Wydaje mi się, że nie byli tak zdeterminowani jak my. Poza tym ich ustawa była zbyt skomplikowana. My chcielibyśmy, żeby ustawa zapewniała jedną rzecz, a mianowicie,

że już nigdy więcej to, że ktoś wygrał wybory, a ktoś je przegrał, nie doprowadzi do wywrócenia w mediach publicznych wszystkiego do góry nogami. Przez swoją solidarność Trójka pokazała, że jest zespołem, moim zdaniem ostatnim w mediach publicznych. Dlatego to my mamy prawo napisać taką ustawę.

Dobrze, zatem napiszecie i co potem? Jak przekonacie do tej ustawy polityków, bo to oni stoją na końcu tej drogi?

- Wiem. Mam jeden pomysł, ale nie mogę go na razie zdradzić.

Dlaczego?

- Bo ci politycy, którzy zdecydować się to poprzeć, nie powinni się o tym dowiadywać z gazety, nawet tak szacownej jak „Przekrój”.

To oni jeszcze nie wiedzą?

- Nie no, trochę wiedzą. Wszystko jest na dobrej drodze.

Zalóżmy zatem, że wszystko się udaje, ustawa wchodzi w życie i mamy Trójkę w nowej rzeczywistości. Jaką Trójkę?

- Elitarną. Kiedyś był taki pęd, że wielki artysta powinien wystąpić na wielkim stadionie. A dziś Sting zastrzega sobie, że może wystąpić dla góra kilkuset osób. Wielu artystów stawia na elitarność. Radio nie jest dobrze badane. Nie wiadomo, ile osób naprawdę słucha poszczególnych stacji. W związku z tym prawdziwym magnesem przyciągającym reklamodawców jest marka. Moim pomysłem na to, jak utrzymać Trójkę, jest dbanie o markę i poziom. Nie oszukujemy się, taka Trójka nigdy nie przekroczy poziomu słuchalności, powiedzmy 10 procent.

Dziś ma około siedmiu, ale jak pani sama przyznała, to może być mocno nieprecyzyjny wynik. Jak pani chce podnosić markę?

- Trzeba robić wszystko, żeby marka była znana. Na przykład organizując koncert ze Stingiem i pokazując podczas niego naszych ludzi. Ale też trzeba ciężko pracować na co dzień i potrafić docenić słuchaczy za tak fantastyczne akcje jak na przykład ta, która wydarzyła się podczas licytacji na rzecz rodzinnych domów dziecka. Kuba Strzyczkowski zapytał naszego trójkowego kolegę, dziś korespondenta Polskiego

Radia w Waszyngtonie Marka Wałkuskiego, czy ten ma coś, co mógłby wystawić na licytację. Marek odpowiedział, że ma piękne amerykańskie „NIC”. I proszę sobie wyobrazić, że to „NIC” poszło za sześć tysięcy. Chcę też co miesiąc organizować benefisy fajnych ludzi. Za nami są już dwa - Wojtka Manna i Marka Kondrata. Przed nami kolejny - Janusza Głowackiego. Takie imprezy przyciągają inne media i to mnie bardzo cieszy. Chcę też robić zaskakujące happeningi. Właśnie proponowałam nowym radnym nazwanie alejki prowadzącej do Zamku Ujazdowskiego alejką radiowej Trójki. Co miesiąc trzeba coś wymyślać i tego się nie boję, bo od wymyślania jest tutaj tak wielu wspaniałych ludzi, że ja nawet nie muszę specjalnie się wysilać.

Ale może mamy czas zmierzchu tradycyjnych mediów? Prasy, radia?

- Absolutnie nie.



FOT. Maciej Zienkiewicz/AG

Magda Jethon

Dziennikarka radiowa znana nie tylko z upodobania do kolorowo farbowanych włosów. Od 33 lat związana z radiową Trójką. W stanie wojennym na osiem lat pozbawiona prawa wykonywania zawodu. Prowadziła wiele audycji autorskich na antenie rozgłośni, między innymi „Twarzą w twarz”, „Nasz Parnas”, „Polityk też człowiek” i najsytniejszą „Pani Magdo, pani pierwszej to powiem”. W 2006 roku odeszła z Trójki, do której wróciła 25 lutego 2009 roku jako jej dyrektor w miejsce Krzysztofa Skowrońskiego. Jej odwołanie 29 grudnia tego samego roku wywołało protest dziennikarzy i słuchaczy. 9 listopada 2010 roku wróciła na stanowisko.

Czym się różni elitarność od marginalności?

- Elita jest elitą dlatego, że jest stosunkowo niewielka. Wielka elita przestaje być elitą. A margines brzmi jednak pejoratywnie. Moim zdaniem nasze społeczeństwo rozwija się w kierunku szukania wyjątkowości. Kiedyś, gdy żyliśmy jeszcze w PRL, szukaliśmy fajnych zachodnich ciuchów. Przyjeżdżał tu ktoś z tego mitycznego Zachodu i był kiepsko ubrany, niekiedy wyglądał nawet jak oberwaniec. Ale miał na sobie coś, co pokazywało, że to jest jego wybór, a nie brak pieniędzy. Miał na przykład piękny zegarek albo buty określonej marki, albo superokulary. Myślę, że Trójka może być takim ekstragadżetem. Może słowo „gadżet” nie brzmi za dobrze, ale będzie, i chyba już jest, czymś, co nobilituje.

Powiedzenie, że „słucham Trójki”, będzie podnosiło prestiż człowieka?

- Tak sądzę. Zależy mi na tym, żeby ludzie, którzy dziś nie wiedzą nawet, co to jest Trójka, przynajmniej się o niej dowiedzieli, choć niekoniecznie jej słuchali.

Marek Niedźwiecki, który wrócił do Trójki, chyba troszkę za pani sprawą...

- Tak, trochę tak.

...mówi, że radio to czary, a z pani słów wynika, że radio to projekt i biznes.

- To i jedno, i drugie. Moją rolą jest projektować, wymyślać i robić jakieś biznesy, a rolą Marka - czarować. Ja to wiem i dlatego mam tu mnóstwo takich ludzi, których traktuję jak dzieci szczególnej troski, ponieważ oni w ogóle nie są zawieszani we właściwej czasoprzestrzeni. Są niezwykle uroczy, nie wiedzą, co się dzieje na świecie, nie interesują się polityką, ale robią piękne radio. Uwielbiam ich, chociaż niekiedy muszę na nich krzyczeć.

Nie brakuje pani anteny?

- Mam sześć minut anteny raz w tygodniu. To jest historia świata od 1950 roku. Historia pisana dźwiękiem.

Sześć minut to malutko.

- No, brakuje mi anteny, ale jestem tak wychowana, że pewnych rzeczy nie wypada. Ja jestem osobą wymagającą i gdybym zaliczyła jakąś wpadkę w programie na żywo, to jak bym miała wezwać na dywanik kogoś, kto zalicza podobną wpadkę? A na żywo o jakieś potknięcie jest naprawę łatwo.

Zna pani obie pływalnie - i tę anteny radiowej, i tę świata organizacji oraz zarządzania. W której lepiej się pływa?

- Całe życie marzyłam o tym, żeby być bardzo dobrą dziennikarką, nigdy nie marzyłam o tym, żeby zarządzać, wręcz przeciwnie. Ale może tak być, że to zarządzanie wychodzi mi lepiej. Na pewno daje dużo satysfakcji, o czym dowiedziałam się wtedy, gdy mnie odwołali.

Każdy, kto jest powoływany, zwłaszcza w mediach publicznych, chyba zdaje sobie sprawę z tego, że kiedyś będzie odwołany?

- To akurat wiem bardzo dobrze. Oczywiście, że kiedyś przestanę być dyrektorką, ale chciałabym, żeby na moje miejsce przyszedł ktoś, kto zna radio, najlepiej, gdyby to był ktoś z zespołu. Ja nawet mam w zespole takie osoby, które by się do tego nadawały.

Na koniec pytanie od słuchacza Trójki, czyli w pewnym sensie prywatnie: czy wróci codzienna powieść w wydaniu dźwiękowym?

- Odpowiedź będzie miła i niemiła. Mówiłam na początku naszej rozmowy, że mamy trochę jubileuszowych pieniędzy, więc z tych pieniędzy nagrywamy właśnie „Codziennie powieść w wydaniu dźwiękowym”. Będzie to najnowsza powieść Janusza Głowackiego w 30 odcinkach. To będzie szło przez sześć tygodni. A niemiłe jest to, że potem prawie na pewno nie będzie nas stać na ciąg dalszy. ●

Moc emocji i nowości

Nie jest tak, że chcielibyśmy, by w tym roku wszystko było na odwrót. Ale byłoby przyjemnie, gdyby nie wszystko było tak samo. Dlatego wyczekiwane wydarzenia prezentujemy w porządku następującym: przede wszystkim atrakcje z działu „Koniec z kulturą”, polityka z „Przede wszystkim” w środku, na końcu zaś „Cywilizacja od środka”, która wieszczy... Zresztą sami Państwo zobaczą, co wieszczy



KONIEC Z KULTURĄ



Cokolwiek Lady GaGa by zrobiła, cały kosmos dzieli ją od Davida Bowiego

MATKA NADZIEJA

Narodziny gwiazdy

Nowa płyta Davida Bowiego? Pewnie jej nie będzie. Nowa płyta Lecha Janerki? Być może będzie. Nie czekamy na kolejne płyty z nagraniami ponoć (lub prawie) Michaela Jacksona, ponieważ ich doczekamy się na pewno. Za to z niecierpliwością wyglądamy albumów głodnych i godnych naszej uwagi debiutantów. Tak, chcemy nowej gwiazdy. Takiej prawdziwej, nie dmuchanej – z dobrymi piosenkami i wyrazistą osobowością. A jeśli nikt nowy się nie pokaże, to niech już wróci Amy Winehouse. Trzeźwa. A Lady GaGa niech wreszcie nagra nową płytę, choćby złą, bo już mamy dość pisania o sukienkach z kotletów... Swoją drogą, nie mielibyśmy też nic przeciwko narodzinom jakiegoś nowego, interesującego i inspirującego muzycznego trendu. Nowego punk rocka, hip-hopu albo chociaż dubstepu. Niechże wreszcie coś się zdarzy.

DZIEŁA MNIEJ ZNANE

Półkownik Zanussi

M mało kto to zauważył, ale to będzie już czwarty rok bez słońca. Bez „Czarnego słońca”, filmu Krzysztofa Zanussiego przetrzymywanego w piwnicach jednej z rodzimych firm

okazję go zobaczyć (na przedostatnim festiwalu w Gdyni), dzielą się na przekonanych, że widzieli rasowy melodramat, i tych, którzy sądzą, że była to doskonała komedia. Jedno jest pewne: wszystkich ten blask poraził. Uwolnić „Czarne słońce”!

UROCZYSTOŚCI

Rok Miłosza

W stulecie urodzin Czesław Miłosz doczekał się roku swego imienia i niewątpliwie będzie się go obchodzić suto, gęsto, ozdobnie – i za spore pieniądze. Ciekawie będzie popatrzeć. Nie tylko dlatego, że odbędą się pewnie także podnoszące temperaturę obchodów sceny gorszące: nieposkromione brązownictwo z jednej strony, biadania o „antypolskość” Miłosza z drugiej. Ważne, że w końcu (wiosną) ukaże się biografia poety pióra Andrzeja Franaszka pisana przez długie lata – już ostrzyliśmy sobie na nią zęby. Będą też w maju aż dwa Miłoszowskie festiwale – w Krakowie i we Wrocławiu. Ideałem w roku noblisty byłoby, gdyby następny Polak (lub Polka) jesienią dostał (dostała) Nobla – na przykład Tadeusz Różewicz – ale tego nie jesteśmy w stanie zagwarantować. Czekamy.

LADNE SPRZED LAT

Gięcie, cięcie

Design – to słowo ostatnio robi w Polsce zawrotną karierę. Każdy aspirujący inteligent musi mieć wydesygnowane mieszkanie, każde szanujące się miasto organizuje festiwal designu, a urzędnicy państwowi uparli się, by za pomocą designu promować Polskę na świecie. Zaczynając się 20 stycznia wystawa „Chcemy być nowoczesni. Polski design 1955–1968 z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie” to powrót do początku tego szaleństwa. Ceramika z Włocławka i Ćmielowa, meble ze spółdzielni artystów Łódź, gięta sklejka i stalowa siatka, czyli 180 wyjątkowych przedmiotów, które do dziś wyglądają bardziej nowoczesnie niż niejedna nowość z ostatniego sezonu. Klasykę warto znać.

PLAN NA LATO

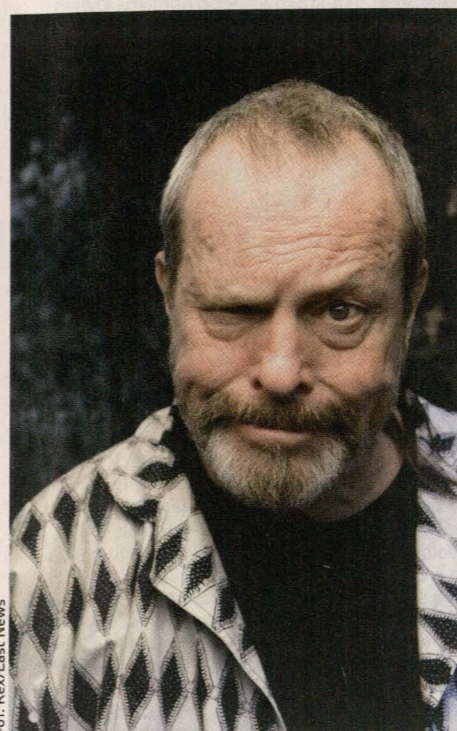


Coldplay uświetni Open'era

Festiwalowe lato

B ryndza w fonografii trwa, więc zespoły coraz chętniej ruszają w trasy. Niestety, nasze portfele nie puchną równie szybko jak oferty klubów, więc tej jesieni dało się już odczuć pierwsze symptomy zadyszki – nawet dotychczasowe koncerty pewniaki nie potrafiły zapełnić sal. Nie będziemy bardzo zaskoczeni, jeśli klubowych koncertów w 2011 roku będzie mniej. Cała nadzieja więc w festiwalach, którym łatwiej znaleźć sponsora i które mają już wierną publiczność. Open'er (Coldplay po raz pierwszy w Polsce już potwierdzony), OFF Festival, Sonisphere (Iron Maiden i Motörhead), Nowa Muzyka, Ethno Port, Brave, Era Nowe Horyzonty... – to tylko skromna (za to obowiązkowa!) część muzycznej oferty na kaniulę. A z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że szykują się też nowe, ciekawe inicjatywy. Trzymamy kciuki.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FOT. Rex/East News

W lipcu nad Odrą era Terry'ego Gilliana

ONI U NAS

Gilliam we Wrocławiu, Goodall w Warszawie

N ie będzie to pierwsza wizyta jednego z założycieli Latającego Cyrku Monty Pythona w Polsce, ale zdecydowanie powinna otwierać listę najbardziej oczekiwanych wizyt zagranicznych artystów w naszym kraju w tym roku. Gilliam bowiem słynie ze swojej otwartości w kontaktach z widzami. Jeśli więc będziecie chcieli porozmawiać z nim o kultowych „Brazil”, „12 małpach”, „Monty Pythonie i Świętym Graalu”, słabości do ruin średniowiecznych zamczysk albo o tym, jak przez kilkadziesiąt lat udało mu się utrzymać w branży, mimo że szerokim łukiem omijał Hollywood, wystarczy, że stawicie się w ostatnich dniach lipca we Wrocławiu i będziecie wypatrywać go w jednym z kin festiwalowych Ery Nowe Horyzonty, na której zaproszenie przyjedzie do Polski. Reżyser będzie tu miał swoją retrospektywę. Również z filmowych powodów Polskę odwiedzi Jane Goodall, która wprawdzie nie jest gwiazdą kina, ale za to wielką gwiazdą nauki. Legendarna brytyjska badaczka szympanсів przyjedzie w maju na festiwal Planete Doc, podczas którego premierę będzie miał dokument o niej zatytułowany „Jane's Journey”.

TEATRALNIE I URODZINOWO

Dialog paździenikowy

W październiku kolejna edycja festiwalu Dialog. W roli głównej Wrocław i Teatr Współczesny. Z przedstawieniem „Platonowa” Czechowa przyjedzie jeden z najgłośniejszych dziś reżyserów Ivo van Hove. Spektakl przygotowuje jego amsterdamski teatr Toneelgroep, który na poprzednim Dialogu zachwyił „Tragediami

rymskimi”, również w inscenizacji tego artysty. Nad Odrą pojawi się też Christoph Marthaler. Co prawda jego „Papperlapapp” o relacjach między Kościołem a społeczeństwem powstał z myślą o festiwalu w Awinionie, jednak wersja przedstawiona we Wrocławiu będzie dostosowana do polskich realiów. Zapowiadany jest również przyjazd

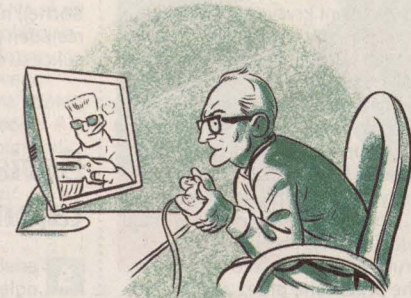
reżysera Romea Castelluccio. Założony przez niego teatr Societas Raffaello Sanzio z siedzibą w Cesenie przygotowuje spektakl pod roboczym tytułem „J” (od imienia Jezusa). Wrocławski Teatr Współczesny jest współproducentem tego przedstawienia. To w październiku, a już w czerwcu Współczesny zorganizuje festiwal na 90. urodziny

(przypadające w październiku) Tadeusza Różewicza. W programie inscenizacje dramatów pana Tadeusza, wystawy prac plastycznych, sztuki wideo i animacje. Ponadto debata „Dlaczego Tadeusz Różewicz nie dostał Nagrody Nobla?” oraz Hyde Park Różewicza, czyli publiczne czytanie wszystkich dzieł poety na wrocławskim rynku.

NA SCENIE

Premiery bardzo wybrane

N ajbliższe – bo już w styczniu – prapremiera sztuki Bożeny Umińskiej-Keff, znanej krytyczki i publicystki, pod wiele mówiącym tytułem „Utwór o Matce i Ojczyźnie”. Miejsce akcji: Teatr Polski we Wrocławiu, reżyseria: Jan Klata. W tym samym teatrze we wrześniu inna polska prapremiera – nowej sztuki Doroty Masłowskiej pod prowizorycznym na razie tytułem „X-peryment”. Reżyseria – uwaga – sam Krystian Lupa. Trzymajcie kciuki za termin. Na przełomie lutego i marca krakowski Stary zapowiada premierę jednego z arcydzieł dramaturgii XX wieku – „Czekając na Godota” Becketta w reżyserii Piotra Cieplaka. Z kolei warszawski Narodowy wytacza dwa działa: na marzec szykuje premierę „Lorenzaccia” Musseta w reżyserii stałego już współpracownika Narodowego, świetnego Jacques'a Lassalle'a, oraz na czerwiec dzieło jeszcze słynniejsze, „Oresteję” Ajschylosa w reżyserii Mai Kleczewskiej. Po ekstremalnej, jak się spodziewamy, przygodzie z antykiem już w nowym sezonie na narodowej scenie armata jeszcze większego kalibru. Połączone siły Teatru Narodowego i TR Warszawa przygotowują widowisko według „Draculi” Brama Stokera. Rzec wyreżyseruje Grzegorz Jarzyna, który z projektem tym nosił się od bardzo dawna, tyle że brakowało mu odpowiedniej przestrzeni i pieniędzy. Trafiał jednak we właściwy moment, bo w 2012 roku mija setna rocznica śmierci Brama Stokera. Można więc oczekiwać, że polski „Dracula” zagości w Europie, choć – tego akurat jesteśmy pewni – do jubileuszowej sztampy będzie mu daleko.

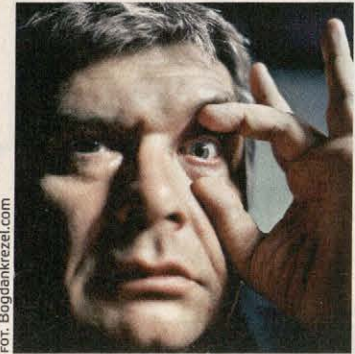


ILUSTRACJA Mateusz Kolek

DLA BABCI I WNUCZKI

Czekając na Duke'a

T ak, wiemy, że z przepowiedniami dotyczącymi sequeła legendarnej gry „Duke Nukem 3D” jest jak z przepowiedniami końca świata: wieszczęło wielu, nikt nie trafił. Tym razem jednak sprawa wygląda poważnie. Producenci gry – 2K Games i Gearbox – obwieścili oficjalnie, że „Duke Nukem Forever” jest „już prawie gotowy” i ukaże się w 2011 roku w wersji na Xboxa, PlayStation i peceta. Ma być jak u przodka: dużo ładnych dziewczyn, jeszcze więcej grepsów, a przede wszystkim mnóstwo anihilacji. Problem w tym, czy ktoś jeszcze na to czeka. Przecież większość tych, którzy zarywali noce na eliminowaniu mutantów za pomocą wielolufowych karabinów maszynowych i innych wynalazków, zachwycając się możliwościami interakcji bohatera ze światem (choćby *Damn, I'm lookin' good* mamrotanym przez Duke'a przed lustrem po naciśnięciu spacji), dziś ma już dzieci, a nawet wnuki. Z drugiej strony może to świetny sposób na łączenie pokoleń?



FOT. Bogdan Krzeslak.com

POETA 50-LETNI
Świetlicki się zbiera

Ze Marcin Świetlicki świetnym poetą jest, to wiadomo od dawna. Od dawna, bo jego sławny książkowy debiut „Zimne kraje” ukazał się 18 (jak ten czas leci!) lat temu, a sam poeta w Wigilię 2011 roku skończy równo 50 lat. Pięćdziesiątka to pięćdziesiątka, więc i czas najwyższy na wydanie wierszy zebranych, bo dotąd Świetlicki był chwalenie oszczędny, jeśli chodzi o przypomnienie tego, co napisał. Nie do wiary, ale nigdy – poza niewielką książeczką, do której trzy zaprzyjaźnieni krytycy i poeta Andrzej Sosnowski wybrali po 11 wierszy MŚ, nazywało się to „Wiersze wyprane” – nie było wyboru poezji Świetlickiego. Bo trudno za klasyczny wybór uznać zbiór (wybranych tym razem przez Wojciecha Bonowicza) „wierszy religijnych” pod tytułem „Nieoczywiste”. No a teraz – to znaczy w maju – wydzie wszystko, co MŚ wydrukował („wszystko” podobno trochę przebrane przez autora, będą to więc, używając angloamerykańskiej terminologii, *collected*, a nie *complete poems*), z – uwaga! – dodatkami kilkudziesięciu dawnych wierszy nigdy niepublikowanych. Wydarzenie co się zowie.

DAMA I ULANI

Kampania wrześniowa

Z Jerzym Hoffmanem wybierzem się w przeszłość. Obawiamy się jednak, że nie tylko do zwycięskiej bitwy, lecz także do kina sprzed lat. Choć „Bitwa warszawska 1920” będzie najnowocześniejszym technologicznie polskim filmem pełnometrażowym, boimy się, czy wielowymiarowość nie zaskodzi fabule. Potyczka o widownie, szczególnie tę w wieku przedpoborowym, wydaje się wygrana. A czy podobnie zostaną też nasze serca? Zwiastun i lektura streszczenia każą wątpić, bo widzimy w nich chwytne znane już z innych superprodukcji (w tym „Ogniem

DŹWIĘKI Z WYSOKIEJ PÓŁKI

Sacrum zruci z krzesła

Uubimy Sacrum Profanum, ale kto wie, czy w tym roku nie polubimy jeszcze bardziej – już wiadomo, że na koncercie inauguracyjnym krakowską imprezę spotkają się Steve Reich i Jonny Greenwood, gitarzysta Radiohead, który tworząc solo, zaciera i tak płynną granicę pomiędzy (post)rockową alternatywą a muzyką współczesną. Intrygujące będą również zamówione u młodych polskich kompozytorów utwory inspirowane poezją Miłosza (piszą je między innymi Paweł Mykietyń, Aleksandra Gryka i Agata Zubeł). Natomiast finał ma nas – twierdzi szef imprezy Filip Berkowicz – zrucić z krzesła. Trzymamy za słowo. I łapiemy się poręcz.

BLASK DLA MAS

Romkom nie umiera nigdy

Marzeń o polskiej komedii romantycznej, która nas wzruszy i rozbawi do łez, pozbyć się trudniej niż cellulitu. Mimo serii porażek wynikających z mechanicznego stosowania formuł i schematów filmowy nie odpuszczają. Dlatego już zimą zobaczymy, jak w „Och, Karol 2” Piotra Weresniaka (premiera 21 stycznia) Piotr Adamczyk rozkochuje w sobie pierwszą ligę serialowych gwiazd (między innymi Małgorzatę Foremniak, Martę Zmudę-Trzebiatowską, Katarzynę Zielińską i Małgorzatę Sochę), na których widok zawyje niejeden pudełek. Co ciekawe, bez sukcesu oryginalnego filmu nakreco-

JAK W AMERYCIE

Serial „Bez tajemnic”

Serial HBO zna, ogląda i kocha dziś cały świat. Rok 2011 przejdzie do historii – premierę będzie miał pierwszy serial HBO wyprodukowany w Polsce, z polską

obsadą i ekipą. W rodzimym wersji hitu „In Treatment” (polski tytuł „Bez tajemnic”) zobaczymy Jerzego Radziwiłowicza i Krystynę Jandę, reżyserują Anna Kazejak („Skrzydlate świny”) i Jacek Borcuch („Wszystko, co kocham”). A jak zapowiada

prezes HBO Polska Aleksander Kutela, stacja planuje kolejne produkcje – „odważne, oryginalne, czasem niszowe, które pokażą zaskakujący punkt widzenia”. Czy stworzymy pierwszy współczesny, naprawdę odważny polski serial? Okaże się jesienią.

PREMIERA „DZIENNIKA”



– zgodnie z wolą autora – i można się spodziewać (radośnie lub z obawą), że przyćmi także CAŁOŚĆ polskiej prozy powstałej w ostatnim ćwierćwieczu. Czyli wielka radość. A nasza proza? Cóż, sama sobie winna.

Białoszewski rulez!

Rok Miłosza rokiem Miłosza, ale coś nam mówi (Dajmon?), że „Dziennik” Mirona Białoszewskiego – podobno bite 700 stron – jesienią przyćmi najhuczniejsze nawet fajerwerki na cześć wileńsko-kalifornijsko-krakowskiego noblisty. Dzieło Białoszewskiego ukazuje się po latach

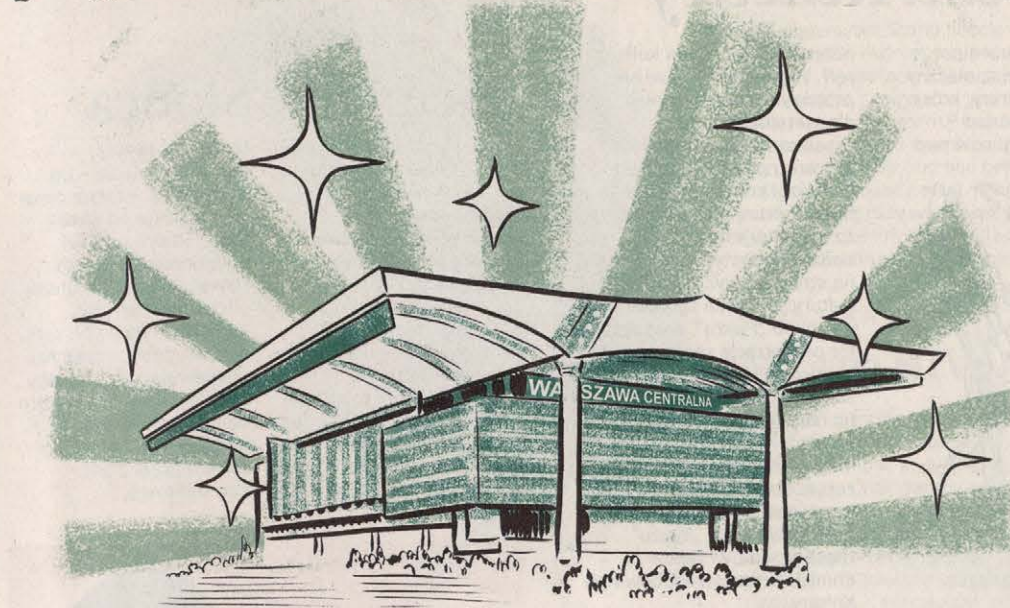
EKRAN NIEZALEŻNY

Kraków z gwiazdami (bez pyłu)

Festiwal filmowy Off Plus Camera odbywa się w Krakowie dopiero od dwóch lat, ale zdążył już gościć takie gwiazdy jak Jane Campion i Adrián Biniez (argentyński reżyser, który wspólnie z Andrzejem Wajdą odbierał Nagrodę Specjalną Jury na Berlinale 2009). To tu także polską premierę miało oscarowe „Hej, skarbie”. Najbardziej, jak było w przypadku poprzednich edycji, czekamy na sekcję „From the Gut”, do której filmy spośród najlepszych amerykańskich produkcji niezależnych roku wybiera sam Trevor Groth, dyrektor programowy festiwalu Sundance. I mamy głęboką nadzieję, że tym razem, jeśli pojawią się wybuchy, to tylko owacji na sali, nie zaś wulkanicznych pyłów nad Islandią i że gwiazdy, którym chmura rok temu uniemożliwiła przybycie do Polski, dotrą do nas podczas kwietniowej, czwartej już edycji.



PRZED WSZYSTKIM



ILUSTRACJA Mateusz Kolek

KOLEJOWE KATEDRY

Im starszy, tym młodszy

Warszawski Dworzec Centralny w grudniu ma być całkiem jak nowy – ten brzydko starzejący się 35-latek nie przejdzie radykalnej operacji, ale i tak ma się odmienić dzięki starannemu liftingowi połączonemu z gruntownym myciem. W sumie wyszorować (detergentami

i wodą pod ciśnieniem) trzeba będzie ponad 53 tysiące metrów kwadratowych (sama hala ma 32 tysiące metrów). Firma, która zajmuje się odnawianiem dworca, zapewnia, że czystą i pachnącą halę zobaczymy już w maju. Elewacja ma być nieskazitelna

w październiku, a nad peronami specjaliści popracują do grudnia. Wszystko razem ma kosztować około 47 milionów złotych i olśnić tych, którzy przyjadą do stolicy na Euro 2012. Przez cały rok trwać będzie remont dworca w Gdyni. Również Wrocław przebudowuje swoje

perony. A Poznań? Na razie jest na etapie kompletowania dokumentacji dotyczącej budowy nowego dworca. Czekając na koniec tych robót, renowacji i przebudów, krzepimy się nadzieją, że już wkrótce będziemy też jeździć pięknymi i punktualnymi pociągami.

STATYSTYKA

Daj się spisać

Warto czekać na prima aprilis, bo 1 kwietnia zaczyna się Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań, który potrwa trzy miesiące. To pierwszy spis, odkąd Rzeczpospolita Polska stała się członkiem Unii Europejskiej. Ma dostarczyć szczegółowych informacji o liczbie ludności, jej rozmieszczeniu, strukturze demograficzno-społecznej i zawodowej, jak też o społeczno-ekonomicznych cechach gospodarstw domowych oraz rodzin. Dlatego od rachmistrza spisowego usłyszymy między innymi pytania o to, ile mamy dzieci i czym jeździmy do pracy. Wynik spisu do końca 2013 roku musi trafić do Biura Statystyk Komisji Europejskiej Eurostat.

NIK NA TROPIE

Izba odpowie

Odpowiedzi na 282 pytania zaplanowała Najwyższa Izba Kontroli. Tyle bowiem inspekcji przeprowadzi w przyszłym roku. Chce przeświecić między innymi bezpieczeństwo sektora finansowego, prywatyzację przemysłu farmaceutycznego, rozwój gazowej sieci przesyłowej, bezpieczeństwo ruchu

lotniczego, finansowanie nauki i sportu, prawa pacjentów w szpitalach psychiatrycznych, utylizację odpadów medycznych. Izba chce też przyrzeć się temu, czy wojsko odpowiednio szkoli swoich pilotów – oczywiście w związku z katastrofą smoleńską. Z pewnością niemających emocji dostarczą również kontrole szkoleń agentów służb specjalnych oraz wzięcie pod lupę przez NIK wyjazdów (bywa, że bardzo egzotycznych) przedstawicieli rządu i ministerstw.

KAPLICZKI FUTBOLU

Duże, a rosną

W Polsce pojawiają się nowoczesne obiekty sportowe. Budowa Stadionu Narodowego w War-

szawie ma się skończyć w czerwcu. Inne stadiony – oprócz obiektu w Poznaniu, którego budowa już jest zakończona – mają być gotowe do lata. Stadion w Gdańsku czeka już właściwie tylko na dach i ostatnie

poprawki. Najważniejszy będzie oczywiście wielki debiut Stadionu Narodowego – 55 tysięcy kibiców obejrzy inauguracyjny mecz Polska–Niemcy. Czy w końcu z nimi wygramy? Nadzieja tylko na dach i ostatnie

WAŻNE NUMERY

Ratunek na 112 procent

W tym roku będzie już na 100 procent. A nawet na 112. MSWiA zaklina się, że europejski numer alarmowy w końcu zadziała jak należy. Za ponad 115 milionów złotych mają powstać centra powiadamiania ratunkowego – na razie dzwoniąc pod ten numer, łączymy się z policją. Na tym prowizorycznym „systemie zastępczym” Najwyższa Izba Kontroli nie zostawiła ostatnio suchej nitki.

PARLAMENT OD NOWA

Emocje nad urną



ILUSTRACJA Dawid Ryski

prawdopodobnie jesienią (choć niektórzy przebakują o wiosnie) będziemy świadkami spektakularnej walki każdego z każdym. Na wyborczym ringu będąca faworytem Platforma Obywatelska zmierzy się nie tylko ze swoim odwiecznym rywalem Prawem i Sprawiedliwością. Walkę o parlament uatrakcyjnią pochodzący z obu stron rozłamowcy: Janusz Palikot ze swoim Ruchem Poparcia i Joanna Kluzik-Rostkowska, dla której Polska Jest Najważniejsza. O utrzymanie się na podium rywalizować będzie rozdarty wewnętrznie sparciem SLD i konsolidujące się właśnie PSL. Kto wygra? Jak w każdej szanującej się dyscyplinie sportowej niczego nie wiadomo do końca, choć sondaże niezmiennie sprzyjają PO. Pamiętajmy jednak, że gdy ruszy wyborcza karuzela, wielu może pospadać z krzesetek. Obietnica i obelg oraz nadziei, zgrozy i śmiechu będziemy zatem mieli co niemiaro.



Bolszewicy nacierają, ale wkrótce ich pogonimy

FOT. Lukasz Szlachaj/Reporter

SOJUSZ Z MUZAMI

Konstytucja dla kultury

N adchodzi rewolucja kulturalna? Wybuchnie w marcu, gdy zaprezentowana zostanie ostateczna wersja projektu „Pakt dla

kultury”. Wydarzenie organizuje ruch społeczny Obywatele Kultury, który dotąd zebrał ponad 80 tysięcy podpisów pod

petycją „1 procent na kulturę”. W „Pakcie” pojawi się propozycja, by umożliwić obywatelom i firmom przekazywanie jednego procentu podatku na rzecz instytucji kultury, a także by na kulturę przeznaczać co najmniej jeden procent budżetu państwa. Do marca na stronie www.obywatele-kultury.pl można zgłaszać uwagi do „Paktu”, a wszystkie organizacje społeczne, kulturalne i jednostki samorządu działające na rzecz kultury mogą do niego przystąpić. – Do marca zamierzamy zebrać sto tysięcy podpisów, a następnie oficjalnie przedłożyć treść „Paktu” rządowi – mówi Beata Chmiel, aktywistka Obywateli Kultury.



ILUSTRACJA Mateusz Kolek

U STERU EUROPY

Polska prezydentką

P ierwszego lipca Polska przejmie stery w UE. W ramach prezydencji będzie kierować pracami Wspólnoty. Będziemy odpowiadać za ponad 700 spraw, w tym za negocjacje wieloletniego budżetu unijnego, politykę energetyczną i umocnienie Partnerstwa Wschodniego. Rząd chce promować Polskę jako kraj rozwinięty gospodarczo i kulturalnie. Tak naprawdę jednak Polskę wypromują nie tylko targi,

konferencje, festiwale i wystawy, lecz przede wszystkim jakość sprawowania przywództwa. Ostatni przykład – Czechi. O ich prezydencji hiszpański „El País” napisał, że „jeszcze nigdy tak mało ludzi nie wyrzuciło tyle szkody idei europejskiej, ile czeski politycy w ciągu ostatnich miesięcy”. Praga nie poradziła sobie ani z reakcją na konflikt w Gazie, ani z kryzysem gazowym, a do historii przeszedł Václav Klaus, który w Parlamencie Europejskim porównał integrację europejską do komunizmu.

MYŚLA W KRZYS

Powieje od morza

F orum Nowych Idei – w Sopocie odbędzie się międzynarodowa (jak twierdzą eksperci – już skazana na sukces) impreza z udziałem noblistów, ekonomistów i polityków z całego świata. Problemy, którymi pod koniec września zajmie się organizowane przez Konfederację Pracodawców Prywatnych Lewiatan forum, są imponujące. Specjaliści będą się głowić nad rolą państwa w gospodarce, ewentualnym bankructwem największych potęg świata, nową edukacją, a nawet nad globalnym transferem idei i wiedzy. Nie wiadomo jeszcze, czy sopocka impreza rozpocznie cykl spotkań, czy pozostanie jednorazowym wydarzeniem. Na razie jest przedstawiana przez organizatorów jako wydarzenie towarzyszące przewodnictwu Polski w Unii Europejskiej (patronat nad nią objął Jerzy Buzek, przewodniczący Parlamentu Europejskiego). Swoją obecność potwierdził już laureat ekonomicznego Nobla z 2009 roku Oliver E. Williamson.

ODBUDOWA

WTC 10 lat po ataku

W okolicy Ground Zero w Nowym Jorku życie wróci 11 września 2011 roku. Po raz pierwszy od 10 lat zwykli ludzie będą mogli postawić stopę na terenie,

na którym stały dwie wieże World Trade Center – w tym miejscu zostanie otwarty Narodowy Pomnik Lotu Numer 93. Prawdopodobnie też ukończony zostanie szkielet najwyższego budynku (541 metrów) nowego kompleksu Freedom Tower. Zostaną

też posadzone kolejne drzewa w parku wokół pomnika – rośnie tam już 400 białych dębów. Całość kompleksu, czyli cztery biurowce, podziemne muzeum, stacja kolejki PATH i stacja metra, zostanie ukończona najwcześniej za trzy lata.



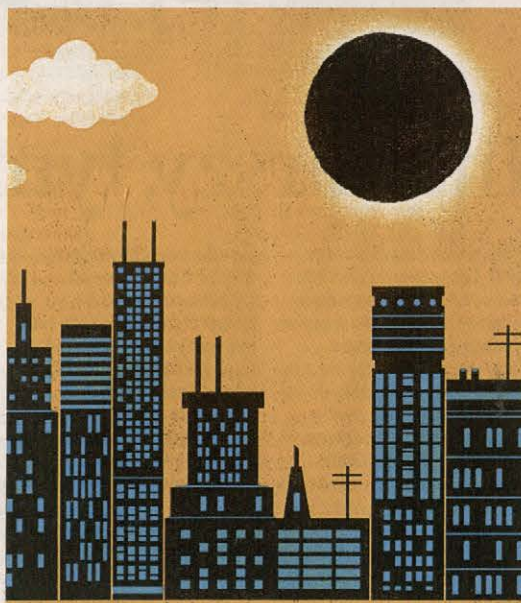
CYWILIZACJA OD ŚRODKA

CUDA NA NIEBIE

Zaćmienie Słońca

T o już dziś, 4 stycznia! Zaćmienie częściowe, ale i tak nie lada gratka – na kolejną zabawę Słońca w chowanego za tarczą Księżycą będziemy musieli poczekać do 20 marca 2015 roku. Mamy nadzieję, że kupując Państwo „Przekrój” na dzień dobry i rozpoczynają lekturę przy porannej kawie, bo niebiański pokaz potrwa jedynie do godziny 10. Zaczę-

ło się o 7, maksymalne zaćmienie – do 80 procent – astronomowie wyliczyli na około 8.30. To sytuacja tak wyjątkowa, że warto nawet odłożyć na chwilę „Przekrój” i wybiec co prędzej na dwór. Jeśli nie ma chmur, czeka nas olśniewający widok. Aby nie okazał się osłepiająco olśniewający, radzimy obserwować tarczę Słońca przez płytę kompaktową.



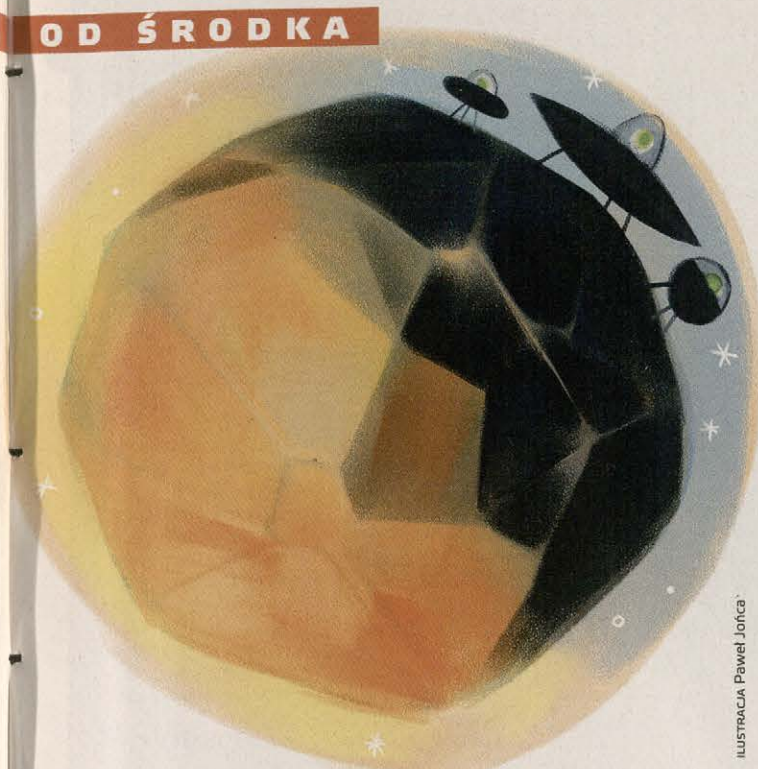
ILUSTRACJA Dawid Ryski

DOCEŃMY ŻÓLWIE

Zróbmy sobie cud

C o tam Niagara – teraz czas na Mazury! Do 11 listopada mamy czas, by w plebiscycie na nowe siedem cudów natury oddać głos na najbardziej godnego kandydata. Nasza Kraina Tysiąca Jezior ma niestety poważną konkurencję. O tytuł walczą między innymi Amazonia, Galapagos i Malediwy. Mazury znajdują się obecnie w drugiej połowie stawki (ani dokładna pozycja na liście, ani liczba

oddanych głosów nie są jeszcze znane). Ranking szwajcarskiej fundacji New 7 Wonders w istocie nie ma żadnego wymiernego znaczenia, bardziej liczy się zryw społeczny. No to jak? Pozwolimy, by nasze śliczne żółwie błotne z Mazur przegrały z przerośniętymi pokrakami z Galapagos? Wejść na stronę www.New7Wonders.com i spełnij swój obowiązek! Broń godności rdzennie polskich żółwi!



ILUSTRACJA Paweł Jofica

WYCIEZKI BADAWCZE

Kierunek Merkury

N ajbliższa planeta Słońca pozornie niczym szczególnym nas nie kusi – temperatura na powierzchni waha się od 500 do zaledwie 173 stopni Celsjusza (na półkuli pogrążonej w cieniu), ale nie tylko astronomowie są ciekawi, jak to wygląda z każdej strony. Być może gdzieś tam, hen, czai

się sepulka?... W 2011 roku sonda Messenger będzie mogła skierować kamerę na te połacie Merkurego, którym dotąd nie mieliśmy szansy się przyjrzeć. W 1974 roku parę tysięcy zdjęć zrobiła sonda Mariner 10 – zobaczyliśmy wtedy jedną trzecią planety. W 2008 roku Messen-

ger po czterech latach tułaczki też złapał w kadrl to i owow. W 2012 roku wejdzie na orbitę Merkurego i przez rok będzie przysyłał dane. Wykona między innymi zdjęcia półkuli skrytej przed naszym wzrokiem. Tylko czekać, jak tę mało przyjazną planetę zaczniemy oswajać przez Google Maps.

SANKTUARIA NAUKI

Świat kopuły

Z anurzyć się w podwodny świat oceanów? Zobaczyć powstanie Wszechświata? Poznać tajemnice wnętrza ludzkiego ciała? – kto by nie chciał! Nie trzeba być dzieckiem, by cieszyć się z Planetarium Centrum Naukowego Kopernik w Warszawie. Już wiosną spełnią się marzenia. Planetarium CNK, jedno z nowoczesniejszych w Europie, będzie miało kopulasty ekran o średnicy 16 metrów. Będziemy oglądać na nim filmy, laserowe pokazy etc.

PROMY KOSMICZNE

Koniec wahań

G dy w 1977 roku pierwszy prom poleciał w kosmos, skok technologiczny był tak wielki, że kwestią dekady wydawały się statki kosmiczne jak z „Gwiezdných wojen”. A jednak na wahadłowcach się skończyło. Trzem, które jeszcze latają, dawno skończyła się gwarancja. Jako ostatni pod koniec czerwca poleciał Atlantis. Amerykanie tak długo utrzymywali jej przy życiu, bo nie mają nic w zamian. W październiku 2010 roku prezydent Obama przerwał prace nad rakieta, która miała zastąpić wahadłowce. Amerykanie liczą teraz na szybki rozwój komercyjnych statków kosmicznych, a na razie będą latać rosyjskimi raketami Sojuz zaprojektowanymi w latach 60.

KOMPUTER GIGANT

Dużo przędszy niż Odra

U niwersytet Stanu Illinois w Chicago ma w tym roku odpalić Blue Waters – komputer, który może zdetronezić chińską maszynę Tianhe-1. W szafach, które zajmują więcej miejsca niż polskie komputery Odra z lat 70., zamruczy 300 tysięcy ośmiordzeniowych procesorów Intel taktowanych z częstotliwością 4,25 GHz, 1000 terabajtów pamięci operacyjnej i dyski twarde o łącznej pojemności 500 petabajtów (500 000 000 000 000 bajtów). IBM zapewnia, że Blue Waters będzie w stanie wykonać nawet 10 miliardów operacji zmiennoprzecinkowych na sekundę, czyli 4 razy więcej niż Tianhe-1 i 100 miliardów razy więcej niż Odra 1300. I jeszcze informacja dla fanów Pink Floyd: o ile wiemy, Blue Waters nie jest w żaden sposób spokrewniony z Rogerem.

AIDS I NADZIEJA

Młot na HIV

P rzez ostatnie 30 lat zespół nabytego niedoboru odporności tkł ludzkość z wyjątkową zjadłością. Choć daleko mu do takich przebojów wszech czasów jak ospa czy dżuma, to przyznać trzeba, że mały afrykański retrovirus osiągnął bardzo wiele – szacuje się, że zdołał zakazić około 60 milionów osób. Co więcej, podważył mocno nasze poczucie bezpieczeństwa i wiary w medycynę. Rok 2011 może to zmienić – za sprawą wyjątkowo szczęśliwego splotu okoliczności. Po raz pierwszy bowiem zaobserwowano stabilizację pandemii, a nawet jej lekki odwrót – spada liczba nowych zakażeń i coraz mniej osób umiera z powodu wirusa HIV. Jest to szczególnie widoczne w subsaharyjskiej części Afryki, gdzie AIDS zabija najczęściej ludzi. Za przyczynę poprawy uznaje się przede wszystkim coraz skutecz-

niejszą prewencję. Tu właśnie pojawia się drugi punkt – kościelna odwilż. Choć Kościół zaklina się, że właściwie Benedykt XVI nie powiedział niczego nowego, dopuszczając warunkowo używanie prezerwatyw, to po raz pierwszy głowa jednej z dwóch największych wspólnot wyznaniowych uznała, że ta metoda antykoncepcji może zapobiegać zakażeniu. Trzeci element to kwestia czysto medyczna. Okazało się bowiem, że antywirusowy lek Truvada może nie tylko ograniczać rozwój HIV u zakażonych osób, ale wręcz zapobiegać nowym zakażeniom. U mężczyzn, którzy zażywali go regularnie, ryzyko zmniejszyło się aż o 70 procent. Czwartym punktem to również triumf medycyny – odkryto, że żel dopochwowy zawierający jeden z leków antywirusowych zmniejszył ryzyko zakażenia o 50 procent. Choć daleko nam jeszcze do pokonania AIDS, to w 2011 rok po raz pierwszy można spojrzeć z nadzieją.

EKRAN NOWEJ GENERACJI

Trójwymiar bez okularów

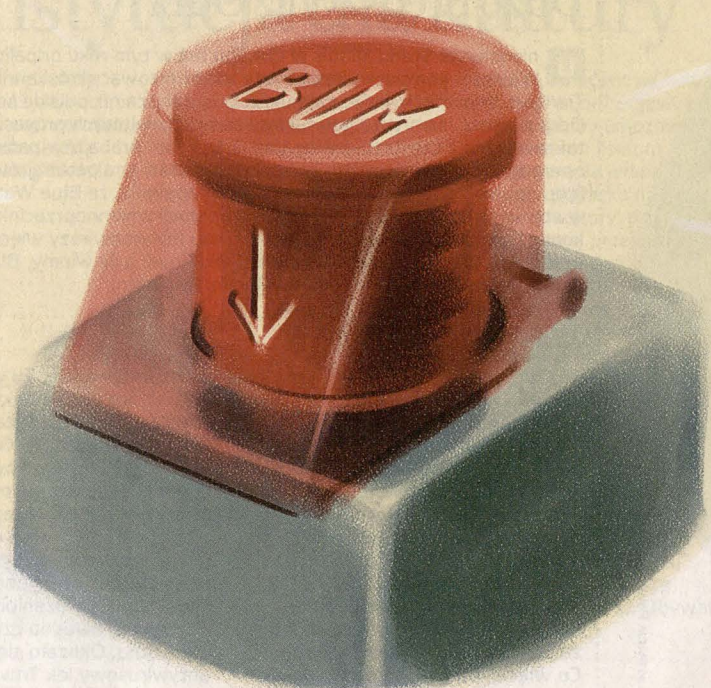
N ie dajmy się nabrać marketingowej propagandzie – era telewizji i gier 3D jeszcze nie nadeszła. Lansowane dziś rozwiązanie – tradycyjny monitor LCD

w duecie ze specjalnymi okularami migawkowymi – odejdzie do lamusa, zanim jeszcze nabierze rozpędu. Na horyzoncie już widać następcę. Jest nim ekran

prezentujący trójwymiarowy obraz oczom niezbrojonym w niewygodne gogle. Już w grudniu 2010 roku trafił do sprzedaży w Japonii pierwszy taki telewizor Toshiba, 20-calowy 20GL1. W marcu ekran 3D zadebiutuje w przenośnej konsoli do gier Nintendo 3DS. Kibicujemy, bo okulary migawkowe nie dość, że są niewygodne, to – co gorsza – przy dłuższych sesjach przysparzają o ból głowy. Tak jakby nie mdliło nas coraz bardziej od tego, co telewizja pokazuje na tradycyjnym ekranie.



ILUSTRACJA Paweł Jofica



MIKROŚWIATY

Hadrony czekają na „bum!”

Czy Wielki Zderzacz Hadronów spowodował już koniec świata? Dla dramatycznie spragnionych odpowiedzi na to fundamentalne pytanie eksperci przygotowali specjalną stronę internetową, która rozstrzyga ową kwestię z niepodważalną logiką. Dobry żart, ale zasadniczo naukowcom nie jest do śmiechu. Akcelerator spod Genewy, zdolny rozpędzać w 27-kilometrowym torusie cząstki do prędkości podświetlnych i kierować je na kurs kolizyjny, wciąż jeszcze nie potrafi pracować na pełnej mocy. Celem zderzacza jest między innymi laboratoryjne odtworzenie zdarzeń, do jakich dochodziło w momencie Wielkiego Wybuchu. To dlatego niektórzy – niepotrzebnie – obawiają się, że nie chcący zainicjujemy groźną reakcję, której nie da się zatrzymać. Gdybyśmy jednak dzielili te lęki (patrz: notka o końcu świata), rok 2011 przyprowadziłby nas o ciarki, albowiem zderzacz zwany wielkim ma wreszcie zderzać z pełną parą. O ile znowu się nie zepsuje... Pożyjemy, zobaczymy.

KONKURENCJA W SIECI

Bardzo, bardzo szybki Internet

Lącze o przepustowości 20 Mb/s, dziś uchodzące w Polsce za internetową autostradę, zostanie w 2011 roku zdegradowane przez technologię LTE do statusu wiejskiej drogi. Nowe, rewolucyjne rozwiązanie oferowane przez Polsat zapewni bowiem transfer aż do 150 Mb/s. To oznacza, że pobranie pełnometrażowego filmu HD zajmie zaledwie kilka minut, co powinno przełożyć się między innymi na popularyzację sieciowych wypożyczalni. Co więcej, ultraszybki Internet będzie dostępny wszędzie, nawet w pędzącym samochodzie, opiera się bowiem na technologii radiowej. Pod koniec 2011 roku w zasięgu usługi znajdzie się już około 20 milionów Polaków. Co prawda jak dotąd tylko jeden dostępny na naszym rynku smartfon potrafi korzystać z dobrodziejstw transmisji LTE, ale to szybko się zmieni. Nowa usługa ma szansę na błyskawiczną ekspansję, Polsat zapowiada bowiem politykę przyjaznych cen – chce jak najszybciej zdobyć drogę do naszych serc i kieszeni, zanim konkurencja wytoczy swoje działa. A te podobno mają wystrzelić z bardzo grubej rury.

NOWOŚĆ ZA NOWOŚCIĄ

Tablety dla mas

Rok po premierze iPada tablet Apple'a wciąż jest niekwestionowanym liderem. Konkurencyjny Samsung Galaxy Tab z siedmiocalowym ekranem i systemem operacyjnym Android nie ma szans, by choć zbliżyć się popularnością do starszego kolegi. W 2011 roku monopol iPada może jednak ulec zachwianiu za sprawą lawiny tabliczek zapowiadanych przez każdego producenta komputerów, który jeszcze się rusza i ma instynkt samozachowawczy. Już 6 stycznia

rozpoczynają się w Los Angeles targi Consumer Electronics Show – tradycyjne miejsce zapowiedzi największych premier roku w świecie elektroniki użytkowej. I nie ma wątpliwości, że to właśnie tablety będą gwiazdami wybiegów. Microsoft zapowiada cały pułk urządzeń z Windows 7, a przecieki o tabletach na Androidzie trudno zliczyć. Będzie w czym wybierać, i to w bardziej przystępnych cenach, bo konkurencja robi swoje. A potem zadebiutuje iPad 2 i przyjdzie nam czekać na kolejny CES.



ILUSTRACJA Dawid Ryski

DNI OSTATECZNE

Na koniec: koniec świata

Choć wszyscy czekają na koniec świata w 2012 roku (wygląda na to, że Majom nie chciało się dalej rozpisywać

swojego kalendarza), to przecież Jezus Chrystus, współzałożyciel jednej z największych grup wyznaniowych na świecie, twierdził: „Czuwajcie więc, bo nie wiecie, w którym dniu Pan wasz przyjdzie”. Zatem może to już w 2011 roku coś grzmotnie, błysnie i się

zakończy? Miłośnicy dosłownego traktowania Biblii wskazują na 21 maja 2011, uzasadniając, że rok 2011 jest dokładnie siedmiotysięcznym rokiem od potopu z czasów Noego, a ponoć ludzkość dostała właśnie siedem tysięcy lat na ogarnięcie się po tym wydarzeniu. Skąd 21 maja? Tu wyliczenia są tak złożone i pokrętne, że zainteresowanych odsyłamy do Internetu – warto tylko wspomnieć, że obijają się o Księgę Rodzaju, Ewangelię świętego Mateusza czy Dzieje Apostolskie. Tak czy inaczej, ludzie wielkiej wiary mogą tuż przed 21 maja tego roku wziąć pokaźny kredyt i czym prędzej przehulać go, licząc na miłosierdzie boże, o którym tak pięknie w swym „Dzienniczku” pisała święta Faustyna Kowalska. Rok zaczynający się od zaćmienia Słońca musi być przecież niezwykle

TOSHIBA

TOSHIBA

Zero
problemu
gwarancja

Windows®. Życie bez ograniczeń.
Toshiba zaleca Windows 7.

TOSHIBA
Leading Innovation >>>

> **ZERO PROBLEMU ZA 0 ZŁ!**
Dodatkowa, bezpłatna gwarancja na wszystkie notebooki Toshiba!

TYLKO W TOSHIBA ZA DARMO:

- > Naprawimy lub wymienimy przypadkowo uszkodzony przez Ciebie sprzęt.
- > Zapewnimy nowego notebooka w miejsce skradzionego.
- > Zwrócimy koszty zakupu w razie utraty pracy.

Twój komputer. To proste



**GWARANCJA
ZERO PROBLEMU
POCZUJ SIĘ BEZPIECZNIE**



TOSHIBA

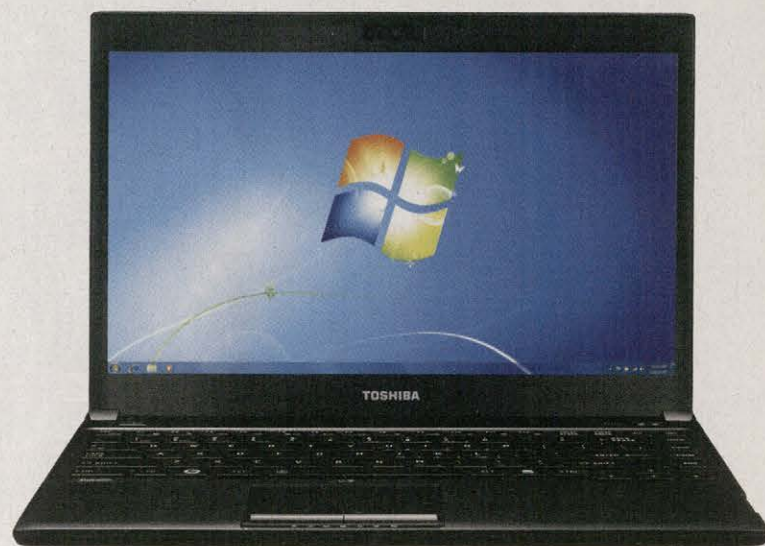


Satellite

Windows®. Życie bez ograniczeń.
Toshiba zaleca Windows 7.



TOSHIBA
Leading Innovation >>>



> TOSHIBA SATELLITE R630

Procesor Intel® Core™ i5-450M 2.4 GHz
Pamięć 4 GB
Dysk twardy 320 GB 5400 rpm
Matryca 13.3" LED
DVD, Webcam, Bluetooth
Office 2010 Starter
Windows® 7 Home Premium

> WARUNKI UDZIAŁU W PROMOCJI

- > Zakup dowolnego notebooka TOSHIBA w czasie trwania promocji
- > Zarejestrowanie gwarancji na stronie firmy TOSHIBA www.toshiba.pl/rejestracja oraz dodatkowo w serwisie promocji www.zeroproblemu.pl w ciągu 7 dni od daty zakupu
- > Zachowanie dowodu zakupu oraz gwarancji wraz z numerem seryjnym sprzętu



CYWILIZACJA OD ŚRODKA

Po prostu mów

O tym, dlaczego gramatyki już nie ma, kiedy lepiej znać kilka języków po trochu niż jeden perfekcyjnie i o szpiegowskich wpadkach, opowiada metodyk języka angielskiego doktor **GRZEGORZ ŚPIEWAK**

ROZMAWIA **OLGA WOŹNIAK**

Ile czasu trzeba się uczyć angielskiego, żeby dobrze go poznać?

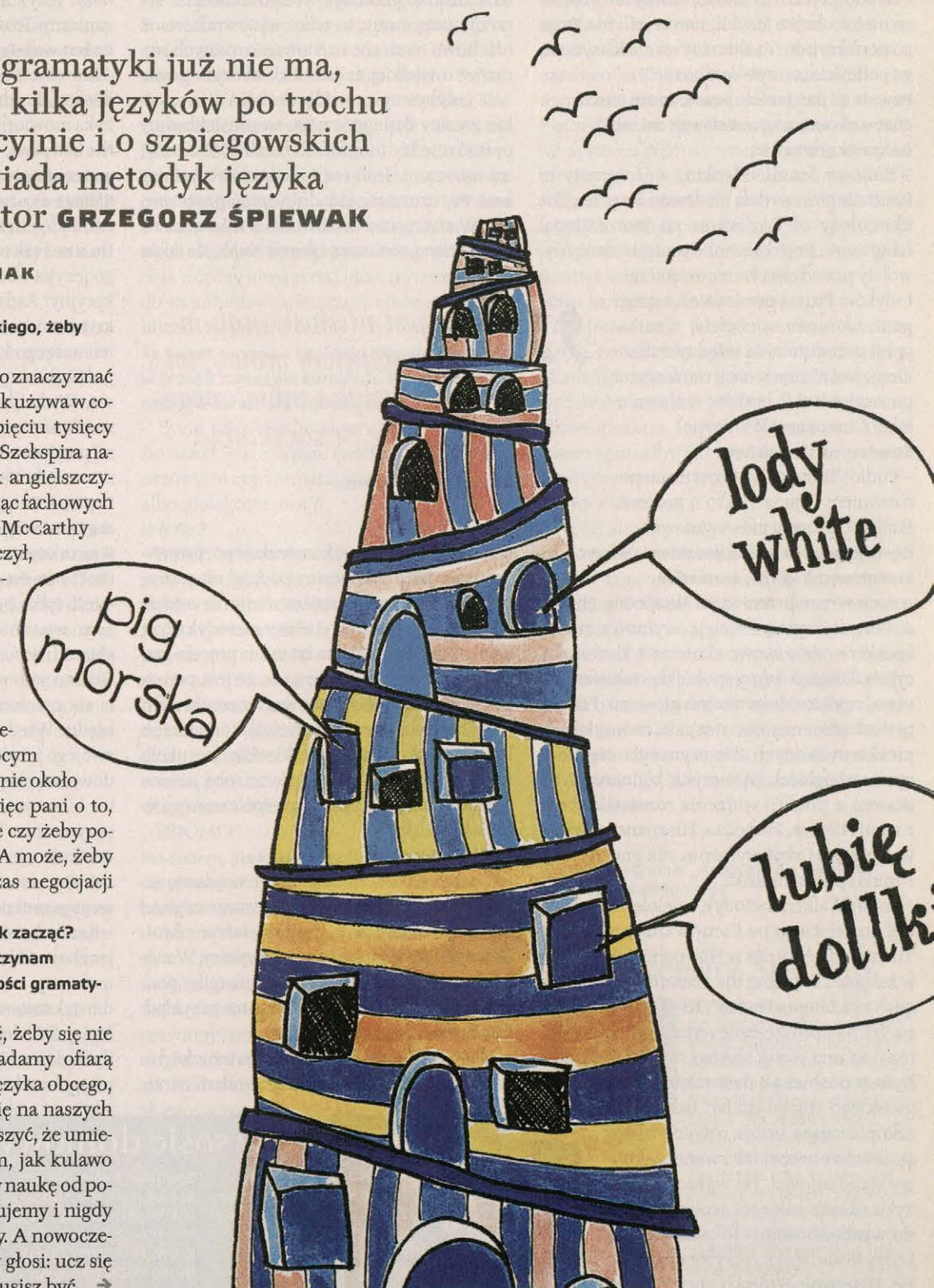
– Odpowiem pani pytaniem: co to znaczy znać język obcy? Wykształcony Anglik używa w codziennej komunikacji około pięciu tysięcy różnych wyrazów. W dziełach Szekspira naliczono ich 50 tysięcy. Słownik angielszczyzny to 500 tysięcy haseł – nie licząc fachowych określeń. Profesor Michael McCarthy z University of Nottingham wyliczył, że przeciętnemu cudzoziemcowi na wakacjach w Wielkiej Brytanii potrzeba nie więcej niż dwa tysiące słów do sprawnej codziennej komunikacji. Z najnowszych badań wynika także, że by zrozumieć 90 procent przeciętnego tekstu pisanego w obcym języku, musimy rozpoznać jedynie około 7,5 tysiąca wyrazów. Chodzi więc pani o to, by czytać Szekspira w oryginale czy żeby porozumieć się w czasie wakacji? A może, żeby poradzić sobie w pracy podczas negocjacji biznesowych?

No dobrze, to zapytam inaczej: jak zacząć?

Bo ja mam wrażenie, że wciąż zaczynam od początku, mam luki w znajomości gramatyki, braki w słownictwie...

– ...i pewnie boi się pani mówić, żeby się nie ośmieszyć. To dość częste. Padamy ofiarą szkolnego podejścia do nauki języka obcego, które obsesyjnie koncentruje się na naszych błędach. Dlatego zamiast się cieszyć, że umiemy się dogadać, myślimy o tym, jak kulawo nam to idzie. I wciąż zaczynamy naukę od początku. Zwykle szybko rezygnujemy i nigdy nie wychodzimy poza podstawy. A nowoczesne podejście do nauki języków głosi: ucz się tylko tyle, ile ci potrzeba. Nie musisz być →

FOT. Materiały promocyjne



→ dwujęzyczny, lepsza jest różnojęzyczność. Ja znam bardzo dobrze angielski, trochę francuski, trochę rosyjski, a do tego odrobinę hiszpański i węgierski. A pani?

Angielski i średnio niemiecki, pewnie też wciąż trochę rosyjski.

– Różnojęzyczni to ludzie, którzy nie boją się mówić w obcym języku, nawet jeśli nie znają go perfekcyjnie. To alternatywa dla klasycznej postępcy „wszystko albo nic”.

Pewnie mi pan jeszcze powie, że nie muszę dbać o akcent, wkuwać słówek ani robić ćwiczeń z gramatyki.

– Profesor Jennifer Jenkins z University of Southampton wydała niedawno książkę „The Phonology of English as an International Language”. Przedstawione w niej badania wywołały prawdziwą burzę wśród metodyków. Proszę powiedzieć, z czego pani zdaniem najczęściej wynika nieporozumienia między cudzoziemcami różnych nacji mówiącymi po angielsku? Z braków w słownictwie? Gramatyce? Wymowie?

Stawiam na słownictwo.

– Pudło! To tylko 20 procent nieporozumień. Gramatyka to 4 procent. Ponad 50 procent zaś – wymowa.

Czy to znaczy, że muszę godzinami ćwiczyć akcent: wymowę *the*, intonację?

– Ależ wręcz przeciwnie! Wcale nie chodzi o bezrefleksyjną imitację wymowy native speakera, ale o mowę skuteczną komunikacyjnie. Dlatego dajmy spokój *the* i tak zwanym szwa, czyli zredukowanemu głoskom. Niestety studentów cały czas uczy się, że w sylabach nieakcentowanych nie wymawia się pewnych samogłosek: (A)meryka, b(a)nana. Tymczasem z punktu widzenia rozmawiającego z nami Niemca, Francuza, Hiszpana lepiej powiedzieć coś zbyt wyraźnie, niż grać Amerykanina i połykać głoski.

Robin Walker, metodyk, wieloletni nauczyciel angielskiego na Escuela Universitaria de Turismo de Asturias w Hiszpanii, pisze o tym w książce „Teaching the Pronunciation of English as a Lingua Franca”. Kładzie w niej duży nacisk na uproszczenie wymowy, choćby dlatego, że ona wciąż bardzo się zmienia. Gdybyśmy posłuchali dziś taśmy do nauki angielskiego sprzed 40 lat, usłyszelibyśmy zdumiewająco liczne różnice w stosunku do obecnej tak zwanej wymowy standardowej. Na wymowę w języku obcym mają też wpływ trudna do wyeliminowania lokalna kultura i oczywiście język ojczysty uczących się. Hiszpanie, których uczy Walker,

nie będą nawet próbować imitować intonacji angielskiej, bo uważają ją za pretensjonalną, niemęską. Podobnie z wymową *the*.

No a gramatyka?

– Są tacy, jak na przykład wybitny językoznawca brytyjski profesor Michael Hoey, którzy twierdzą, że gramatyki w ogóle nie ma. To, co nią nazywamy, to tylko wyabstrahowane i fachowo nazwane zachowanie różnych wyrazów o wielkiej częstotliwości występowania. Gdybyśmy prawidłowo opisali wszystkie wyrazy danego języka, to musielibyśmy opisać między innymi ich łączliwość z innymi wyrazami. Jeśli rozumiesz słowo *had* czy *have*, to rozumiesz składnię czasu *present perfect*. W znaczeniu czasownika *is* mieszczą się i czas *present continuous*, i *present simple*, ale także

” **Pismo jest niedoskonałym odwzorowaniem mowy, więc w nauce języka mówionego zwyczajnie przeszkadza**

GRZEGORZ ŚPIEWAK

czasowniki statyczne, konstrukcje porównawcze i tak dalej. Tradycyjny podział na gramatykę i słownictwo zdaniem wielu nie oddaje istoty rzeczy. Światowej sławy metodyk Scott Thornbury opisał kilka lat temu pojęcie gramatyki naturalnej. Uważa on, że jest pewna liczba kluczowych „piwotów gramatycznych” – to takie centralne klocki, wokół których kręci się cały język. Takich superklocków jest około 200, a opis tego, jak łączą się ze sobą nawzajem, to niemal cała składnia współczesnego języka angielskiego!

Jakiś przykład?

– Czasownik *can*. Nie występuje w zdaniu samodzielnie. Najczęściej z *I*. A jeszcze częściej jako ciąg: *can I have a* – to jest właśnie piwot. W języku pisanym są to cztery wyrazy. W mówionym jeden! Do tego wyrażenia tylko podklejamy się tę czy inną zmienną, na przykład: *Can I have... pen, ball, sandwich?*

Albo przedimek *an*. To w języku mówionym czysta abstrakcja. Jedynym powodem istnie-

nia *an* jest to, że wyraz bezpośrednio po nim zaczyna się od samogłoski. A zatem *an* zawsze występuje razem z tym słowem, są całością. Nie mówi się *can I have an umbrella*. Ale *can I have a numbrella*. *Can I have a napple*. Wyrazem fonologicznym jest *numbrella*, *napple*, *negg*, *norange*. Język inaczej brzmi, a inaczej wygląda zapisany. To nie teoria, to fakt.

Co jest ważniejsze – pismo czy mowa?

– Mowa jest naturalna. Pismo to tylko jej niedoskonałe odwzorowanie. Dlatego w nauce języka mówionego słowo pisane przeszkadza...

Nie boli pana, że podejście do nauki angielskiego stawiające na dogadanie się psuje język? Skłania do używania koślawych konstrukcji?

– A czy to dogadanie się nie jest najważniejsze? Ilu z nas tak naprawdę uczy się tego czy innego języka obcego w celu innym niż komunikacyjny? Rada Europy, tworząc kilka lat temu kryteria oceniania biegłości językowej obywateli naszego kontynentu, bardzo duży nacisk położyła na tak zwaną kompetencję częściową. W dużym uproszczeniu – używaj tego, co już umiesz, a nie czekaj w nieskończoność, aż powiesz to całkowicie bezbłędnie. Bo możesz nigdy się nie doczekać!

Czyli, jak Pan już mówił, mam odpuścić sobie chęć perfekcyjnego poznania jednego języka.

A za to używać naraz wszystkich, które znam choćby trochę.

– Jeśli tylko będzie to skuteczne. A to, że czasem wpadnie do rozmowy słowo angielskie z francuskim akcentem czy odwrotnie? Błąd to stan umysłu. Rzecz nabyta. Jeśli uda ci się przekazać komunikat, to nie zrobiłeś błędu. Wiedzą o tym małe dzieci uczące się swojego języka ojczystego. One nie robią błędów, one eksperymentują. A dorośli im wiernie kibicują i cieszą się z każdego takiego eksperymentu. Wszystko zmienia się dopiero w szkole...

Jak więc uczyć dzieci? Zapisać je do językowego przedszkola? Wziąć brytyjską nianię?

– Każdy kontakt z językiem obcym to kąpiel językowa. I jak każda kąpiel – nawilża. Mózg osiwając z melodią obcego języka, z jego dźwiękami, w przyszłości będzie sobie radził lepiej. O ile lepiej? Na to, niestety, nie ma twardych dowodów. Tak samo jak nie dowiedziono wyższości jednej metody nad inną. Jedno

jest pewne – najlepiej uczyć się w naturalnych sytuacjach językowych.

W domu?

– Jeśli domowego języka, to w domu. A jeśli biurowego – w biurze.

Jak uczyć dziecko w domu? Nie jestem anglistką.

– Zapewniam, że wystarczy, iż jest pani mamą. Dzięki temu może być pani wyjątkowo skuteczna i uczyć dosłownie przy okazji, podczas zabawy, znacznie bardziej naturalnie niż na lekcji.

I jakie to okazje?

– Budzenie, ubieranie się, mycie, jedzenie śniadania. Jakiś czas temu pomyśleliśmy z żoną, że to świetne momenty, by niby niechcący i nienachalnie pouczyć dzieci angielskiego.

One też tak pomyślały?

– Same tego chciały. Wyobraźmy sobie taką sytuację: mój syn chce pograć na komputerze. Powiedziałem: poproś mnie o to po angielsku.

No i co? Pewnie powiedział, że nie umie.

– Więc mu pomogłem. Powiedziałem: to powtórz: *Can I play on the computer for 30 minutes?*

Powtórzył?

– A czemu miałby nie powtórzyć, skoro zorientował się od razu, że w ten sposób mnie zmiekczy i nakłoni do zgody? To taka gra. Jeśli na czymś ci zależy, poproś po angielsku. I mówienie po angielsku nie jest tu celem samym w sobie, a jedynie środkiem do celu. Dziecko przestaje myśleć o tym, że wydaje z siebie dziwne dźwięki, bo skupia się na nagrodzie, którą za chwilę otrzyma. A wtedy zawsze warto trochę się wysilić.

Ale to pułapka dla rodzica. Ma na wszystko pozwalać, jeśli tylko dziecko zagada po angielsku?

– Bynajmniej! Jeśli dziecko wyrecytuje, choćby i z najlepszym akcentem, że chce kolejnych 60 minut przed ekranem, mogę się nie zgodzić. Ale uwaga: w naszej grze-zabawie zgadzamy się po angielsku, odmawiamy po polsku.

To działa tylko na zasadzie marchewki?

– Nie. Może raczej stać się domowym rytuałem. U nas w domu jest na przykład rytuał zasypiania. Ja mówię: *Good night, sleep tight, don't let the bed-bugs bite*. A dzieci na to: *Sweet dreams and I love you very much*. To jest już teraz u nich odruch językowy, którego używają równolegle do polskiego „Dobranoc, pchły na noc”. I można go ćwiczyć 365 dni w roku, a zajmuje to 10 sekund. Kluczem do sukcesu jest to, że dziecko malutkiego fragmentu języka uczy się w sposób „za-

kotwiczony”, a kotwicą jest domowa okazja do komunikacji.

Wielu rodziców znów zniewoli lęk przed błędem. Jak dobrze uczyć dziecko, skoro samemu się nie umie?

– Są poważne naukowe podstawy do wymyślonej przeze mnie językowej gry domowej. Powstał specjalny program pod nazwą „Angielski dla rodziców metodą deDOMO”. Patronat akademicki nad nim objęło British Council Poland, dostaliśmy też certyfikat Kreatywność i Innowacje 2009, który Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji i Ministerstwo Edukacji Narodowej przyznają wyróżniającym się inicjatywom edukacyjnym. Wydana została seria poradników i nagrań modelowych. Planujemy także warsztaty dla rodziców, między innymi na Uniwersytecie Dzieci, do współpracy zapraszamy także szkoły publiczne i prywatne szkoły językowe.

To nawet sprytne – angielski niby dla dzieci, ale w gruncie rzeczy dla dorosłych. Przecież sama najpierw muszę się tego nauczyć.

– Być rodzicem jest rozwijające, prawda? Bo nawet jeśli zna pani świetnie angielski biznesowy, to czy wie pani, jak jest „chcę siusiu” albo „daleko jeszcze”?

Is it far?

– Widzę, że tworzy pani ten zwrot na poczekaniu, próbując ułożyć w całość kilka znanych słownych klocków. Anglojęzyczne dziecko zapyta tymczasem: *Are we there yet?*, bo tak naprawdę nie chodzi tu o odległość, tylko moment zakończenia podróży. Ten i wiele innych idiomatycznych zwrotów to język stricte domowy – właśnie w domu brzmi on najbardziej naturalnie. A w dodatku wciąż się powtarza, bo taka właśnie jest natura domowych okazji komunikacyjnych. To istota podejścia „deDOMO”.

No dobrze, ale którego angielskiego mam uczyć swoje dziecko? Amerykańskiego czy brytyjskiego?

– Tak naprawdę jako polski tata mogę uczyć tylko „polskiego angielskiego”. Bo zarówno moja angielszczyzna, jak i angielski ogromnej większości polskich nauczycieli jest „doprawiony” polską tożsamością. I to nie powód do zmartwień! Dziś na całym świecie jest 1,5 miliarda użytkowników języka angielskiego, w tym zaledwie 320–380 milionów rodzimych użytkowników. W przypadku naszego kontynentu mówi się nawet o rodzaju „eurangielskiego”. Przypomina on wprawdzie angielski nauczany tradycyjnie na kursach języka obcego, ale różni się od niego pod względem gramatycznym, leksykalnym i fonetycznym.

Ale muszę przecież mieć jakąś normę, na której mogę się wzorować.

– I znów ten szkolny, ograniczający perfekcjonizm! A co to jest norma? Popatrzmy na to historycznie: angielski z X wieku miał bardzo skomplikowaną gramatykę. Istniała w nim pięcioprzypadkowa deklinacja i liczba podwójna. Każdy rzeczownik miał rodzaj określany przez rodzajnik. Była słaba i mocna odmiana czasownika (jej pozostałość to czasowniki nieregularne – zmora uczących się). Czy zmiany historyczne, w tym dramatyczne uproszczenie systemu gramatycznego, oznaczały spieszenie języka? A może to one dały mu możliwość rozpowszechnienia się w świecie? Dzisiejszy angielski jest nieporównanie prostszy i wciąż pod pewnymi względami się upraszcza. Tylko martwe języki się nie zmieniają.

Mówi pan jak językowy terapeuta.

– Nie jestem nim. Ale jaka jest korzyść z myślenia, że szklanka jest w połowie pusta, i skupiania się na niedoskonałościach? Zresztą jeśli wydawałoby się nam, że osiągnęliśmy poziom native speakera, to i tak w zetknięciu z Anglosasem spotkałby nas los taki jak niemieckich szpiegów w czasie II wojny światowej.

Coś ich zdradzało?

– To, że aby w pełni poznać język obcy, trzeba się wychować w kulturze, którą on opisuje. Znać te same wyliczanki, bajki, filmy, miejscowy slang. Podczas bitwy o Ardeny Amerykanie wykrywali szpiegów, zadając im pytania o baseball. Używali też szyboletów – hasel rozpoznawczych zawierających zgłoskę albo wyraz bardzo trudny do wymówienia dla cudzoziemców. W bitwie o Normandię hasłem i odzewem były wyrazy *flash-thunder-welcome*, bo mało który Niemiec potrafił uniknąć wymowy *welcome*.

Więcej o programie „Angielski dla rodziców”: <http://www.dedomo.pl>

dr Grzegorz Śpiewak



Wykładowca w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego, naczelny doradca do spraw metodyki nauczania wydawnictwa Macmillan Polska, prezes DOS-TTS, niezależnego centrum doskonalenia nauczycieli języków obcych. Prywatnie tata Tani (12 lat) i Jeremiego (8 lat), z którymi od dwóch lat realizuje we własnym domu program „Angielski dla rodziców metodą deDOMO”.

Fot. Archiwum prywatne



Angielski w sosie domowym

Nazwa bardzo przewrotna – „Angielski dla rodziców”. Bo choć to właściwie sposób na uczenie języka dzieci, to od rodziców wymaga się tu największego

zaangażowania. Ale proszę się nie bać – nakład sił w stosunku do uzyskanych efektów jest właściwie znikomy. Jeśli ktoś oczekuje, by jego dziecko – kilku- czy

kilkunastoletnie – od pierwszego dnia zaczęło mówić po angielsku, to metoda „deDOMO” jest właśnie dla niego. Wiem, co mówię – produkt testowany na dzieciach.

Operacja „Robot”

„Z rzeźników zamieniamy się w zegarmistrzów” – cieszą się polscy chirurdzy. Do ich rąk trafił właśnie robot, który sprawia, że operują bardziej precyzyjnie. Co dobrze wróży waszej erekcji, panowie

MILENA RACHID CHEHAB



Robot Da Vinci to przełom w chirurgii. Zapewnia większą precyzję, mniejszą utratę krwi, znajduje drogę do trudno dostępnych miejsc w ciele. Podczas operacji zapakowany jest w folię, żeby było sterylnie

Gdyby nie drobny szczegół, blok operacyjny w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym we Wrocławiu niczym by się nie wyróżniał. Ale tu nie dość, że chirurg nie dokonał wcześniej rytualnych ablucji, to jeszcze siedzi tyłem do pacjenta, popijając kawę, a czasem nawet, o zgrozo, pogryzając herbatniki. Dla wrocławskich lekarzy to szokujące, dla operującego – Belga, który u siebie wykonał już około dwóch tysięcy podobnych zabiegów, a teraz szkoli Polaków – codzienność.

Jednocześnie w podziemiach szpitala kilkudziesięciu lekarzy w wielkich pomarańczowych okularach ogląda na żywo w technologii 3D relację z operacji usunięcia prostaty. Na ekranie widzą dokładnie to, co chirurg. Dwaj lekarze są tak podekscytowani, że przeobrażają się w medyczną wersję Dariusza Szpakowskiego.

Emocje są zrozumiałe: jesteśmy świadkami prawdziwego prze-

łomu – wprowadzenia do Polski pierwszego robota chirurgicznego. Na Zachodzie, głównie w USA, znany jest on od 11 lat. Teraz prawie pięć milionów złotych wydał na jego zakup wrocławski szpital (i liczni sponsorzy). Od połowy grudnia robot przeprowadza pierwsze operacje – na razie pod okiem doświadczonych chirurgów z zagranicy.

Da Vinci składa się z konsoli i ramion. We Wrocławiu konsole są dwie – przy jednej siada operujący chirurg, druga to symulator, na którym szkolą się początkujący lekarze. Wnętrze pacjenta obserwują dzięki trójwymiarowym okularom, które transmitują obraz z kamery umieszczonej w ciele. Na palcach chirurg ma obręczkopodobne nakładki z niezwykłą dokładnością odwzorowujące jego ruchy, a pod nogami – cztery pedały odpowiadające za ustawienie kamery.

Zadaniem chirurga robotyka jest sterowanie czterema ramio-

nami robota zawieszonymi nad pacjentem. Nacięcia na jego ciele są wyjątkowo małe. Zamiast kilkunastocentymetrowych otworów wystarczą trzy dziurki, przez które wprowadza się narzędzia (ta największa, zwana kanałem roboczym, ma około dwóch centymetrów średnicy). – Dzięki robotowi urazy operacyjne są minimalne, a rekonwalescencja szybka. Robot umożliwia bezpieczny dostęp do takich miejsc organizmu, do których dotąd wgląd był bardzo trudny – mówi profesor Wojciech Witkiewicz, dyrektor wrocławskiego szpitala. W jego ośrodku Da Vinci wykorzystywany będzie na oddziałach chirurgii ogólnej, naczyniowej i onkologicznej, na urologii, ginekologii i kardiochirurgii.

Być może to z powodu męskiej solidarności z pacjentem śledzący operację usunięcia prostaty medycy zachowują się jak kibice podczas meczu. Kiedy instrumenty chirurgiczne zbliżają się

do pęczka naczyniowo-nerwowego (odpowiedzialnego za potencję), pęcherzyków nasiennych (jeśli zostaną usunięte wszystkie, nici z wytrysku), a szczególnie zwieracza, który odpowiada za trzymanie moczu, sala zamiera. Gdystaje się jasne, że wszystko idzie jak z płatka, chirurdzy dają upust emocjom: „Jeszcze będzie miał erekcję!”, „No pięćeknie!”. Doktor „Szpakowski” tłumaczy źródło tego entuzjazmu: czasem godzinę się pracuje, a potem nagle – ciach, coś się nadrywa i pacjent do śmierci ma życie seksualne w ruinie.

Przeprowadzana robotem operacja jest praktycznie bezkrwawa. Pacjent nie traci – jak to zwykle bywa – prawie dwóch litrów krwi, ale jedynie około stu mililitrów. To zasługa między innymi koagulatora, czyli urządzenia, które dzięki wysokiej temperaturze „przyypala” drobne naczynka, zamykając je, co tamuje krwawienie. Dzięki koagulacji możliwe jest również usuwanie niektórych fragmentów ciała, ponieważ urządzenie działa jak wypalarka.

Jak bardzo precyzyjnym urządzeniem jest Da Vinci, widać, gdy kończy się operacja. Myślałam, że wycinany organ ma około 20 centymetrów, ale gdy chirurg zdymuje z ciała elegancko zawiązany woreczek, okazuje się, że uległam złudzeniu za sprawą niezwykle dużych zbliżeń kamery – pakunek jest mniejszy od telefonu komórkowego. – Z rzeźników czy ślusarzy zmieniamy się w zegarmistrzów – pokusił się o metaforę lekarz z tylnych rzędów.

Te słowa oddają skalę przełomu. Szykuje się roborewolucja.

CYWILIZACJA OD ŚRODKA KORZYSTAJ



Po prostu telefon do dzwonienia

Przeżyacie jeszcze czasy, gdy telefon komórkowy służył do dzwonienia? Wielu wciąż tęskni za tamtą prostotą, więc z pewnością ucieszy ich nowy

telefon emporiaELEGANCE. Choć przeznaczony jest głównie dla starszych użytkowników, to dzięki wyraźnemu ekranowi, dużym klawiszom i prostemu

menu spodoba się wszelkim wielbicielom rzeczy eleganckich i funkcjonalnych. Telefon jest dostępny w ofercie czterech głównych operatorów.

No pięknie

Wygląda na to, że ostatecznie żegnamy się z szaroburymi pudłami pecetów. Komputery zaczynają być śliczne

Koncepcja komputera typu wszystko-w-jednym spopularyzowana została za sprawą firmy Apple, ale przyznać trzeba, że inni producenci podjęli wyzwanie. Nowa maszyna Lenovo IdeaCentre A310 zrywa z tradycją nakazującą upchanie całego komputera za ekranem LCD i przenosi elektronikę piętro niżej – do eleganckiej, płaskiej podstawki monitora. Mimo

niepozornych rozmiarów IdeaCentre kryje całkiem zany procesor I3 taktowany zegarem 2,4 GHz, dysk twardy 500 GB oraz tuner telewizji cyfrowej i analogowej. W zestawieniu z panoramicznym ekranem o przekątnej 21,5 cala tworzy to całkiem zgrabny zestaw multimedialny, który śmiało można postawić na środku salonu. No, może nie dokładnie na środku.

Bardzo cieniutko, czyli zaledwie 18,5 milimetra. No i bezprzewodowo – klawiatura i myszka hulają na Bluetooth



1 442 126 razy Octavia Tour

Ten samochód stał się kluczem do sukcesu Skody. Produkowana od 1996 roku Octavia pierwszej generacji wzorowana była na modelu wytwarzanym w zamierzonych czasach – od roku 1959 do 1971. Był to pierwszy produkt Skody po jej wejściu do Grupy Volkswagen i najwyraźniej od razu strzał w 10. No, ściślej rzecz biorąc w 1 442 126, bo

tyle egzemplarzy Octavii Tour wyprodukowała fabryka w Vrchlabí. Piszemy o tym wszystkim w czasie przeszłym, bo Skoda właśnie zakończyła produkcję tego modelu. Szkoda. Oczywiście to nie koniec historii całej Skody Octavii – choć pierwsza generacja odchodzi już w chwalebnej przeszłość, to druga wciąż miłośnicznie nam króluje.





Robiliśmy zawieruchę

Po 25 latach w show-biznesie nadal jada z papierowych talerzy. Dawniej śnił o volkswagenie, teraz marzy mu się Oscar. Cezary Pazura zadebiutował jako reżyser. 6 stycznia jego „Weekend” wchodzi do kin

ROZMAWIA KAROLINA PASTERNAK

Jak się panu podobała zabawa w Boga?

- Jezus! Kiedy?

Na planie filmu „Weekend”. Powiedział pan kiedyś, że „reżyserowanie to jest dopiero zabawa w Boga!”.

- Bardzo często powtarzam rzeczy po kimś (*śmiech*). To Zenek Laskowik tak powiedział. Zgadza się, kreacja rzeczywiście jest zabawą w Boga. Stworzyć coś z niczego to piękne uczucie. Gdy zbiorowym wysiłkiem materializuje się idea, którą do tej pory miało się tylko w głowie. Tak było z „Weekendem”. Oglądałem i myślałem: „Kurczę, jest dokładnie tak, jak to sobie wymyśliłem”.

Nie do końca. Chciał pan mieć w obsadzie Paris Hilton.

- Był taki pomysł.

Skąd się wziął?

- Takie szaleństwo. Pomyślałem: „Ale byłby numer, gdyby w moim filmie pojawiła się taka osoba!”.

Ale dlaczego Paris Hilton?

- Rola Mai nie była od początku stworzona dla aktorki zawodowej. Dzięki temu, że ostatecznie gra ją Małgosia Socha, jest na innym, dużo wyższym poziomie. Początkowo myślałem, że to może być duża niespodzianka dla widza, kiedy w polskim kinie zobaczy Paris Hilton albo Lady GaGe. Kiedy jednak okazało się, że będzie grać Małgosia, trzeba było coś z tą rolą zrobić. Postanowiliśmy więc ją rozbudować. Często wspomina pan okres, gdy zaczynał pracę z Lindą?

- Jasne, że tak. Dla mnie to były złote czasy. „Kroll”, „Psy”, „Psy 2”. Wydawało mi się, że tak będzie zawsze, że ta passa będzie trwać. Nawet

nie zdążyłem jej skosztować. Nie stać mnie było wówczas, żeby wyjechać na wczasy. Poza tym cały czas byłem w pracy. Ostatnio nawet rozmawiałem o tym z Borysem Szycem na planie filmu „Chwila nieuwagi, czyli drugi Sztos”, który produkuje firma Cezar 10, a reżyseruje Olaf Lubaszenko. Mówię do niego: „Patrz, 25 lat w branży, a ja ciągle jem z papierowych talerzyków”.

Przeszkadzają panu te talerzyki?

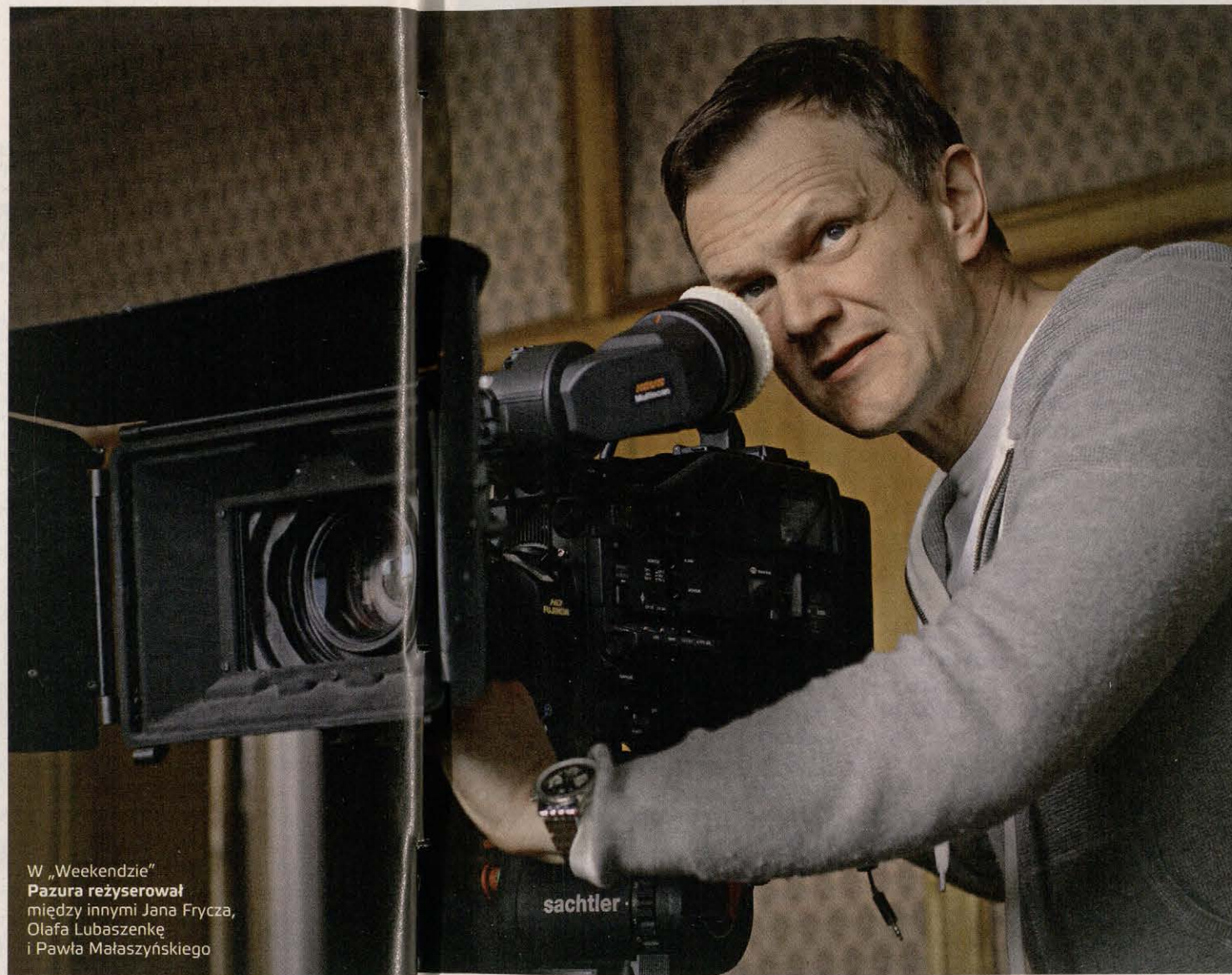
- Wcale mi nie przeszkadzają. Chodzi o to, że ludzie wyobrażają sobie życie aktorów na bogato. Widzą ich w kolorowych gazetach, na bankietach, popijających wino. A aktorstwo to jest orka. Choćby ostatnie dni - zdjęcia do drugiej części „Sztosu”: minus 14 stopni, a my biegamy z Lubaszenką, Józefowiczem, Kiersznowskim i Milowiczem po tym mrozie, pałując nas zomowcy...

Ale to pan zawsze twierdził, że o to właśnie chodzi w aktorstwie, żeby bolało, żeby były sińce.

- Bo o to właśnie chodzi w tym zawodzie - żeby przeżywać. Choć przecież aktorstwo to totalnie „babski zawód”: trzeba się przebierać, malować (*śmiech*). Chociaż zauważyłem, że są plusy tej sytuacji - mam lepszą cerę niż koledzy, którzy się nie malują.

Mówi pan, że nie miał czasu skosztować sukcesu, ale to przecież pan brał te wszystkie role w kinie, w serialach. Cytując pana - „przeliczał role na pieniądze”.

- Gdy startowałem w zawodzie, kraj podlegał transformacji. Dla aktora ta transformacja oznaczała, że zamiast psich pieniędzy mógł nagle zacząć zarabiać horrendalne kwoty. Pa-



W „Weekendzie” Pazura reżyserował między innymi Jana Frycza, Olafa Lubaszenkę i Pawła Małaszyńskiego

mięta, jak jeszcze chwilę wcześniej ze świętej pamięci Januszem Bukowskim i innymi aktorami nie mogliśmy się nadziwić, że na Zachodzie za główną rolę można sobie kupić auto. Dla nas wtedy auto to był już sen.

Nigdy nie zapominam, że jestem artystą tylko z jednej strony. Z drugiej siedzi odpo-

wiedzialny mężczyzna, który utrzymuje dom i rodzinę. Nie mogę sobie powiedzieć: „Dzisiaj nie gram, bo nie mam nastroju”.

Albo: dzisiaj nie prowadzę teleturnieju, nie robię kabaretu, konferansjerki, sitcomu...

- Robiłem te wszystkie rzeczy, bo ciekawiło mnie, czy dam radę. Każda z nich była dla mnie nową przygodą. Z tego samego powodu

pracowałem w Teatrze Polskiego Radia, nagrałem płytę i tak dalej. Ostatnio nie przyjąłem bardzo lukratywnej propozycji.

Udziału w „Tańcu z gwiazdami”?

- Prowadzenia własnego talk-show. Namawiali, kusili pieniędzmi, ale odmówiłem. W tym roku czeka mnie trasa z okazji 25-lecia pracy artystycznej. Poza tym Cezar 10, moja firma

producencka, ruszył z kopyta. Mam inwestorów i kilka wybitnych scenariuszy.

Jak pan te wybitne scenariusze znajduje?

- Od kiedy wyprodukowałem „Wstyd” Piotra Matwiejczyka, ludzie sami zaczęli mi przysyłać teksty. Znalazłem kilka prawdziwych perełek.

Uczył się pan gdzieś oceny dobrego scenariusza czy wybiera pan po prostu to, co się panu podoba?

- Przeczytałem tysiące scenariuszy w życiu. Ufam swojemu doświadczeniu i intuicji.

Często słyszę od aktorów, że ze scenariuszy, które z ich punktu widzenia, z punktu widzenia roli, którą mieli do zagrania, wydawały się ciekawe, wyszły fatalne filmy. Aktorowi musi być trudno spojrzeć na film szerzej.

- Tak naprawdę, czytając scenariusz, wiem od razu, czy to będzie dobry film, czy nie. I ta intuicja mnie jeszcze nie zawiodła. Czytałem tekst i byłem w stanie od ręki ocenić, czy na film pójdzie 400 tysięcy widzów, czy 60 tysięcy.

Potrafi pan więc oszacować, czy film będzie popularny, a nie czy będzie dobry.

- Dla mnie film ma sens tylko wtedy, gdy idą na niego ludzie.

Czyli dobry film to taki, na który poszło dużo ludzi? Nie ma innej skali oceny?

- Oczywiście. Ostatnio czytam w piśmie o jakimś reżyserze. Widziałem nazwisko po raz pierwszy, więc zapytałem kolegę, kto to. „Genialny reżyser” - usłyszałem. Zrobił taki a taki film - tu padł tytuł - ale „całego nie widziałem”, mówi kumpel, bo „był słaby i po 10 minutach wyszedłem z seansu”. Film słaby, a reżyser genialny? Jeśli stolarz jest genialny, to robi genialne krzesło. Dlaczego tej samej miary nie przykładamy do filmu? Arcydzieło musi mieć widza. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego wstydzimy się komercyjnego sukcesu. To dla kogo my robimy te filmy, do cholery?

Problem polega na tym, że u nas pokutuje przekonanie, że widz jest głupi. Określenia „widz telewizyjny” używa się w znaczeniu pogardliwym. Podczas moich występów spotykam się z tym widzem na żywo, parę razy w tygodniu, i rozmawiam z nim, bo monolog estradowy to wcale nie jest monolog, tylko rodzaj dialogu z publicznością. Zapewniam panią, że ten widz jest bardzo wymagający. Jeśli idzie na film, to znaczy, że film jest dobry. **Może to też znaczyć, że film został dobrze zareklamowany albo że widz złapał się na haczyk w postaci Paris Hilton.**

FOT. Materiały prasowe



W „Psach” Franzowi (Linda) niespecjalnie chciało się z Nowym gadać

Jako gangster Fred w „Chłopaki nie płaczą”

→ - Ale wtedy zawsze zostaje jeszcze opinia po seansie. I mnie na tej opinii widza najbardziej zależy. Marzy mi się, żeby ludzie po pokazie „Weekendu” mówili: „Panie Pazura, pan to jest gość! Poszedłem do kina i nie żałuję”. Nie muszę mieć zachwyków branży, prasy, nagród. Zresztą nigdy ich nie dostawałem.

Kilka było.

- Jakies drobiazgi.

Nigdy to panu nie przeszkadzało? Nie zazdrościł pan kolegom, którzy dostawali i dostają nagrody? Jak pan ogląda takiego, dajmy na to, Andrzeja Chyrę, to co pan myśli?

- Bardzo go cenię. Graliśmy kiedyś razem w spektaklu w Teatrze Scena Prezentacje na Żelaznej. Chciałem zresztą, żeby Andrzej wystąpił w „Weekendzie”, ale on grał wtedy rolę w Paryżu.

W „Tramwaju zwanym pożądaniem” w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego. Chyra pracuje z Warlikowskim, niemal ciągle gra duże role w kinie, ostatnio w polskim kandydacie do Oscara „Wszystko, co kocham” Jacka Borcucha i „Sponsoringu” Małgorzaty Szumowskiej, gdzie wystąpił u boku Juliette Binoche. Nie zazdrości mu pan? Gdy patrzy się na jego karierę, ma się wrażenie, że to jakby alternatywna do pańskiej ścieżki zawodowej droga. Pan z niej w pewnym momencie po prostu zszedł.

- Bardzo przeżyłem moment, kiedy z zawodu odszedł Marek Kondrat. Zastanawiałem się, dlaczego to zrobił, ale zaczynam go coraz lepiej rozumieć. U nas reżyserzy nie bawią się aktorem, nie ryzykują, nie obsadzają wbrew

warunkom. Może dlatego sam zająłem się reżyserią, żeby coś z tym zrobić. Świętej pamięci Jerzy Kawalerowicz powiedział, że nie zaangażuje do żadnej swojej produkcji nikogo z „13. posterunku”. A przecież „13. posterunek” był serialem telewizyjnym, w którym grali zawodowcy! To nie był „Big Brother” z amatorami, więc zupełnie nie rozumiałem jego podejścia.

Ja rozumiem. Niektórzy reżyserzy obawiali się po prostu, że widz za bardzo kojarzy pana z Cezarym z „13. posterunku”. Ten serial oglądały miliony.

- Jacy reżyserzy?

” Nie wyobrażam sobie, że mając sześćdziesiąt parę lat, z obolałymi nogami będę musiał iść na scenę i coś mówić. Jeśli będę chciał, to tak, ale nie dla pieniędzy

CEZARY PAZURA

Marek Koterski miał taki problem, gdy przyszło do podjęcia decyzji, czy obsadzić pana po raz trzeci w roli Adama Miauczyńskiego.

- Wręcz przeciwnie - to ja mu odmówiłem! Prosił mnie rok. Nie chciałem po raz kolejny grać tej roli, bo uważałem, że będę robił te same grepsy, które robiłem w „Ajlawju” i „Nic śmiesznego”. W dodatku „Dzień świra” miał smutną puentę, a ja jestem człowiekiem wesołym, więc po prostu mi to nie leżało. Po-

wiedziałem Markowi, że uważam, iż Miauczyńskiego powinien zagrać Marek Kondrat, który wystąpił w jego pierwszym filmie. I zagrał. Zależało mi na tym, żeby Marek zrobił świetny film.

Wspomniał pan o Marku Kondracie...

- Bo on powiedział ważną rzecz: że już nie może znieść, iż ciągle musi coś komuś udowodniać. Ja teraz czuję, że pani również muszę coś udowodnić... Przecież grałem też poważne role. Całe mnóstwo: Raskolnikowa w „Zbrodni i karze”, doktora Żywago, Natana w „Sędziach” Wyspiańskiego, Miętusa w „Ferdynurce”... Wymieniać dalej?

Ale od lat pan już nie gra.

- Dostaję mnóstwo propozycji teatralnych, ale one są zawsze takie same - w farsach.

W połowie lat 90., kiedy był pan na szczycie, miał pan agenta, kogoś, kto pomagał panu wybierać role?

- Nigdy w życiu nie miałem agenta. Nawet dziś mam tylko takiego, który jest odpowiedzialny za występy estradowe, nie za kino. No i rzeczniczkę, która jest rodzajem buforu między mną a prasą.

Zastanawiam się, czy problem z pokoleniem, które szczyt kariery zdobyło w latach 90., nie polegał między innymi na tym, że musiało przetrzeć szlaki w nowej rzeczywistości, ale zupełnie nie było na to przygotowane i nie miało profesjonalnej pomocy, kogoś, kto pokierowałby karierą. A teraz Marka Kondrata nie ma na ekranie wcale, Bogusław Linda pojawia się sporadycznie, głównie w telewizji, pan przeszedł na drugą stronę kamery...

- Ale Linda wraca! Zgodził się zagrać w kontynuacji „Sztosu”, do której trwają zdjęcia.



W roli naszego narodowego nieudacznika Adama Miauczyńskiego



By wylądować w łóżku z Figurą, został płatnym zabójcą Kilerem

Nie byłem tego formatu co Linda. Bogusław ma charyzmę, jest tajemniczy, a ja byłem zwykłym błaznem.

Ma pan jakąś teorię, dlaczego tak potoczyły się losy chłopców Pasikowskiego?

- Teorię przemijania, żadnej innej. Wszystko przemija i tamta ekipa też przeminęła. Wtedy wystąpiło kilka czynników naraz: dobre scenariusze, osobowość reżysera i osobowości aktorów, którzy spotkali się na planie: Linda, Kondrat, Gajos. To była załoga! Jak w czołgu! Przecież Pasikowski otworzył „Krollem” zupełnie nowy rozdział w pol-

Cezary Pazura

W ostatnich latach gościł głównie w portalach plotkarskich. Najpierw za sprawą rozvodu z Weroniką Marczuk, później małżeństwa z o 26 lat młodszą studentką Edytą Zając (on ma 48 lat, ona 22 lata). Ale w połowie lat 90. był w ścisłej czołówce najpopularniejszych i najbardziej eksploatowanych polskich aktorów. Znako- mitymi rolami w „Krollu” i „Psach” przeszedł do historii kina jako jeden z chłopaków Władysława Pasikowskiego (obok Bogusława Lindy i Marka Kondrata). Po „Kilerze” obwołano go jednym z najzdolniejszych współczesnych aktorów komediowych. Niestety, szybko padł ofiarą swoich wyborów. Kolejnym komediowym rolom, tym razem w serialach („13. posterunek”, „Faceci do wzięcia”), brakowało lekkości i humoru produkcji Juliusza Machulskiego. Pazura coraz rzadziej pojawiał się na dużym ekranie, a coraz częściej w roli konferansjera i objazdowego aktora estradowego. Jego firma producencka Cezar 10 i jej pierwsze dziecko, reżyserki debiut Pazury zatytułowany „Weekend”, mają pomóc mu wyjść z impasu. Film, który kosztował ponad sześć milionów złotych, wchodzi do kin w gigantycznej liczbie 145 kopii.

skim kinie. Na temat tego filmu odbywały się w telewizji socjologiczne debaty. A przecież zanim wszedł na ekrany, był wokół niego taki skandal: że wulgaryzmy, że nie wiadomo o czym to film. Władek musiał iść do profesora Wojciecha Jerzego Hasa po pieniądze na napisy końcowe, żeby film w ogóle wszedł do kina. Cieszę się, że załapałem się na tę całą zawieruchę.

A nie myśli pan, że teraz młodzi mają łatwiej? Przetarliście szlaki. Obserwując wasze kariery, pewnych błędów już nie popełnią.

- Tylko że my kręciliśmy w czasach, kiedy chodziło się na polskie filmy. To Władek tę rewolucję zapoczątkował. Polskie kino było wtedy oblegane. A teraz co się stało?

Czemu nakręcenie tego filmu było dla pana takie ważne?

- (Cisza) To było prawdziwie męskie wyzwanie. W poprzednim życiu, jak mam w zwyczaju mówić, nie stać by mnie było na taką odwagę, ale po czterdziestce dużo rzeczy zrozumiałem. Wiem, że pieniądze nie mają znaczenia, dużo ważniejsze są inne rzeczy. Ja mogę żyć bez pieniędzy. To straszne, co mówię, czy chyba... Chyba jednak nie mogę (*śmiech*). Może inaczej: chyba się nie da.

Najtrudniej zejść z pewnego poziomu.

- Już z paru poziomów spadałem. Od 25. roku życia żyłem w przeświadczeniu, że kiedyś telefon przestanie dzwonić, więc zawsze miałem wyjście awaryjne. Jestem absolutnie niezależny. Nie wyobrażam sobie, że miałbym być aktorem do końca życia. Że mając sześćdziesiąt parę lat, z obolałymi nogami będę musiał iść na scenę i coś mówić. Jeśli będę chciał, to tak, ale nie dla pieniędzy. Wykonuję ten zawód z pasji.

Chciałbym, żeby moja firma producencka zaczęła tak działać, żeby za jakiś czas mógł tylko - jak zawiadowca na stacji - wszystkim zawiadywać. Ale na razie jeszcze nie pora na odpoczynek. Mam marzenie, by wyprodukować film, który będzie na oscarowym poziomie. Są już dwa projekty, które do tego pretendują.

Ile mniej więcej będzie pana kosztowała realizacja takiego projektu?

- 25 milionów złotych. Dlatego jeszcze nie powstaje, bo nie można takiego scenariusza zepsuć. Bardzo dobrze rozumiem Władka Pasikowskiego, który powiedział kiedyś w wywiadzie, że ma dość kręcenia między kuchnią a łazienką. Film potrzebuje rozmachu. Wiedziałem ostatnio na DVD „Incepcję”...

Na DVD? To właściwie pan tego filmu nie widział. Film potrzebuje rozmachu, a „Incepcja” ekranu.

- Ale ja mam naprawdę niezły ekran w domu.

Aha, to przepraszam.

- Jak oni się w tym filmie bawią kinem! I o to właśnie chodzi. Dopóki jest zabawa, jest sens kręcenia. A jeśli chcemy tylko opowiedzieć historię, to możemy to w radiu zrobić albo książkę napisać. W kinie nie ma miejsca na nudę.

Boi się pan nadchodzącego weekendu?

- To zabawne, bo weekend już zupełnie przestał mi się kojarzyć z piątkiem, sobotą i niedzielą. Kiedy tylko słyszę, na przykład w telewizji, „w ten weekend” - nieważne, że to prognoza pogody - zaraz myślę, że to o moim filmie.

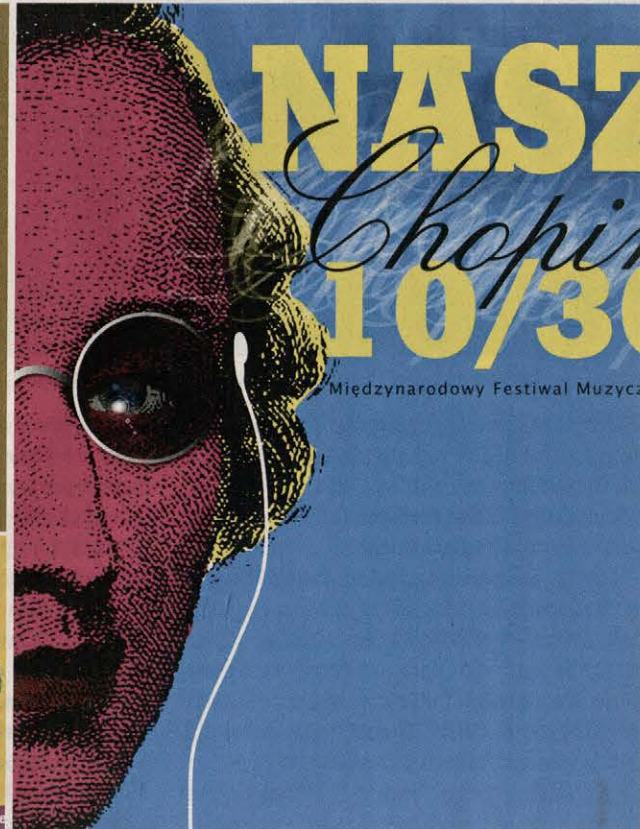
Są nerwy i stres przed premierą?

- Są. Przecież pierwszy film jest jak pierwsze dziecko. Człowiek by chciał, żeby wszyscy je kochali...

Pomnik z rysą

W roku Chopina dowiedzieliśmy się, że nie musi on być muzealnym eksponatem. Zabrakło jednak pomysłów na to, kim mógłby być. Winne jest nasze zamiłowanie do wznoszenia pomników, których ciężaru nie potrafimy udźwignąć. I brak odwagi w odświeżaniu narodowych mitów

ADAM SUPRYNOWICZ
I MICHAŁ MENDYK (POLSKIE RADIO)



FOT. MATERIAŁY PROMOCYJNE (3)

Plastycznych wizerunków Chopina nie brakowało, muzyka schodziła na drugi plan

Znakomitych wzorów dostarczają choćby wiedeńskie obchody Roku Mozarta (2006). Do zmierzenia się z mitem klasyka zaproszono artystów wizualnych, pisarzy, muzyków. Kompozytor Bernhard Lang i reżyser Michael Sturminger stworzyli operę „I Hate Mozart”. Ich zdaniem na prawdziwe oblicze Roku Mozartowskiego (i całej „kultury wysokiej”) składają się oportunizm i karierowiczostwo artystów, cynizm decydentów oraz destrukcyjny kompleks geniuszu wiedeńskiego klasyka.

Z tej perspektywy Rok Chopinowski można uznać za stracony. Być może prowokacyjne produkty Austriaków naznaczone są dekadentką perwersyjnością. Ale czy za bardziej konstruktywną uznać można polską strategię powierzchownego „doganiania Europy” przez importowanie Chopinowskiej legendy w świat technologii 3D?

Po 12 miesiącach świętowania nadal bardziej niż za muzykę lubimy Fryderyka za to, że kochają go inni. Jeśli w naszej zbiorowej

podświadomości udało się choć trochę osłabić stereotyp cierpiącego z tęsknoty za Polską geniusza, to tylko po to, by zastąpić go snobistyczną wydmuszką. Chętniej nosimy koszulki i znaczki z Chopinem, wciąż jednak wielu z nas nie rozpoznaje jego muzyki. Frazesy o wzorcu „europejskiej polskości” pozostają niezrozumiałe dla wielu wykształconych Polaków. Aby to zmienić, nie wystarczy najnowocześniejsze w Europie muzeum. Należy poprawić jakość powszechnej edukacji muzycznej. To byłby prawdziwy pomnik Chopina, zadanie trudniejsze od najbardziej efektywnych działań PR-owskich. Niestety, nie wiadomo o dalszej strategii działań Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina i Ministerstwa Kultury w tej dziedzinie. Rok Chopinowski zostanie wkrótce rozliczony. Jeśli nie będzie temu towarzyszyła trzeźwa ocena sytuacji i pomysł na stałe działania edukacyjne – z perspektywy kilku lat jego osiągnięcia będą wyglądać zaledwie jak kosmetyka.

Nowy prawdziwy Chopin, czyli sukcesy roku 2010:

6. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Chopin i jego Europa”

To jedyna obok Warszawskiej Jesieni polska impreza wywierająca realny wpływ na kształt światowego życia muzycznego. Jej twórca, wicedyrektor Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina Stanisław Leszczyński, od 2004 roku zachęcał cenionych muzyków i zdolnych debiutantów do podejmowania nowych wyzwań: nauki gry na XIX-wiecznych fortepianach, wykonywania utworów zapomnianych kompozytorów z epoki Fryderyka – jego uczniów, przyjaciół, naśladowców. Udało mu się wznieść modę na „prawdziwego Chopina”. Mazurki czy polonezy w brzmieniu zbliżonym do oryginalnego gra na świecie coraz więcej pianistów, także tych najwybitniejszych. Odważyła się na to w sierpniu sama Martha Argerich, po raz pierwszy grając na dawnym instrumencie w duecie z inną legendarną pianistką, Portugalką Marią João Pires. Publiczność oszalała.

Epokowych koncertów było podczas tegorocznej, wyjątkowo rozbudowanej (31 dni, ponad 50 wydarzeń) edycji festiwalu przynajmniej kilka. Na dawnych instrumentach grali Chopina po raz pierwszy Włosi z Il Giardino Armonico oraz słynna Orchestre des Champs-Élysées prowadzona przez Philippe'a Herreweghe, a warszawiacy znów oklaskiwali swojego młodocianego ulubieńca, rodaka z Kanady – Jasia Lisieckiego. Podobno efektem jego występów jest kontrakt płytowy z prestiżową wytwórnią Deutsche Grammophon.

Dzięki temu festiwalowi właśnie w Warszawie można dziś wyrobić sobie opinię o współczesnej interpretacji muzyki kompozytora. Płyty, na których uwieczniane są festiwalowe przedsięwzięcia, zyskują najwyższe oceny międzynarodowej krytyki. Urządzenie ambitnego muzycznego forum w rodzinnym mieście kompozytora uznać należy zatem za największe zwycięstwo minionego roku.

Chopin Open – Szalone Dni Muzyki

W tym przypadku importowaliśmy gotowy pomysł. To polska mutacja festiwalu La Folle Journée odbywającego się od 15 lat w Nantes i z wolna rozprzestrzeniającego się po świecie (w tym roku między innymi w Bilbao, Rio de Janeiro i Tokio). Nowatorskie jest przede wszystkim egalitarne i nieformalne podej-

ście do „wielkiej muzyki”, które nie wymaga wcale wdzięków się do masowych gustów ani adaptowania rozrywkowych stereotypów. Francuski wizjoner René Martin wymyślił taką oto muzyczną fiestę: przez trzy dni w licznych salach jednego budynku odbywają się od rana do wieczora krótkie, 45-minutowe koncerty (w Nantes było ich w tym roku 270, w Warszawie około 100). Trwają równocześnie, można więc spędzić trzy dni z muzyką, przechodząc tylko z sali do sali. Zasadą są niedrogie bilety lub darmowy wstęp – i świetni wykonawcy.

Dominująca w programie Szalonych Dni klasyka ma bezkonfliktowo mieszać się z intrygującymi międzygatunkowymi eksperymentami. W Nantes dzieła polskiego romantyka interpretowała w tym roku między innymi Renegades Steel Orchestra z Trynidadu i Tobago grająca na metalowym złomie, nieraz o militarnym pochodzeniu. W Warszawie skończy-



FOT. TVP/EST NEWS

„Chopin i jego Europa”, a Akiko Ebi z Japonii...

ło się na przeglądzie pozycji z katalogu „Chopin na jazzowo”. Dla Polaków intrygująca okazała się jednak forma festiwalu. Potwierdza to sięgająca 26 tysięcy osób frekwencja.

Rewitalizacja muzeum i parku w Żelazowej Woli

Jedną z naszych najważniejszych atrakcji turystycznych do niedawna znajdowała się w opłakanym stanie. Po przedarciu się przez strefę straganów z paskudnym rękodziełem wkraczało się do pięknego, ale zapuszczonego parku z nudnym muzeum. Wszystko tam było udawane – nie wiemy przecież, czy kompozytor urodził się w tym właśnie budynku ani jak wyglądało wnętrze jego domu rodzinnego. Tę stylizację z międzywojnia odbierać należy jako próbę stworzenia symbolicznego sanktuarium kultu Chopina.

W takim też duchu przygotowana została nowa, minimalistyczna ekspozycja (bez audioguide'a nie ma sensu zaglądać do wnętrza

dworku) oraz rewitalizacja i przebudowa całego kompleksu. Dziś odrestaurowany park porządkuje dyskretna architektura; okalają go eleganckie, nowoczesne budynki mieszczące restaurację, kawiarnię, salę multimedialną i dobry sklep z pamiątkami. Rewelacyjnym pomysłem jest oranżeria, w której można kupić rośliny występujące w parku. Przygotowany przez pracownię Stelmach & Partnerzy projekt nominowany został do Europejskiej Nagrody Architektonicznej imienia Miesa van der Rohe.

Z wioski mazowieckiej do globalnej, czyli ambitne zamierzenia:

Koncerty urodzinowe

Podczas lutowego maratonu koncertowego wystąpiło w Warszawie 14 pianistów ze ścisłej światowej czołówki, w tym 6 laureatów Konkursu Chopinowskiego. Obsada fety urodzinowej miała w założeniu wykluczyć jakiegokolwiek niespodzianki. W praktyce jednak nie zabrakło sporych rozczarowań, których dostarczyli tak popularni artyści jak Murray Perahia czy Yundi. Wiele do myślenia daje fakt, że najciekawszymi występami „tygodnia urodzinowego” okazały się recitale Piotra Anderszewskiego (bez utworów Chopina) oraz Leifa Ove Andsnesa – pianistów zdecydowanie mniej medialnych, a bardziej „elitarnych”.

16. Międzynarodowy Festiwal Pianistyczny imienia Fryderyka Chopina

Jedyną bodaj impreza z dziedziny muzyki klasycznej, która przyciąga uwagę mediów – w tym roku po raz pierwszy transmitowana była także w Internecie (wszystkie nagrania są dostępne online). Po zwycięstwie Julianny Awdiejewej dyskusje na Facebooku nie miały końca – niektórzy twierdzili, że konkurs został „ustawiony”. Niechęć słuchaczy wzbudził też członek jury Fou Ts'ong, który nie tylko głosował, lecz także lobbował na rzecz Rosjanki, choć – wedle niepotwierdzonych informacji – nie miał do tego prawa jako jej nieoficjalny nauczyciel. Inni doszukiwali się kolejnego przejawu Putinowsko-Tuskowskiego spisku przeciwko polskiemu interesowi narodowemu. Komentujący konkurs polscy pedagodzy i dziennikarze byli zaskakująco zgodni: Austriak Ingolf Wunder dużo lepiej ucieleśniał ideały stylowego interpretowania Chopina umocowane w konkursowej tradycji oraz we wnikliwych akademickich badaniach.



Słynny Asko Schönberg Ensemble nie uratował Warszawskiej Jesieni

„Jakoś to będzie”, czyli porażki:

Chopin dziś

Pod tym względem zawiodła nawet Warszawska Jesień. Nieudolnie próbowała złapać chopinowski wiatr w żagle, eksploatując temat „klawiatury”. Postawiła jednak na sztampowy przegląd staroświeckich, choć dziś komponowanych koncertów fortepianowych. Balet Narodowy zamierza obwozić po świecie lukrowaną hagiografią „Chopin – artysta romantyczny”, w Polsce jednak, po druzgocących opiniach krytyki, już jej nie pokazuje. Biograficzna opera Marty Ptaszyńskiej, kantata Krzysztofa Pendereckiego oraz animacja „Latająca maszyna”, którą przygotowują twórcy oscarowego „Piotrusia i Wilka” – to wciąż zbyt mało, by poważnie dyskutować o miejscu Chopina w naszej kulturze i tożsamości.

Muzeum Fryderyka Chopina

Marcowa inauguracja radykalnie odnowionego Muzeum Chopina w warszawskim pałacu Ostrogskich okazała się kompromitującym falstartem. Reklamowana jako najnowocześniejsza w Europie multimedialna ekspozycja przygotowana przez mediolański zespół Migliore+Servetto obejmuje między innymi maszynę do komponowania „chopinowskich” melodii, historyczny fortepian czytający nuty oraz stylizowaną rekonstrukcję fonosfery XIX-wiecznego Nohant. Miała być wizytówką nowoczesnych oraz egalitarnych aspiracji organizatorów roku jubileuszowego. W praktyce jednak jej tytuł „Doświadczać Chopina” można by zastąpić formułą „Przepraszamy za usterki”. Nie doczekaliśmy się odpowiedzi na pytanie, czy barejowska awaryjność muzeum to efekt jubileuszowego pośpiechu,

problemów finansowych czy chaosu kompetencyjnego, który dawał o sobie znać przy przedsięwzięciach Roku Chopinowskiego. Być może błędy zostaną naprawione, co każe zmienić ocenę. Na razie jest, jak jest.

Kosztowne zabawy

Dawno minęły czasy, gdy kontrowersje wzbudzała wódka promowana nazwiskiem kompozytora. Dziś reklamuje on czekoladki, przyciski do papieru, taśmę klejącą, a nawet pieluchy. Oficjalna oferta artystyczna obchodów dowodzi podobnego bogactwa skojarzeń, jakie może wywoływać nazwisko Chopin. Trudno powiedzieć, na ile to pospolite ruszenie wynikało ze specyficznego pojmowanego poczucia obowiązku, a w jakim stopniu motywowane było chęcią wykorzystania promocyjnej oraz finansowej maszyny Roku Chopinowskiego. Zwłaszcza że było z czego korzystać. Niepozorny białostocki spektakl „Chopin – Impresja” kosztował budżet państwa 250 tysięcy złotych. Dwa razy większą dotację z programu Chopin–Promesa otrzymał zaigraszki kilkorga artystów z „Preludium deszczowym” katowicki OFF Festival. Niewiele więcej Ministerstwo Kultury skłonne było zainwestować w warszawskie Szalone Dni Muzyki, które zgromadziły kilkudziesięciokrotnie większą publiczność. Konia z rzędem temu, kto rozszyfruje kryteria, jakimi kierowali się eksperci, rozdysponowując budżet obchodów...

Wysoki próg tolerancji na chopinowskie kurioza przestaje dziwić w kontekście autorskich pomysłów decydentów naszego życia kulturalnego. Medialnym hitem miał być (odwołany po katastrofie smoleńskiej) happening „Chopin Lives”. Do Warszawy miało zawitać 99 nieletnich muzyków z Chin, by razem z młodym polskim pianistą (przy klawiaturze w naszych barwach narodowych!) dać sy-

multaniczny koncert na placu Piłsudskiego. To jednak błaźnista przy pomocy Biura Promocji Miasta Warszawy, by zrekonstruować akt dewastacji fortepianu Chopina znany z wiersza Norwida.

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

W lipcu minister kultury zdymisjonował dyrektora NIFC Andrzeja Sułkę, jako powód podając nieprawidłowości finansowe. Ten bronił się zaciekle, uzasadniając swoje decyzje niedobrym schematami po poprzednikach oraz nieregularnym dopływem funduszy z resortu. Według niepotwierdzonych informacji w instytucie zabrakło pieniędzy na wypłaty dla pracowników, a program festiwalu Chopin i jego Europa przystosowywany był w ostatniej chwili do zmniejszonego budżetu. Trwa audyt, środowisko huczy od plotek; w powszechnej opinii problem jest wyciszany dla dobra propagandy sukcesu Roku Chopinowskiego.

NIFC, jedną z najbogatszych instytucji kultury w Polsce, powołano dziewięć lat temu ustawą sejmową. Orędownikiem jej powstania był ówczesny minister kultury Waldemar Dąbrowski. Organizacja nie była mocną stroną instytutu, dlatego utworzenie w ubiegłym roku Biura Obchodów Chopin 2010 powierzono dyrektorowi Opery Narodowej – tak, tak... Waldemarowi Dąbrowskiemu. Efektem przygotowywania uroczystości przez dwie nieoficjalnie rywalizujące instytucje był nieopisany bałagan tuż przed rocznicą urodzin kompozytora. Poprowadzenie biura prasowego musiał wziąć na siebie Instytut Adama Mickiewicza, którego pracownicy świecili oczami przed światową prasą, kiedy ekipa NIFC tydzień przed rocznicą w chaosie przeprowadzała się do nieukończonego Centrum Chopinowskiego. Kiedy udało się przebrnąć przez obchody rocznicowe i szykowano się do letniej kumulacji koncertowej oraz jesiennego konkursu, pełniącym obowiązki szefa NIFC został niespodziewanie... Waldemar Dąbrowski.

Infrastruktura polskiej kultury muzycznej spoczywa na barkach jednego efektywnego menedżera, a także samotnego kuratora wizjonera (Stanisław Leszczyński) i jednej sprawnie działającej agencji rządowej (Instytut Adama Mickiewicza). W grudniu pojawiło się w grze nowe nazwisko: dyrektorem NIFC ma zostać Kazimierz Monkiewicz, z wykształcenia elektronik, były prezes Panasonic Polska. Zapewne sprowadzono go, by wreszcie doliczył się pieniędzy, które przeciekały przez palce kolejnych władz instytutu. Monkiewicz podobno lubi muzykę klasyczną, szczególnie w jazzowych opracowaniach...

Alternatywa dla kina

Lubicie Grizzly Bear, muzyków Radiohead i Daft Punk? Zajrzyjcie do kina, gdzie coraz częściej można usłyszeć gwiazdy alternatywy. Najnowszy przykład to „Tron. Dziedzictwo” z muzyką tych ostatnich

MARIUSZ HERMA

Ci, którzy widzieli już „Tron: Dziedzictwo” Josepha Kosinskiego (sequel głośnego filmu science fiction z 1982, w którym główną rolę grał Jeff Bridges), spierają się, czy bardziej monumentalne wrażenie robi trójwymiarowa grafika, czy elektroniczno-symfoniczna ścieżka dźwiękowa francuskiego duetu Daft Punk.

Fenomen oryginalnego „Tronu” wynikał nie tylko z obrazu, ale także z innowacyjnej muzyki Wendy Carlos. Wiedziałem, że powinienem pójść tym samym tropem. Dlatego zamiast szukać tradycyjnego kompozytora, umówiłem się na kawę z Daft Punk. Okazało się, że „Tron” ma dla nich ogromne znaczenie i ostatecznie to oni sprawdzali, czy ja dorastam do legendy tamtego filmu – śmieje się Joseph Kosinski. – Spędziłem z nimi ponad rok, pracując nad tym soundtrackiem. Nie znam innego filmu, przy którym zajęłoby to tyle czasu. Integracja muzyki i obrazu w „Tronie” osiągnęła niewiarygodny poziom.

Pokrewne dusze

Wyjątkowe zaangażowanie i odważne podejście do materii filmowej to jeden z powodów, dla których reżyserzy gotowi są zaryzykować współpracę z kinowymi naturščzykami. Innym jest wiarygodność. Bo czy scenie zachowania dwojga 30-latków powinna towarzyszyć muzyka, z którą najpewniej ani oni, ani widzowie nie mają nic wspólnego? To samo pytanie zadał sobie Derek Cianfrance, reżyser „Blue Valentine” z Michelle Williams i Ryanem Goslingiem w rolach młodych małżonków. – Przez 9 z 12 lat, które poświęciłem „Blue Valentine”, w głowie słyszałem Vangelisa. I oto nagle mój przyjaciel i były wykładowca Phil Solomon zapoznał mnie z grupą Grizzly Bear. Ich muzyka jest niewiarygodnie filmowa! Brzmia klasycznie, a zarazem nowocześnie. Natychmiast poczułem pokrewieństwo. Do fragmentów filmu zacząłem sobie puszczać ich piosenki, a te z kolei zainspirowały mnie do dalszego pisania. Jeśli w otwarcu kręcili się Grizzly Bear, nigdy nie



W takich kostiumach Daft Punk z powodzeniem mogliby wystąpić w filmie „Tron. Dziedzictwo”

oglądać wielkich gwiazd, za to kazał im ich słuchać. Ścieżkę dźwiękową zapożyczył bowiem od takich tuzów alternatywy jak Animal Collective, of Montreal czy Sleight Bells. A równolegle kręcił teledysk dla zespołu Arcade Fire.

Nie tylko Jonze jest znużony hollywoodzkimi rzemieślnikami pokroju Johna Williamsa i szuka dla nich – no właśnie – alternatywy. David Fincher napisanie muzyki do „The Social Network” powierzył Trentowi Reznorowi, liderowi Nine Inch Nails, którego nie lubi ani telewizja, ani radio. Francuzów z grupy Phoenix do nowego, nagrodzonego Złotą Palmą w Cannes filmu „Somewhere” zwerbowała Sofia Coppola, a o oprawę muzyczną filmu „John Lennon. Chłopak znikąd” zadbał Goldfrapp. W ekranizacji „Norwegian Wood” Harukiego Murakamiego usłyszymy Jonny'ego Greenwooda z Radiohead – tego samego, który przed trzema laty wykreował duszną atmosferę oscarowego „Aż poleje się krew”.

Powrót do sławy

Co z tego wszystkiego mają same zespoły? W niełatwych rynkowo czasach wypada przypomnieć popularną niegdyś zasadę mówiącą o tym, że zawsze bezpieczniej jest sprzedać kilka utworów do filmu, niż ryzykować występ w reklamie biustonoszy albo napojów gazowanych. Dla tych, którzy nie pracują przy wysokobudżetowych produkcjach typu „Tron”, bardziej niż honorarium liczy się okazja, aby pokazać się nowej publiczności. Ilu fanów zyskali The Shins dzięki gościnnej wizycie w „Powrocie do Garden State”? Albo Sigur Rós, po tym jak w kluczowej scenie „Vanilla Sky” Tomowi Cruise'owi towarzyszyła jedna z ich piosenek? Albo M.I.A. za sprawą rewolwerowych wystrzałów w oscarowym „Slumdog. Milioner z ulicy”? Bardzo wielu.

Trudno zakładać, że Williamsowi, Jamesowi Hornerowi czy Jamesowi Newtonowi Howardowi w najbliższym czasie zajrzy w oczy bezrobocie. Jednak alternatywne gwiazdy atakują. W muzyce filmowej dokonuje się właśnie mała zmiana warty.

FOT. EMI

Historie kuchenne



ZE SWIETŁANĄ ALEKSIJEWICZ
ROZMAWIA
MAŁGORZATA SADOWSKA

Swietłana Aleksijewicz

62 lata, białoruska reporterka, pisarka i poetka. Ukończyła dziennikarstwo na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym w Mińsku. Po studiach jeździła z magnetofonem szpulowym po ZSRR i nagrywała wspomnienia kobiet, które walczyły w II wojnie światowej. Na podstawie zebranych materiałów w 1983 roku powstała jej najgłośniejsza książka „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”, która niedawno ukazała się w Polsce. Aleksijewicz jest też autorką „Ołowianych żołnierzów” (1989) o wojnie w Afganistanie, „Krzyku Czarnobyla” (1997, nagroda National Book Critics Circle) czy „Ostatnich świadków” (1985) o II wojnie widzianej oczami dzieci. Dziś pracuje nad „Czasem second hand”, przygotowuje też książki o miłości i o starości we współczesnej Rosji. Otwarcie krytykuje reżim prezydenta Aleksandra Łukaszenki. Od 2000 roku przebywa na emigracji, obecnie mieszka w Niemczech. Swietłana Aleksijewicz była niedawno gościem festiwalu reportażu Warszawa bez Fikcji.

Jej książki powstają 7-10 lat. Tyle czasu zbiera i opracowuje opowieści świadków wydarzeń kluczowych dla historii ZSRR i Rosji. Pisała o wojnie w Afganistanie, o ofiarach Czarnobyla. Niedawno ukazała się w Polsce najgłośniejsza książka reporterki i pisarki **SWIETŁANY ALEKSIJEWICZ** „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. To wstrząsające relacje kobiet, które walczyły w wielkiej wojnie ojczyźnianej

Ciekawa jestem, gdzie najczęściej rozmawia pani ze swoimi bohaterami. Siedzają panią w salonie? W kuchni?

– Oczywiście w kuchni! W Rosji rozmowy toczy się tylko tutaj. W kuchni zaczynamy rewolucję, pierestrojki, debaty. To nie jest miejsce, gdzie po prostu przygotowuje się jedzenie, to miejsce naszych spotkań.

„Historię czerwonej utopii”, czyli cykl książek o ZSRR, zaczęła pani pisać w latach 80. Przez ten czas odwiedziła pani setki rosyjskich domów. Co się w nich zmieniło?

– Pamiętam dobrze czasy pierestrojki, moment, gdy pojawiły się zachodnie towary. Ludzie chodzili po sklepach jak po teatrze i chcieli mieć wszystko nowe. Nawet w inteligentnych domach o niczym innym się nie mówiło, tylko o tym, kto ma nowy młynek do kawy, kto nowy ekspres, a kto robota kuchennego. To były czasy, kiedy wszyscy chcieli wszystkiego spróbować. Właściwie ten etap jeszcze się nie skończył. Na początku myślałam, że to wulgarnie, mieszczańskie zachowanie, że z taką samą namiętnością Rosjanie jeżdżą po świecie i kupują, jak wcześniej szli

na wojnę i strzelali. Dziś myślę, że to nie jest wulgarnie, że to potrzeba odreagowania surowych, ponurych czasów, potrzeba ciepła. Po prostu – psychoterapia.

Psychoterapią można nazwać też pani pisarstwo – konsekwentnie zajmuje się pani postsowieckimi traumami.

– Po upadku ZSRR szybko okazało się, że wolność to nie szwajcarska czekoladka, tylko droga – bardzo długa. Dlatego tak ważne było dla nas, by zrozumieć, jakimi jesteśmy ludźmi, zmierzyć się z zakorzenionymi w nas mitami na temat wojny, śmierci, bohaterstwa. Od lat zajmuję się pisaniem „Historii czerwonej utopii”, właśnie kończę piątą książkę na ten temat. Szukam odpowiedzi na pytania, kim jesteśmy, jak żyjemy, czym był socjalizm w naszym wydaniu. Pewnie ma pani rację, że to jest forma terapii. Żeby się wyleczyć, pozbyć demonów przeszłości, trzeba o nich opowiadać.

Pani najnowsza książka będzie nosić tytuł „Czas second hand. Koniec czerwonego człowieka”. Czy to już naprawdę jego koniec?



Uczyłam swoją córkę, że nie wolno skrzywdzić nawet bożej krówki.

A ona przybiega kiedyś ze szkoty, wołając:

„Mamo, była u nas dziś snajperka, która zabiła na wojnie 70 osób!”

BEREZNIŃSKI

→ – Mamy dwie Rosje: jedna to ta powyżej pięćdziesiątki, której światopogląd ukształtował ZSRR. Druga to młoda Rosja wychowana w epoce „dzikiego” kapitalizmu. Bardzo dużo podróżowałam, zbierając materiały do tej książki, i wiem, że ludzie u nas są dziś bardzo niezadowoleni. Ci pierwsi nigdy nie chcieli żyć w kapitalizmie, tylko w socjalizmie „z ludzką twarzą”. Dziś jest im bardzo ciężko, więc tęsknią za ZSRR. Ale nie ma już odwrotu – tamta Rosja, czerwona, komunistyczna, skończyła się definitywnie. Co będzie dalej – nie wiadomo. Ludzie wciąż żyją w pustce, szukają czegoś, co zastąpi starą ideologię. W pierwszych latach po upadku Związku Radzieckiego wydawało się, że będzie to prawosławie, ale religijny zapal szybko minął i teraz zaczynamy wracać do wartości fundamentalnych z dawnych czasów – do etosu męstwa, walki, wojny.

Pisząc w latach 80. „Wojna nie ma w sobie nic z kobiecy”, wierzyła pani, że ZSRR zmienia się i staje coraz bardziej przyjazny kobietom. Czy rzeczywiście tak jest?

– Niestety, w Rosji dominuje kultura macho, w czym spora zasługa Władimira Putina, który lubi prezentować swój obnażony, umięśniony tors, fotografować się na motocyklu czy w samolocie szturmowym, pokazywać, jak ćwiczy dzudo. Kobiety wciąż nie są dopuszczane ani do polityki, ani do wielkiego biznesu, a szkoda, bo bardzo przydałby się w Rosji ich punkt widzenia. Pięrestrojka pokazała, że kobiety lepiej i szybciej dostosowały się do nowych czasów. Za to mężczyźni wciąż nie są w stanie wejść w nowe role, zostać w domu, zając się dzieckiem. Kobieta prezydentem Rosji czy Białorusi? Jeszcze długo nie będzie to możliwe.

We wstępie do tej książki napisała pani:

„W szkole uczone nas kochać śmierć. Chcieliśmy umrzeć za coś”. Tytuł innej pani książki brzmi „Urzeczeni śmiercią”, a któryś z pani bohaterów deklaruje: „Ból jest dla nas sztuką”. Jakie są źródła tego rosyjskiego kultu cierpienia?

– Trzeba wziąć pod uwagę naszą straszną wojenną historię i fakt, że czasy późniejsze były podobne – brakowało jedzenia, nie było szacunku dla ludzkiego życia. Mieliśmy więzienia, obozy, psychuszki – to wszystko przypominało stan wojny. Cierpienie jest jądrem rosyjskiej kultury. To cywilizacja cierpienia. Zawsze mówię, że w Rosji złość cierpienia jest więcej niż ropy i gazu. Ale teraz, gdy zbieram materiały do książki o miłości we współczesnej Rosji, coraz częściej słyszę od młodych

ludzi, że nie chcą się poświęcać, że chcą być szczęśliwi. Powtarzają jednak, że dziś jest jeszcze trudniej niż kiedyś. Bo kiedyś ludzie bali się KGB, a dziś boją się samego życia. Codzienne życie ich przeraża. I trudno im się dziwić. W czasach sowieckich wszystko zalażały przydziały, nie umarłbyś z głodu. Teraz, jeśli nie masz pracy, ładujesz na ulicy. Dla zwykłego człowieka demokracja nie ma żadnego znaczenia. To inteligencja chciała demokracji, ludzie chcieli tylko dobrze żyć.

„Wojna nie ma w sobie nic z kobiecy” opowiada o tym, jak wojna kształtuje pamięć, jak wpływa na kolejne pokolenia. Ja sama przez całe dzieciństwo miałam sny o ucieczce przed Niemcami – telewizja bez końca emitowała filmy i seriale wojenne, dużo mówiło się na ten temat w szkole. W jaki sposób pani nasiąkała tym kultem cierpienia?

” *W Afganistanie widziałam umierających żołnierzy, wioski zamienione w pył przez rosyjskie bomby. I nie było w tym żadnej pięknej sprawy*

SWIETLANA ALEKSJEWICZ

– Mieszkałam na wsi, mój ojciec był dyrektorem szkoły, matka nauczycielką, mieszkaliśmy w szkolnym budynku – szkoła była całym moim światem. Na ścianach wisiły portrety pionierów, bohaterów, którzy polegli. Czytanki mówiły o męczeńskiej śmierci, a ich wymowa była taka, że i my powinniśmy poświęcić życie dla ojczyzny. W domach były albumy z fotografiami wojennymi, oglądało się je, słuchało opowieści. Akurat w naszym domu nie mówiło się na ten temat zbyt wiele, a wszystkie wojenne pamiątki ojca zostały skradzione... Za to do szkoły przychodzili weterani. Byliśmy zafascynowani ich opowieściami, niestety. Kiedy moja córka była mała, tłumaczyłam jej, że oderwanie skrzydełek bożej krowce to okrucieństwo, uczyłam ją, że człowiek stworzony jest do szczęścia, a nie do śmierci na polu bitwy. Tymczasem ona pewnego dnia wróciła ze szkoły, wołając: „Mamo, była u nas dziś snajperka, która zabiła na wojnie 70 osób!”. Jeśli ktoś mówi, że bez trudu wyzwolił się z sowieckiej mentalności, spod wpływu sowieckiego wychowania, nie wierzę mu – to było doświadczenie totalne

i uwolnienie się od niego jest bardzo skomplikowanym procesem. Ja poczułam się wolna dopiero po powrocie z Afganistanu, do tamtego czasu miałam w sobie jeszcze resztki wiary w system.

W jakim sensie Afganistan panią uwolnił?

– Zobaczyłam, jak w praktyce wygląda przeszczepianie sowieckiej idei w zupełnie innym kraju. Trwała wojna, pojechałam kiedyś do szpitala rozdawać zabawki. Byli tam tylko starcy i kobiety z dziećmi – młodzi mężczyźni uciekali w góry przed bombardowaniami, a bomby spadały na tych najsłabszych, którzy zostawali w wioskach. Podałam maskotkę niedźwiadka pewnemu chłopcu, a on wziął ją zębami. „Dlaczego bierzesz zabawkę zębami?” – zdziwiłam się, na co stojąca obok Afganka podniosła koc i powiedziała: „Zobacz, co zrobili Rosjanie. On nie ma rąk ani nóg”. Takie zdarzenia całkowicie pozbawiają złudzeń.

W naszym własnym kraju socjalizm nie działał, we własnym domu mieliśmy mnóstwo problemów – by wspomnieć tylko Czarnobyl – a chcieliśmy szerzyć naszą ideologię na całym świecie. W Afganistanie widziałam umierających żołnierzy, widziałam afgańskie wioski zamienione w pył przez bombardowania. I nie było w tym żadnej pięknej sprawy. Zobaczyłam, kim naprawdę jesteśmy, słyszałam, jak mówią tam o nas „sowieccy hitlerowcy”. To wystarczyło, żeby stać się wolną.

Trafiłam kiedyś w Afganistanie na akcję „rozdawania ziem”. Sowiecki pułkownik przydzielał ją mieszkańcom pewnej wioski: „To twój kawałek” – mówił staremu Afgańczykowi. Ten tylko na niego popatrzył i zapytał: „A ty co – Bóg, żeby mi dawać ziemię?”. Innym razem byłam świadkiem sytuacji, gdy pijani żołnierze przejechali czołgiem dziewczynę. Byłam przekonana, że rodzina oszaleje z rozpaczy, że rzuci się na wojskowych, tymczasem ojciec przyjął od nich w ramach rekompensaty worek mąki i było po sprawie. Zrozumiałam, jak głęboka przepaść mentalna i kulturowa nas dzieli. Nasza obecność w Afganistanie nie miała żadnego sensu.

Świadectwa żołnierzy walczących w Afganistanie zebrała pani w książce „Ołowiane żołnierzyki”. „Wojna nie ma w sobie nic z kobiecy” to relacje kobiet, które były się w wielkiej wojnie ojczyźnianej. Czy w ogóle można porównywać te doświadczenia?

– W tym drugim przypadku motywacją do walki była niesłuchanie silna sowiecka ideologia, ludzie wierzyli w nią fanatycznie. Widziałam to po moim ojcu, który zmarł niedawno i który do samego końca nosił przy

sobie legitymację partyjną, do końca nie przestał wierzyć. W czasie wojny w Afganistanie doszło do awarii w Czarnobylu, ZSRR już trzeszczał w szwach. Za tymi ludźmi nie stała żadna wiara, dlatego też śmierć była dla nich czymś strasznym. Uczestnicy wojny ojczyźnianej umierali tak jak dziś fanatycy islamscy – w przekonaniu, że giną za wielką sprawę, do tego stopnia byli zindoktrynowani. Jeśli cokolwiek łączy uczestników obu wojen, to może tylko romantyczne wyobrażenia, z którymi wielu „cynkowych malczków” pojechało do Afganistanu.

Skąd to romantyczne wyobrażenie?

– Oczywiście z książek, filmów, wychowania. To, co uderzyło mnie w Afganistanie, to fakt, że było tam bardzo dużo dzieci nauczycieli, inteligentów. Kogokolwiek bym spytała – mama nauczycielka, ojciec inżynier. Na wielką wojnę ojczyźnianą szli wszyscy, tutaj zaś wielu rodziców, tych zamożnych, bardziej świadomych, „wykupowało” ze służby swoje dzieci. Oczywiście w Afganistanie były także dzieci prostych ludzi, te szły na wojnę, bo chciały zobaczyć świat – syn traktorzysty gdzieś z głębi Rosji nie miał innej możliwości wyjazdu za granicę... I dopiero na wojnie wielu chłopców budowało swoją tożsamość, rozwiązywało swoje życiowe problemy: jestem mężczyzną, wszystko mogę – tego się uczyli.

Nigdy nie napisała pani książki o Czeczenii.

Obserwowała pani także tamtą wojnę?

– Ona była jeszcze straszniejsza, jeszcze bardziej okrutna – wręcz bandycka. W Afganistanie mieliśmy regularną armię, działali tam partyjni komisarze, w Czeczenii chodziło już tylko o pieniądze. Rosjanie handlowali z Czeczeniami, sprzedawali im broń, z której potem zabijano rosyjskich żołnierzy. Najstraszniejsze było to, że nawzajem mordowali się tam ludzie, którzy kiedyś chodzili do tych samych szkół, razem studiowali i służyli w sowieckiej armii.

Zastanawiam się, jak to możliwe, że po doświadczeniach Afganistanu ludzie gotowi są jechać na kolejną wojnę?

– Ja też wciąż nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. W książce „Czas second hand” znajduje się historia milicjantki, która z kolegami pojechała na wojnę – musiała, ale też bardzo chciała zarobić. Była po rozwodzie, miała małą córeczkę, a pochodziła z biednej rodziny. Marzył jej się telewizor, nowe meble. Ale dziewczyna nie wróciła – popełniła samobójstwo. Są dwie wersje jej śmierci – pierwsza mówi o tym, że została zgwałcona i dlatego postanowiła się zabić, druga – że stojąc na poste-

runku, nie przepuściła kolegów z przemycałym towarami i została zabita, a samobójstwo upozorowano. Jej matka to wspinała rosyjską kobietą; mówiła mi, że z jednej strony nie chciała, żeby córka jechała, ale z drugiej cieszyła się, bo przecież w domu potrzebna była lodówka... Współczuję matce, która straciła jedyne dziecko, ale nie jestem w stanie jej zrozumieć. Co takiego musi być w tych ludziach, że gotowi są wysłać dzieci na śmierć, do innego kraju?

Bohaterowie pani książek potrafią być niesłychanie waleczni: protestują, ślą listy do władz, domagają się prawdy. Ale ta potężna siła rodzi się w nich, kiedy jest już za późno, kiedy wydarzy się w ich życiu tragedia. Wcześniej pokornie godzą się na to, co przynosi los.

– Nie zapominajmy, że mówimy o ludziach, którzy dopiero co wyzwolili się z reżimu totalitarnego. Kiedy pisałam „Krzyk Czarnobyla”, rozmawiałam z matką, której dwoje dzieci umarło na raka wkrótce po awarii. Było tam też trzecie dziecko, także chore. We wsi było bardzo dużo takich dzieci, a w całej okolicy – dziesiątki. I nikt się nimi nie zajmował, nikt się o nie troszczył. „Kobietto, czemu nie zawiadomicie kogoś o tym, co tu się dzieje?” – pytałam. „A po co?” – usłyszałam. Oni bali się władzy, nie umieli walczyć o swoje. Takich ludzi produkował ZSRR – nauczonych, że dostaną swój przydział, całkowicie biernych. To wychowanie okazało się silniejsze niż instykt macierzyński.

Jedyny syn jednej z bohaterek książki o Afganistanie został wzięty na wojnę – nie było jej stać na to, by go wykupić. Chłopak zginął. Kiedy przyprowadzono mnie do niej, siedziała w małym pokoiku oszalała z cierpienia. Prosiła: „Koniecznie napisz prawdę, że nie pokazali mi, jak używać broni, że wcześniej uczył się w szkole stolarskiej i zamiast na lekcje strzelania wysyłał go, żeby generałowi naprawiał meble”. Po opublikowaniu książki ta kobieta wytoczyła mi proces. Poszłam więc z nią porozmawiać: „Nataszo, przecież napisałam prawdę, tak jak pani chciała”. „Ja nie chcę twojej prawdy – usłyszałam. – Ja chcę syna bohatera!”.

Tak omamiano rodziców dzieci zabitych w Afganistanie – zapraszani byli do szkół, przynosili fotografie, książki, ubrania i pokazywali je uczniom, mówiąc: „To rzeczy bohaterów”.

Kilkoro bohaterów „Ołowianych żołnierzyków” protestowało przeciwko antybohaterkiej wymowie książki. Zaraz po jej ukazaniu się w 1991 roku miała pani proces. Jak się skończył?

– Na grzywnie. To były już początki rosyjskiej demokracji, poza tym wstawili się za mną pisarze z całego świata, no i miałam mocne dowody w postaci taśm z nagranyimi rozmowami. Gdybym miała ten proces wcześniej, założono by mi sprawę karną, mogłabym iść do więzienia. Wiele kobiet mówiło w sądzie, że opowiadały swoje historie także innym dziennikarzom i tamci pisali prawdę o bohaterstwie ich dzieci... Tylko jedna matka, która straciła w Afganistanie syna oficera, przyznała: „Sama zabiłam swoje dziecko. Nałazero wałam je idealizmem, heroizmem. Ja jestem winna jego śmierci”.

Po lekturze pani książek mam wrażenie, że matka to w Rosji osobny gatunek człowieka.

– A wie pani, że sama się nad tym bardzo często zastanawiam? Ten kraj był wiecznie w stanie wojny, mężczyźni wciąż walczyli, byli nieobecni, ciągle ich brakowało. Bo II wojna, bo Afganistan, bo Tadżykistan, Górny Karabach, Czeczenia, Czarnobyl... Po wojnie ojczyźnianej, która pochłonęła miliony ofiar, mężczyźni byli jak car. A już najważniejszy mężczyźni w domu to syn. Matki traktują chłopców wyjątkowo. Od kobiet na Zachodzie często słyszałam, że Rosjanie są świetni w łóżku, ale nie sposób z nimi żyć. Są absolutnie uzależnieni od swoich matek, które nie pozwalają im przeciąć pępowiny, zajmują się nimi, nawet gdy są dorośli, dopieszczają ich. Często mówi się w Rosji, że chłopcy szukają żon podobnych do matek. Weźmy moją córkę – jest drobna, a jej mąż to dwumetrowy potężny mężczyzna, przy którym wygląda jak mała dziewczynka. Ale to ona zajmuje się nim jak dzieckiem. Dla mnie to niepojęte.

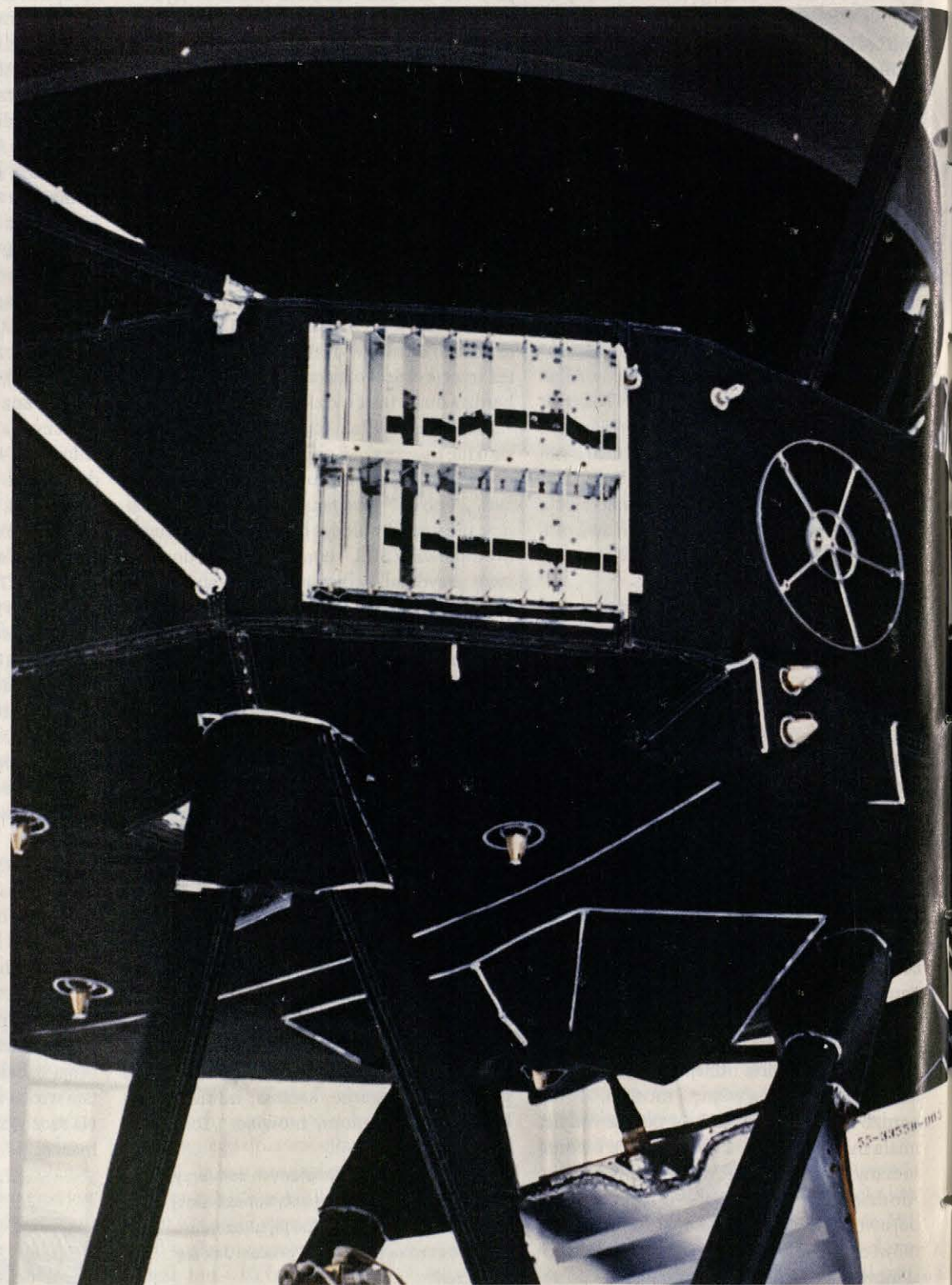
Kobiety w pani książkach są oddane mężom, dzieciom, rodzinie. W ogóle nie myślą o tym, że mają prawo do własnego życia, że mogą być szczęśliwe.

– Nikt nigdy nie uczył nas, jak być szczęśliwym, w rosyjskiej kulturze pojęcie szczęścia nigdy nie było ważne. Kiedy zaczęłam pracować nad książką o miłości, zorientowałam się, że w Rosji ludzie nie dążą do tego, by być szczęśliwi. „Dlaczego wyszła pani za niego za mąż?” – pytam jedną z bohaterek. „Ach, on był taki nieszczęśliwy, stracił pracę, zaczął pić. Moja babcia też tak wyszła za mąż. No i gdy tata wrócił z wojny, mama też ciągle płakała”. Na szczęście najmłodsze pokolenie myśli już inaczej.



Chilli ZET.
Radio w pogoni
za kulturą
www.chillizet.pl

Emisariuszki dobrej nowiny



Największa rakieta nośna świata Titan-Centaur w roli akuszerki dla sondy Voyager 1. Obok: Na tej płycie jest zapisany wstęp do wiedzy o ludzkości. Wersja light dla ufoludków

NASA obwieszcza: pierwszy etap podboju kosmosu zakończony! Przy okazji udało się wyeksportować w zaświaty nagrania Bacha i Louisa Armstronga. Jeśli dobrze pójdzie, za kilkadziesiąt tysięcy lat posłuchają ich istoty pozaziemskie

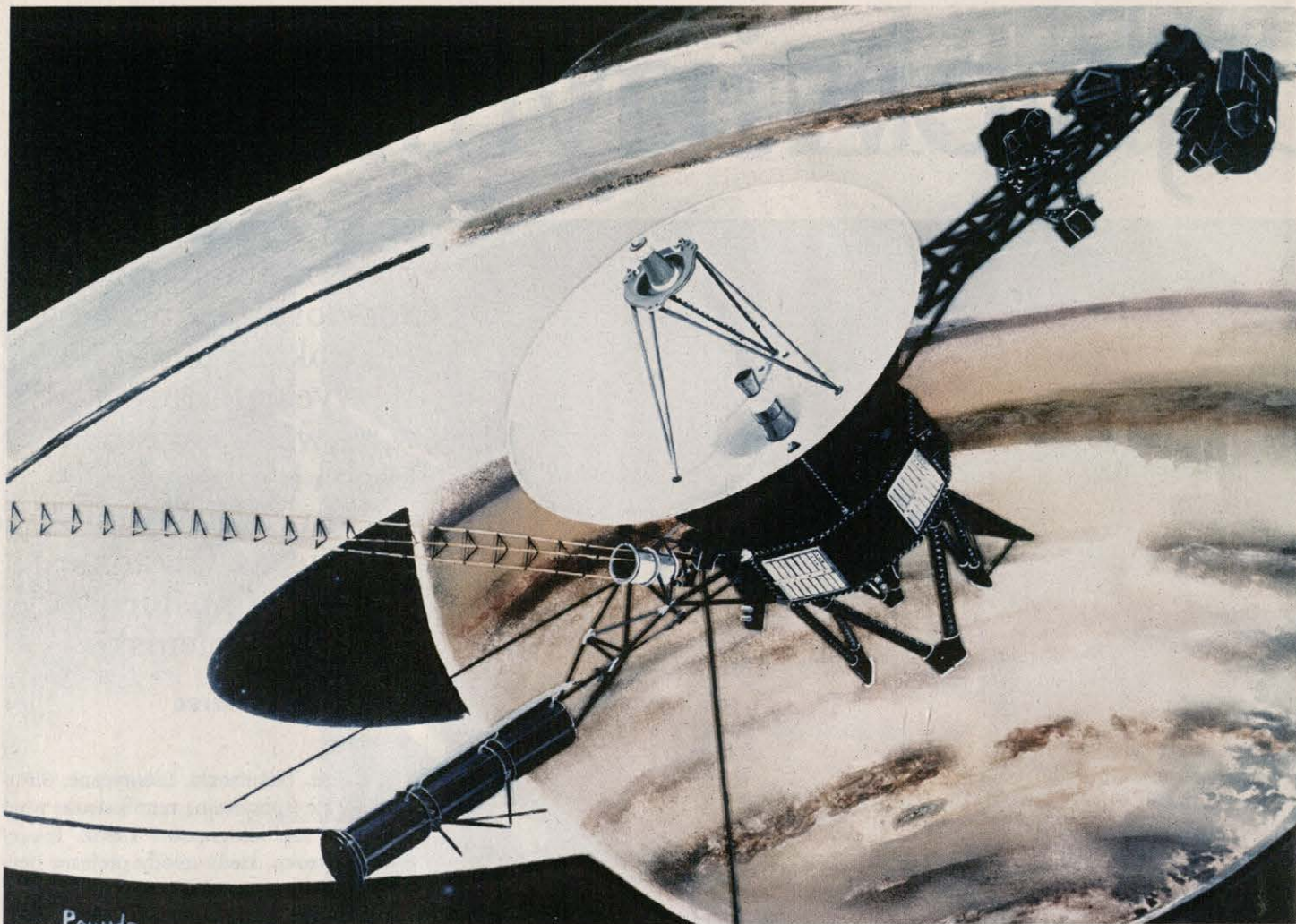
MACIEJ JARKOWIEC

One. Bliźniaczki. Identyczne. Smukłe i przystojne mimo swojej wagi – 722 kilogramów każda. Poczęte w 1972 roku, kiedy młody profesor fizyki Edward Stone przyjął propozycję amerykańskiej agencji kosmicznej, aby pokierować nową misją – wysłania zwiadowczyń do najdalszych zakątków Układu Słonecznego. Intencją NASA było wykorzystać zdarzający się raz na 176 lat geometryczny układ czterech najbardziej odległych planet: Jowisza, Saturna, Uranu i Neptuna, umożliwiający łatwe „przeskoczenie” z jednej na drugą.

Po pięcioletniej ciąży, w czasie której zespół Stone'a składał swoje dzieci ze 130 tysięcy części, pierwsza na świat przyszła Dwójka. Bezzałogowa sonda Voyager 2 została wysłana w kosmos z przylądka Canaveral na Florydzie 20 sierpnia 1977 roku. 16 dni później wystrzelono jej siostrę bliźniaczkę – Voyager 1.

Dzisiaj Jedyńka jest najbardziej oddalonym od Ziemi obiektem stworzonym przez człowieka. Przebyła 16 miliardów kilometrów i pędzi dalej z prędkością 520 milionów kilometrów na rok, co daje prawie 60 tysięcy kilometrów na godzinę. W 2004 roku przekroczyła barierę szoku końcowego – miejsce, w którym wiatr słoneczny (zjonizowane gazy emitowane przez Słońce) gwałtownie zwalnia, wyznaczając początek zewnętrznej otuliny Układu →

Fot. Corbis



FOT. SPL/EBST/NEWS

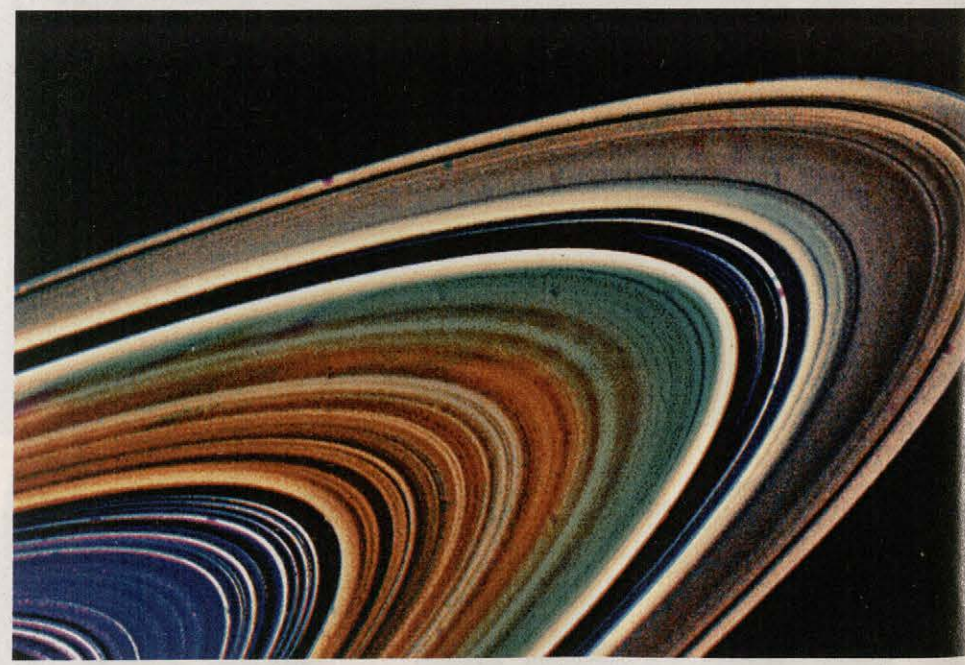
FOT. GETTY/FPM

NASA relacjonowała losy Voyagerów niczym prawdziwych kosmicznych podróżników. **Nieraz potrzebne były fotomontaże.** Tu sonda na tle Saturna

→ Słonecznego, tak zwanego płaszczka. W połowie grudnia 2010 roku NASA poinformowała, że sonda Voyager 1 opuściła płaszcz i znalazła się tym samym poza naszym układem. Na jednym z forów komentujących tę wiadomość internauta o nicku „mangold” napisał: „Ciekawe, czy prędzej znajdzie Boga, czy UFO”. NASA udzieliła odpowiedzi na swojej stronie, cytując T.S. Eliota: „Nigdy nie zaprzestaniemy odkrywać. A ostatnim naszym odkryciem będzie powrót do punktu wyjścia i poznanie go po raz pierwszy”.

Podróżniczki

Od dnia urodzin są w pełni samodzielne. Energię czerpią z plutonu przetwarzanego na prąd przez trzy generatory termoelektryczne. Napęd - z hydrazyny, silnie żrącej substancji wykorzystywanej też w produkcji nawozów czy farb. 16 hydrazynowych silniczków służy im jednak przede wszystkim do korekt kursu i manewrów platformy badawczej, bo bliż-



FOT. NASA

Pierścienie Saturna w oczach Voyager 2. Zdjęcie zrobione z odległości 8,9 miliona kilometrów; 1981 rok

niaczki zasadniczo mkną przez przestrzeń kosmiczną dzięki siłom astrodynamiki. Dlatego są raczej oszczędne - z 90 kilogramów załadowanej na ich pokładach hydrazyny po 33 latach lotu pozostało ponad 25 kilogramów.

Każda ma dwa mózgi, bo najważniejsze komputery - odpowiadające za położenie, łączność z Ziemią, gromadzenie i przetwarzanie danych naukowych - są zdublowane. Sondy diagnozują i leczą się same dzięki systemowi rozpoznawania i likwidowania nieprawidłowości w działaniu wszystkich instru-

mentów. W razie konieczności w ciągu kilku sekund mogą przejść w stan hibernacji. Ale jak na razie większych problemów ze zdrowiem nie mają. Poza awarię detektora płazmy na pokładzie Jedyńki bliźniaczki, będąc w wieku chrystusowym, działają bez zarzutu.

Przez pierwszych kilka lat leciały wspólnie. Mniej więcej. Jedyńka została posłana nieco szybszą trajektorią i dotarła do Jowisza 5 marca 1979 roku, cztery miesiące przed swą starszą siostrą. W pobliżu Saturna Voyager 1 przeleciała pod koniec roku 1980,

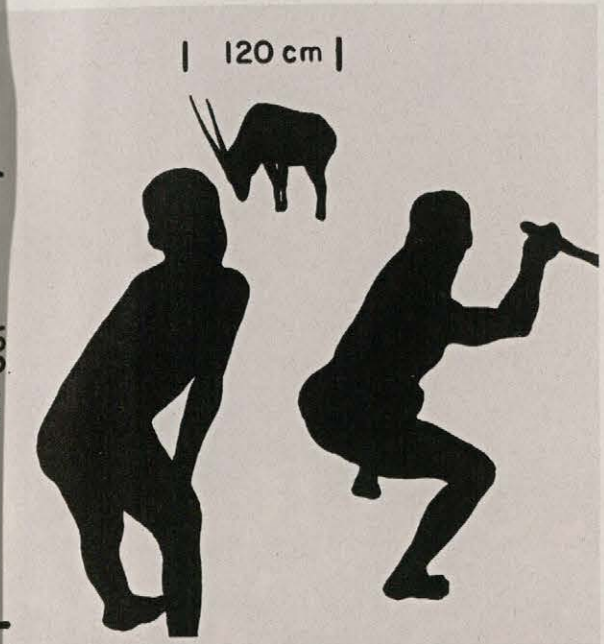
a Voyager 2 w sierpniu 1981. Potem ich drogi się rozeszły. Jedyńka pomknęła na północ od płaszczyzny ekliptyki (w skrócie - tej, na której leżą orbity wszystkich planet) ku kresom Układu Słonecznego, a Dwójka na południe, na spotkanie z Uranem i Neptunem.

Po opuszczeniu Układu Słonecznego Jedyńka leci przez pas graniczny, kosmiczną ziemie niczyją zwaną heliopauzą - w której prędkość wiatru słonecznego wynosi zero, bo hamowana jest ciśnieniem materii międzygwiazdnej. Naukowcy przewidują, że przejście przez heliopauzę zajmie młodszej bliźniaczce około czterech lat, po czym znajdzie się ona w przestrzeni międzygwiazdnej. Starsza siostra po minięciu Neptuna w 1989 roku (po 12 latach podróży zanotowała tam jednosekundowe spóźnienie w stosunku do wyliczonego przez NASA rozkładu jazdy) również mknie ku granicy i za kilka lat nas opuści. Ich ojciec Edward Stone twierdzi, że nie zatrzyma ich nic i za miliardy lat, kiedy Ziemia już dawno spłonie od słonecznego żaru, bliźniaczki mimo nieczynnych silników i generatorów będą mknąć dalej przez gwiazdy, w nieznaną.

Odkrywcynie

Siostry obserwują i transmitują. Ich oczy to dwie kamery - jedna szerokokątna, druga z teleobiektywem tak dużym, że przy jego pomocy przeczytałbyś ten tekst z odległości kilometra. Aby takim sprzętem zrobić ostre zdjęcie przy słabym świetle dostępnym w przestrzeni kosmicznej, potrzebna jest superstabilność. Dlatego prędkość kątowa sond, z jaką obracają się wokół własnej osi, zredukowana jest do minimum. Obracają się one 30 razy wolniej niż porusza się mała wskazówka zegara. Ich usta to antena transmisyjna nieróżniąca się wiele od dużej (średnica 3,65 metra) anteny satelitarnej. Wysłać sygnał to nie problem, większa sztuka to odebrać go z takiej odległości. Za to odpowiedzialne są uszy na Ziemi - Deep Space Network (DSN), system rozrzuconych po całym świecie anten, radarów i urządzeń odbiorczych. Trzy największe centra DSN (przechwytyjące całą kosmiczną komunikację, nie tylko tę z Voyagerów) znajdują się w Kalifornii, pod Madrytem i w australijskiej Canberze. Są zdolne odebrać sygnał o mocy 20 miliardów razy mniejszej niż ta, która zasila zegarek elektroniczny.

Co do dziś zdążyły zobaczyć i opowiedzieć bliźniaczki? Nad Jowiszem widziały gigantyczny huragan o średnicy trzy razy większej od Ziemi. Na Io, jednym z niezliczonych księżyców Jowisza, odkryły dziewięć aktywnych wulkanów buchających gazami →



Sonda Voyager 1 jest najbardziej oddalonym od Ziemi obiektem stworzonym przez człowieka. Przebyła 16 miliardów kilometrów i pędzi dalej z prędkością 60 tysięcy kilometrów na godzinę

Tłumaczymy obcym, jak kiedyś zdobywaliśmy pożywienie



FOT. ROGER RESSMEYER/CORBIS

Tak przy użyciu sznurka i modeli gwiazd próbowano sobie wyobrazić, jak Voyager mija Saturn; 1985 rok

FILM

Wieś sielska, nieanielska

Czyli pisarz, jego żona, kochanka, ekscentryczny perkusista i dwie nastoletnie intrygantki

WOJTEK KALUŻYŃSKI



Tamara Drewe (Gemma Arterton): ta kobieta ma nosa do pikantnych historii

Tamara i mężczyźni" to komedia. Reprezentuje jednak tę szczególną odmianę gatunku, której Anglikom można tylko pozazdrościć. Przepis na słodko-gorzkie perypetie nie wydaje się zbyt skomplikowany. Ot, zdrowa porcja sarkazmu i czarnego humoru, nieco grzesznej zmysłowości, odrobina konserwatywnego magicznego realizmu rodem z XIX wieku, szczypta anarchystycznego buntu z epoki punku. A wszystko to zaprawione sentymentalnym urokiem brytyjskiej prowincji, gdzie sielskie widoczki i rustykalny klimat bez troski kryją sekrety, namiętności i pragnienia.

W zagubionej wśród łąk i pól wsi Stonefield w hrabstwie Dorset schronisko urządzili sobie początkujący pisarze, a ich gospodarzem jest autor bestsellerowych kryminałów Nicholas Hardiman. Pisze książki tak samo seryjnie, jak cudzołóż, ale i tak wciąż wraca w ramiona za dobrej żony, która opędzi całe gospodarstwo, upiści obiad, poda herbatkę, a na deser upieczone jeszcze najlepsze w okolicy ciasteczka. Czasem wpadną goście na intelektualne rozmowy, ktoś przyjedzie na dłużej szukać natchnienia. Krótko mówiąc: życie płynie leniwe i leniwe. Do czasu, gdy w rodzinne strony przyjeżdża z Londynu zdolna i pończta dziennikarka pisząca o seksie, tytułowa Tamara. Dziewczyna w obcisłych szortach i z pięknie zoperowanym nosem, który kiedyś był przyczyną nastoletnich kompleksów, wywołuje spore zamieszanie. Na nowo wdycha do niej chłopak sprzed lat, traci dla niej głowę perkusista nowofalowej grupy rockowej, a w końcu do jej łóżka ochoczo wskakuje sam pisarz. Galimatias robi się niemilosierny, a oliwy do ognia dole-

wają jeszcze dwie znudzone, zazdrośne i złośliwe nastolatki.

Z komiksu Posy Simmonds Stephen Frears wyczarował coś więcej niż inteligentną satyrę na mentalność zjadacza popkultury i przewrotną pochwałę prowincjonalnej prostoty. Bo tak prosto wcale nie jest. Dawny twórca społecznego, zaangażowanego kina rozpiął swą czarną romantyczną komedię na ciąg scen utrzymywanych w ciągłej równowadze między ciętą kpina z hipokryzji, farsowym wdziękiem a melodramatyczną dezynwoliturą. Mieszając brawurowo poetyki, style i nastroje, udowodnił, że jest mistrzem wielu gatunków, reżyserem z fantazją, polotem i wyczuciem konwencji. Wypełnił przy tym ekran galerią barwnych postaci, a każda z nich, choć ostatecznie dostaje mniej więcej to, na co zasługuje, wyrasta ponad poziom archetypicznej figury mieszcza, intelektualisty, chłopaka z prowincji czy drapieżnej seksbomby. A na marginesie przemycił Frears nawiązania do grzesznego żywota poety Thomasa Hardy'ego – nie trzeba go jednak znać, by znakomicie się bawić.

Cała ta recenzja podszyta jest zazdrością. Że nie u nas, że nie w Białostockiem robi się tak lotne i inteligentne komedie zamiast serialu „U Pana Boga wszędzie”. No, ale Bogiem a prawdą wszędzie się nie da. Bo też znaczną część uroku „Tamary i mężczyźni” tkwi w esencjonalnej brytyjskości, której nie da się tak łatwo podrobić.

„Tamara i mężczyźni”, reż. Stephen Frears, Wielka Brytania 2010, 111', Gutek Film, premiera 5 stycznia

dzieńczych egzaltacji i złudzeń, odnajduje swoją ścieżkę w życiu i sztuce.

Nasuwa się pytanie, czy ubóstwiający przez miliony kinomanów na całym świecie David Lynch nie jest aby hochsztaplerem? Jako człowiek? A może także jako artysta? W każdym razie z pewnością nie należy robić z nim żadnych interesów.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

„David chce odlecieć”, reż. David Sieveking, Austria/Szwajcaria/Niemcy 2009, 96', Against Gravity, premiera 7 stycznia

RECENZJE
MUZYKA



Stolik swój widzą ogromny

Karbido wstają od „Stolika” i zwiedzają budynki. Wrocławskiej ekipie po prostu wszystko gra

JAREK SZUBRYCHT

Rok temu chwaliłem „Cynamon”, drugie wspólne nagranie wrocławskiego Karbido i ukraińskiego poety Jurija Andruchowycza, twierdząc, że to bardziej teatr dźwięku niż płyta z muzyką. No i wpadłem we własne sidła, bo co mam napisać o „Stoliku”?

Oto czterech panów w czerni siada przy stoliku. I nie pęka szkło, nikt nie tasuje kart, nie ma nawet popielniczki. Jest szmer. Stuknięcie. Zgrzyt. Po chwili z niemrawych, pojedynczych dźwięków wyłaniają się dłuższe formy. I jeszcze śpiew. A więc to koncert? Raczej połączenie koncertu ze spektaklem teatralnym i seansem spirytystycznym. W duchu Bogusława Schaeffera, ale też Johna Cage'a i The Residents, choć z bardziej przystępnym repertuarem, bo w tej monolitycznej, godzinnej formie przewijają

się cytaty z The Stooges („I Wanna Be Your Dog”), Krzysztofa Komedy („Sleep Safe and Warm”) czy piosenek, które do poduszki nucą nam babcie („Siała baba mak”). Plemienny, transowy rytym? To też znamy, ale niekoniecznie w tej wystukanej palcami na desce, minimalistycznej formie.

„Stolik” to pozornie statyczne widowisko, bo panowie po prostu siedzą, ale jednocześnie pełne dramaturgii, bo ich gra (w tym aktorska) jest pełna ekspresji, czasem ocierającej się wręcz o groteskę. Niby zabawna mi-



Karbido „Music4Buildings vol. 1, Schomberg Power Station/Guido Coal Mine”, Hermetic Garage



Karbido „Stolik/The Table DVD”, reż. Bartosz Blaschke, Hermetic Garage



Karbido „Music4Buildings vol. 2, Great Synagogue Drokhobych”, Hermetic Garage

niatura, ale z drugim dnem, z możliwością głębszego przeżycia.

Sam stolik, ich instrument, też zwyczajny nie jest – to skomplikowana i pomysłowa konstrukcja, która pod surowym, drewnianym blatem kryje niejedną niespodziankę. Gdyby James Bond nie był agentem Jej Królewskiej Mości z licencją na zabijanie, ale muzykiem z ambicjami, Q zamiast zegarków z bazołą konstruowałby mu takie właśnie stoliki... Karbido są nie mniej pomysłowi niż szaleni naukowcy z zagranicznych filmów. Jeżdżąc po Polsce i świecie z koncertami („Stolik” zadebiutował, zgarniając Grand Prix w offowym nurcie Przeglądu Piosenki Aktorskiej, ale potem zwiędził kawał świata i lepiej znany jest tam niż tu), nie tracą czasu na zakupy i zwiedzanie. Rozstawiają w interesujących obiektach skomplikowaną konstrukcję wydającą i rejestrującą dźwięki (zwaną przez nich Pająkiem)

i nie czekając, aż czas i przestrzeń same do nich przemówią, zapraszają je do muzykowania. Bo seria „Music4Buildings” to coś więcej niż *field recording*, to włączenie elektrowni Szombierki albo synagogi w Drohobycz do wspólnego komponowania, aktywny dialog z duchem i brzmieniem tych przestrzeni. Nic dziwnego, że czasem ma to posmak muzyki industrialnej, innym razem rytualistycznego ambientu, ale zdarzają się i zwarte, rockowe struktury. Ciekaw jestem, czym zaskoczy trzecia odsłona serii, wynik wizyty Karbido i ich mikrofonów w neolitycznych grobowcach pierwszych mieszkańców szkockich wysp.

Zespół, teatr czy kolektyw jajogłowych skaczących z jednego projektu w następny – to bez znaczenia. Najważniejsze, że tak błyskotliwie i utalentowanej grupy nawiązującej dialog z czołówką światowej awangardy chyba jeszcze w Polsce nie było.

Nieprosta historia

Kapitałny dokument o zawiedzionej miłości do Davida Lyncha

Młodemu niemieckiemu reżyserowi o nazwisku David Sieveking udało się nakręcić dokument, który ogląda się jak thriller. Najpierw mamy ochotę... wyjść z kina. Oto bowiem Sieveking we własnej osobie opowiada nam o swojej miłości do Davida Lyncha. Wielbi twórcę ponad wszystko, zna na pamięć jego filmy, podąża jego śladami i w ogóle chce być taki

jak on. „Znowu jakieś wyznania niespełnionego grafomana!” – myślimy i już podnosimy się z fotela, gdy następuje nagły zwrot akcji.

Lynch należy do ruchu (religii właściwie) medytacji transcendentalnej. Sieveking posłusznie wykupuje więc kursowej medytacji i... odkrywa tajemnicze znacznie bardziej mroczne, a także, niestety, znacznie bardziej realne

niż te, którymi mamiono nas w „Mieścieczku Twin Peaks”.

„David chce odlecieć” jest więc dokumentem demaskatorskim, a jednocześnie opowieścią o miłości wystawionej na ciężką próbę. Odstania przerażającą naiwność ludzi Zachodu zafascynowanych „filozofiami” Wschodu, jak również stanowi dzieło inicjacyjne – Sieveking wyrasta z mło-

Blindead w obronie dzieci...

...na płycie nie dla dzieci



Blindead „Affliction XXIX II MXMVI”, Mystic Production

Autokorekta w Wordzie uparcie zamienia mi przymiotnik „post-rockowy” na „postronkowy”. Coś w tym jest, bo przy takim Blindead nic, tylko wziąć sznur i się powiesić... Duszna, mroczna atmosfera albumu dodatkowo wzmacniają sugestywna oprawa graficzna i oryginalny koncept – opowieść o autystycznej dziewczynce porzuconej przez rodziców, zamkniętej nie tylko w pułapce własnego umysłu, ale i w murach odpowiedniego zakładu.

Nie jest wesoło, ale jest dobrze. Nawet znakomicie. Blindead dawno sami wyzwolili się z pułapki nazbyt oczywistych inspiracji i śmiało poczynają sobie na szerokim i wciąż jesz-

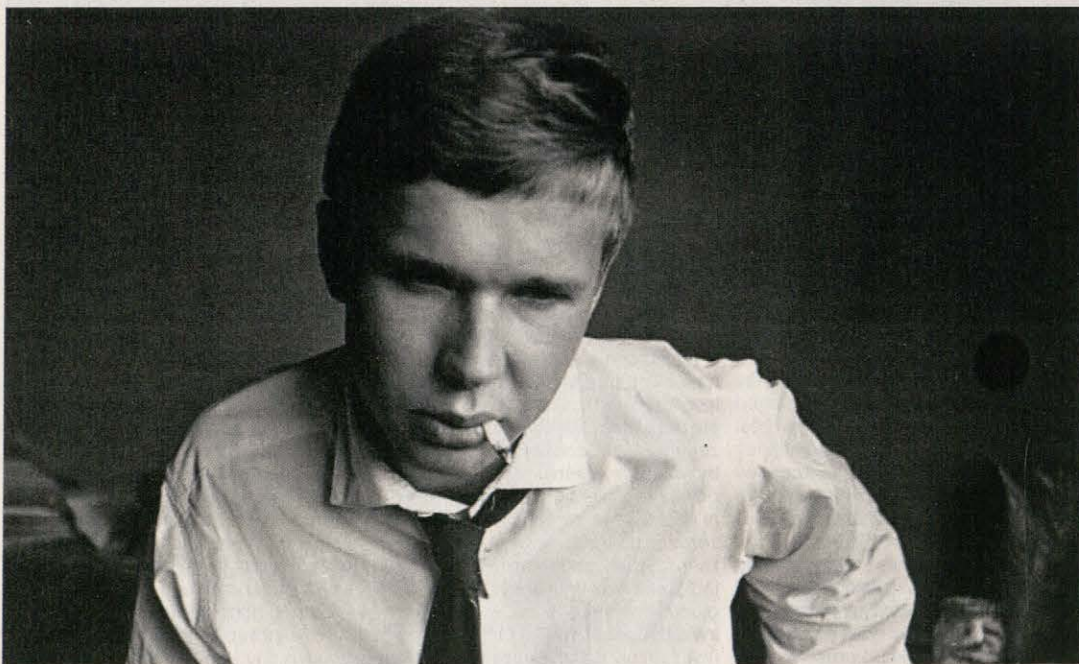
cze nie do końca przeorany post-rockowy poletku. Metalowy punkt wyjścia ich poszukiwań (gitarzysta formacji grał przez dłuższy czas w zespole Behemoth) to spory atut trójmiejskiej grupy. Nie doskwiera im brak samokontroli, jeden z największych grzechów post-rocka; przeciwnie – zespół popisuje się pedantyczną troską o brzmienie oraz surową dyscypliną trzymającą te niekrotkie kompozycje w żelaznych ramach udanych aranżacji. Z drugiej strony jednak nie ma w tym matematyki, są natomiast emocje i zaraźliwe wręcz zaangażowanie. Czyli zupełnie inaczej niż u autystycznych dzieci.

JAREK SZUBRYCHT

Bohater prozą...

...czyli „Sanatorium” Rafała Wojaczka po 40 latach

MARCIN SENDECKI



„Ach, gdybyśmy złapali tego skurwysyna, / co nam ten świat wymyślił” – pisał w wierszu „Lament bohaterów”

Zostało po nim, w chwili samobójczej śmierci niespełna 26-letnim mężczyźnie, kilkadziesiąt wierszy i krótki tom prozy. „Sanatorium” składa się z pięciu części: tytułowej, podzielonej na siedem rozdziałów nazwanych przez autora „Pieśniami”, i czterech próz zatytułowanych kolejno „Na przegu”, „List do Królowej Polski”, „Kto powiedział koniec świata”, „Przez ogień i wodę”.

W „Pieśniach” i „Kto powiedział...” narracja jest trzecioosobowa. Bohaterem jest niejaki Piotr Sobiecki, mimo paru zmyłek niemal jawnie tożsamy z autorem – nosi nawet nazwisko panięskie jego matki. W pozostałych tekstach to ów Piotr sam zdaje sprawę ze swych przygód – przygód poety, wyrzutka, pijaka, chuligana. W „Przez ogień...” wśród kompanów Piotra – ten zabieg stosował Rafał Wojaczek także w wierszach – pojawia się zresztą niejaki Wojaczek, służący narratorowi poniekąd za metryczny wzorzec: „(...) czyż ja wyglądałem na poetę w tym chociażby sensie i stopniu, w jakim wygląda na przykład Wojaczek?” – choć

i Sobieckiemu do miana „poety przekłętego” niewiele brakuje. Sporo jednak brakuje – niestety – pierwszemu (w osobnej książce) wydaniu „Sanatorium”, co jest kompletnie niezrozumiałe, bo teksty kłasyków polskiej poezji wypadająby wydatnie porządnie. Najpierw jednak rys historyczny: w 1970 roku Wojaczek złożył ten tom w Wydawnictwie Literackim. Pisał tam później, pytając o jego losy, ale odpowiedź z odmową publikacji (poszło ponoć o ogólną nieobyczajność i naśladowanie Joyce’a i Faulknera, co jest sądem dość pochopnym) nadeszła – o święta ironio – niedługo po śmierci autora. Fragment „Pieśni czwartej” opublikował w maju 1971 roku krakowski dwutygodnik „Student”, a potem całość – pomijając ingerencje cenzury – znalazła się w 1976 roku w opracowanych przez Bogusława Kierca (który opiekuje się spuścizną po Wojaczku) „Utworach zebranych”. I to było wszystko – aż do dziś.

Tak więc dzięki licznym wydaniom z wierszami (i legendą) Wojaczka jesteśmy za pan brat – jeśli ktoś od-

waża się bratać z dziełem tak radykalnym – ale proza jest prawdziwie legendarna, bo raczej trudno dostępna. Dzięki czemu zapewne czytamy w polskiej Wikipedii, że w „Sanatorium” znajdziemy reminiscencje z pobytu autora w szpitalu psychiatrycznym, co jest wierutną bzdurą. Redaktorem dzisiejszej edycji „Sanatorium” jest także Kierc – i to właśnie jest dziwne, bo na okładce napisano, że uwzględniono w niej „ostatnio odnalezione fragmenty”, ale nie opatrzone książki JAKĄKOLWIEK notą edytorską. Nie dowiemy się więc ani o losach tekstu, ani o tym – jeśli nie dokonamy porównania z „Utworami zebranymi” – jakie to fragmenty odnaleziono i jakie niecenzuralne niegdys drobiazgi przywrócono.

Co więcej, skoro po tylu latach wydaje się prozą Wojaczka, to może warto byłoby – choćby w charakterze aneksu – przypomnieć wszystko, bo w „Utworach zebranych” jest jeszcze trochę zapisów dziennikowych. Wreszcie – zniknęło bez słowa wyjaśnienia motto z Baudelaire’a: „Prawdziwy bohater bawi się sam”,

którego rozwinięciem jest w istocie cała Wojaczkowa proza. Poeta wziął to zdanie z drukowanych w „Twórczości” fragmentów „Mojego obnażonego serca” (w przekładzie Andrzeja Kijowskiego) – i zdaje mi się, że nie tylko to jedno, bo zawarte w „Sanatorium” obszernie (skądinąd ładnie i przekonująco) fragmenty „toaletowe” to przecież nic innego jak rozwinięcie jednego z pomysłów Baudelaire’a („Rozdział o TOALECIE. Moralność toaletowa. Szczęście toaletowe”) przez późnego wnuka z dalekiego kraju.

Który to wnuk – powiedzmy na koniec – świetnie dawał sobie w prozie radę. Wprawdzie Wojaczek chciał, by traktować „Sanatorium” jak poemat, ale chyba zbyt defensywna to postawa – to jest bardzo dobra proza, która oddaje „prozę życia poety” w jego drobiazgowej detaliczności i mozołach, szczerząc się przekornie do czytelnika, gdy (rzeczowo i prawie bez wulgaryzmów) epatuje go cielesnością i niegrzecznością bohatera i gdy kilka stron zajmuje zapis podniesienia się z łózka, przemierzania pokoju czy zorganizowania czegoś do wypicia. A poza wszystkim innym – to jest moja prywatna teoria – „Sanatorium” to swego rodzaju anty-Stachura. Sted występuje w jednej z pieśni jako poetycka gwiazda Toruński, traktowany przez bohatera (i Wojaczka) jako główny rywal w walce o rząd dusz w młodej literaturze. Ówczesny Stachura to także wyrzutek – ale jakże inny. Zmagający się z losem, ale świetlisty, euforycznie sławiący świat i życie samo, udręczony, ale pełen wiary w dobro i piękno. Na co Wojaczek zdaje się odpowiadać: Takiś ty, słońce? Za to cię uwielbiają? To ja publicznie pokazuje, jak się poeta musi natrudzić, żeby skombinować buteleczkę salicylu i kromczkę chleba. Ty bujasz w obłokach, a mnie się nogi pocą i „noc cuchnie gównem”. Ty się zachwycasz życiem, ja się wieszam.

No i pokazał. Patrzmy i uczmy się.



★★★★★
Rafał Wojaczek
„Sanatorium”, Biuro Literackie, Wrocław 2010, s. 136, 44 zł



Adamczyk, Cielecka, Peszek – wszyscy w roli Gombrowicza

Siedmiu z Gombra

Jak Mikołaj Grabowski zmaterializował słynny „Dziennik”

ŁUKASZ DREWNIAK

Spektakl zaczyna się od aluzji do poprzedniej premiery Grabowskiego w Teatrze Imka. Zamiast kapliczki z „Opisu obyczajów III”, czyli świętego namiotu rozbijanego na pustyni w chwilach narodowych klęsk, stoi na scenie płócienne pałowa przebiegająca, a może i wychodek, gdzie czyta się Sienkiewicz i stroi polskie miny. Pojawia się Jan Peszek, najwierniejszy towarzysz przygodz reżysera z Gombrowiczem, i wygłasza passus o chamstwie przerabiającym na swoją modłę cały świat. Grabowski sprawnie użyteczność najbardziej oczywistych antypolskich filipik, znów chce za ich pomocą komentować spory o wielkość i odrębność naszą, o Wawel i „przedmurze”.

Ale bardziej interesujący jest Gombrowicz przerażony pustką rytuałów obcowania ze sztuką, Gombrowicz egzystencjalny, który boi się bólu i starości, testuje swoje miłośierdzie, pożądanie, estetyzm. Grabowski swoim zwyczajem wprowadza do gry gromadę aktorów budujących świat z niczego. Szuka w jędnogłosowym założeniu „Dzienniku” teatralnej polifonii nie tyle osób, ile tonów, charakterów i masek. Zakłada, że w porzrzuconych dramatycznych mikroscenkach Gombrowicz nie widzi innych ludzi poza sobą. Dlatego scena jest prawie pusta, bo poza rozpisany na siedem wcielen wielkim „ja” nie ma świata. Peszek jest Gombrowiczem starym, do którego powraca fascynacja cielesnością młodości. Piotr Adamczyk gra Gombra

dystygnowanie naburmuszonego – piętnowaniem polskiego zakłamania odwracającego uwagę od własnego fałszu. Tomasz Karolak to zagubiony w argentyńskich realiach parobczak zdumiewający się skalą własnej empatii. W Andrzeju Konopce mieszka Gombrowiczowski sarmacki miniar.

A co tu robią kobiety? Magdalena Cielecka wytuskuje z jego tekstów efekt niedotykalnej piękności skonfrontowanej ze światem, który się roztopia. U Iwony Bielskiej w narzekaniach Gombrowicza odzywa się na przemian i gderliwa baba, i hrabina z pretensjami. „Dziennik Rio Parana” zostaje wypiewany niewiarygodnym matowym i śliskim jak sople lodu głosem Olgi Mysłowskiej, sopranistki barokowej i wokalistki grupy Polpo Motel. Grabowski słucha tej przekrzykującej się gromady i odkrywa dla siebie nowego Gombrowicza. Już nie polakożeręć i apologetę człowieka chwilowego, ale przedwcześnie postarzałego pisarza próbującego po raz ostatni pogodzić i nazwać własne sprzeczności. W najlepszych scenach – sądzicie nad zdychającym psem, słowno-fizycznych akrobacjach Cieleckiej nad niedokonanym i niecałkowitym światem, pościgu Peszka za ciemnym czangą – dojmująco materializuje „czarnego Gombrowicza”.

★★★★★

„Dzienniki. Gombrowicz”, adaptacja i reżyseria Mikołaj Grabowski, muzyka Olga Mysłowska, Teatr Imka w Warszawie

REKLAMA

KABARET MORALNEGO NIEPOKOJU

w nowym programie
GALAKTIKOS

ZET SUKCES PRZEKROJ AMIS DZIENNIK GAZETA PRAWNA WR.PL

KABARET JURKI TRASA

ALBUM RODZINNY

BYDGOSZCZ
GDANSK
KATOWICE
KRAKOW
LÓDZ
LUBLIN
KALISZ
OLSZTYN
POZNAŃ
SZCZECIN
TARNÓW
WARSZAWA
WROCLAW
ZIELONA GÓRA

ZNANY!

biletynakabarety.pl

złoteprzeboje DZIENNIK GAZETA PRAWNA ZróbKabaret Copito WR.PL



ŁADNE RZECZY

Nie kop w kalendarz

Szczególnie jeśli numerkom od 1 do 31 towarzyszą piękne zdjęcia

OLA SALWA

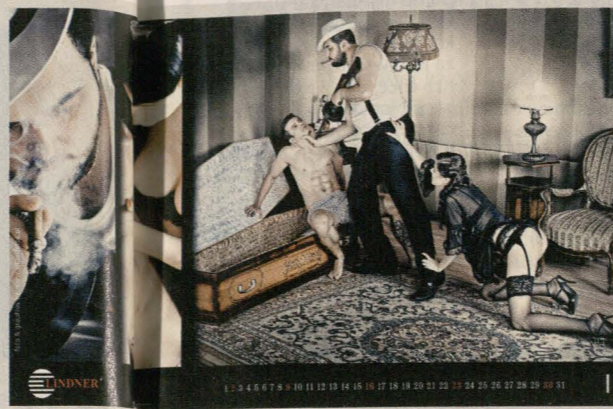
Rok kalendarzowy 2011 zapowiada się bosko. Przynajmniej według Karla Lagerfelda, projektanta i fotografa, który do najnowszego wydania kalendarza Pirelli upozował modelki i modeli na wzór greckich bogów. Po co? Aby nazwa firmy nadal kojarzyła się z pięknymi ludźmi, luksusem oraz potrzebą posiadania. A więc ze wszystkim, co bez kalendarza nam do głowy nie przychodzi, gdy myślimy o oponach do aut, czyli sztandarowym wyrobie Pirelli. Nikomu chyba nie trzeba wyjaśniać, że ten gadżet jest po prostu wyrafinowaną, drogą i pozbawioną wulgarnej dosłowności reklamą, która w wersji popularnej ma postać zdjęcia seksownej dziewczyny zachwycającej się produktem.

Od 1964 roku fotografie do kalendarza robili między innymi Richard Avedon, Terence Donovan, Patrick Demarchelier oraz duet Inez van Lamsweerde i Vinoodh Matadin. Lagerfeld, zdeklarowany ateista, wybrał grecką mitologię jako motyw przewodni, bo tam „na każdą okazję mają innego boga”. Trudno się takiej argumentacji dziwić. W końcu nasza najpopularniejsza religia ma tylko jednego

NO ŁADNIE!

Seks & przemoc

Nie tylko produkty codziennego użytku łaszą się do potencjalnych klientów atrakcyjnym gadżetem. W kalendarzu firmy Lindner modele ubrani (czy raczej roznieglizowani) w stylu czasów prohibicji mają zachęcać do zakupu trumien dyskretnie przemycanych na drugim planie zdjęcia. Pomysł jest ożywczy i rewelacyjny, bo odciąga uwagę od spraw ostatecznych i skłania potencjalnego klienta do skupiania się na przyjemnej doczesności. Czy reklama działa, nie wiemy, bo też przekaz można różnie interpretować: albo że tak wygląda życie pozagrobowe (i że w ogóle istnieje), albo że seks i przemoc wpędzą nas do grobu.



Elegancja placu

Chciałbym być Beatą Kozidrak



MICHAŁ WITKOWSKI

W tym roku chyba po raz pierwszy w historii polskich sylwestrów na rynkach prezydent Wrocławia, gdzie wyszykowano imprezę TVP2, wtrącił się i powiedział, że nie życzymy sobie występu Michała Wiśniewskiego i Mandaryny. Widocznie miasto miało w tej imprezie swoje udziały i mogło się postawić. Bo dotąd wrocławianie tylko słuchali, kto dostał gigantyczne pieniądze z ich podatków. Ich (nas) nikt nie pytał, czy chcemy. Czy nie wolimy tych setek tysięcy wydać na coś innego niż wybuchający w niebo kapelusz Maryli Rodowicz, wzlatującą ku niebu w rakiemie Dodę czy ubranego w podgrzewające majtki Ibisza. I nagle ktoś, w tym wypadku prezydent Dutkiewicz, któremu niech Bóg nagrodzi, mówi: dość, nie życzymy sobie aż tak. To już za dużo. Nie we Wrocławiu. Oby tak dalej!

Nasze zdolności podniecania się efektami pirotechnicznymi i raketowymi są coraz mniejsze, nasze głowy już nie tak chłonne, a nasze zmysły stępione. Co roku musi być mocniej, głupiej i bardziej wystrzałowo, żeby ludzie na mrozie nie ziewali. Mróz winien wybuchających kapeluszy! Przykuć uwagę pijanego ludu na mrozie i bez miejsc siedzących (a kiedy siku się chce, to człek nie ustoi), to nie tak łatwo jak wtedy, gdy sobie wygodnie siedzimy w ciepłe letnie noce w Opolu. Dlatego tam tak nie wybucha, a tu – jak najbardziej. Jak zwykle nasuwa się pytanie, do czego dojdzie, co będzie punktem, od którego już się nie da bardziej? I gdy, powiedzmy, w sylwestra 2050 dojdzie do wielkiego pożaru, ponieważ główna gwiazda zażyłszy sobie splotać na scenie, czy spowoduje to powrót do asce-

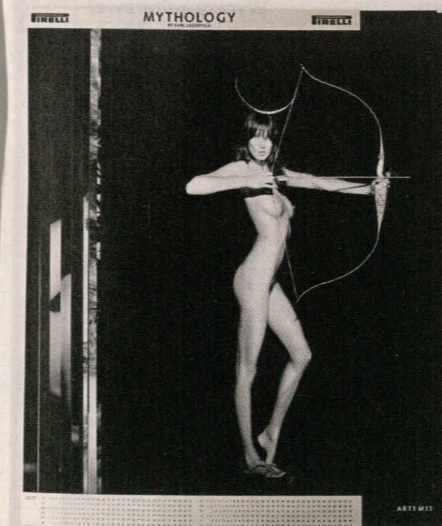
zy? Niczym w latach 70. skromnie ubrana pani będzie stała i ładnie śpiewała dobrą piosenkę? I czy *veto* prezydenta Dutkiewicza to pierwsza oznaka znużenia?

A na razie udziela się, nawet mnie się udziela, podniecenie. Bo pisząc to, nie wiem jeszcze, jak powitamy rok 2011. Jakimi fajerwerkami? Czy lepsza będzie Dwójka we Wrocławiu, czy Polsat na placu Konstytucji w Warszawie? I komu kibicować, kiedy się mieszka w obu miastach? Zresztą, co tam lepsza! Lepsość nie ma tu nic do rzeczy, bo musiałyby być jakieś kryteria oceny. Może bardziej szalona? Bo nie elegancka. Kiedyś na sylwestra miało być „elegancko” i „czarownie”. Za elegancję odpowiadały fraki i długie suknie, za nastroj „czarowności” – mgły, dymy, czerwone światła i cała reszta dansingowego kramu przesywającego nas tanim, elektrycznym dreszczem. To się zmieniło. Już nie jest ani ładnie, ani elegancko, ani czarownie. Będzie za to dużo półnagich, umięśnionych tancerzy typu „polsatowe ciacho”, będą rakiety, ogień i bicze wodne. Beata Kozidrak i Maryla Rodowicz jak co roku od dziesięcioleci zaśpiewają swoje stałe przeboje. Swoją drogą, czy w Rosji Ała Pugaczowa co roku w sylwestra śpiewa „Milion róż”? Czy na rynku w Pradze co roku występuje Vondráčková? Każda z nich ma swój przebój w stylu „Niech żyje bal”, niektóre mają nawet po 10 i więcej. Ale myślę, że żądza igrzysk Polaków jest chyba jednak większa niż naszych sąsiadów. Mówię na wyczucie i znając Polaka w sobie. Ponieważ kibicuję jednak Wrocławowi, łapię się na tym, że chcę, aby pobił Warszawę. Tam niech się nie uda, a u nas niech będzie szal! I to bez Wiśniewskiego, bez Mandaryny! Niech oni wystąpią w Białymstoku, w Ostródzie.

Chciałbym być Beatą Kozidrak. Bez wątpienia jest to los do pozazdrosczenia. Bez prób, bez uczenia się tekstu, bo toż piosenki znane i śpiewane od lat, „zarobi milion w 15 minut”. Nie wiem, może pół miliona. Nieistotne. Nie pamiętam sum z tabloidów i Pudelka. Wyobrażam sobie za to zawsze siebie jako Beatę Kozidrak, jak śpiewam „Szklankę wody”, a potem na wrocławski rynek podlatuje samolot, ja wsiedam i odlatuję sobie za tę kasę do ciepłych krajów. ●

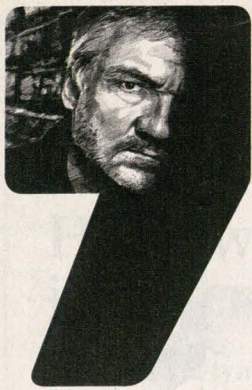


Rozpuść, *dolce far niente* i życie jak z bajki obiecuje nam kalendarz Lavazza w obiektywie Marka Seligera



Zamiast 12 kartek mamy u Pirelli metalową ramę i 365 numerków. Dzięki temu jeśli jakieś zdjęcie ci się spodoba, możesz je oglądać cały rok

rys. Katarzyna Leszczyć-Sumińska na podstawie zdjęcia Marcina Łobaczewskiego/Newspix.pl



Moje zaćmienie inny wymiar miało i czegoś bezbrzeżnie odmiennego i milion razy od stanu wojennego ważniejszego tyczyło. I o jasność i światłość mi szło, nie o ciemność i czerni. Kompletny jednak zator, zupełnie jak wtedy, gdy nie mogłem sobie przypomnieć, jak miał Bruno Schulz na imię

16 GRUDNIA

Kłopoty z pamięcią, a może nawet ze świadomością, narastają. Mózg rusza tropem rąk i dygotać zaczyna? Chyba ze śmiechu. Kłopot w tych dniach miałem taki, że przez ładnych parę godzin nie byłem sobie w stanie uświadomić, z czym mi się kojarzy 13 grudnia. Co to za data? Co się w ten dzień zdarzyło? A może dalej zdarza? Przy czym wiem: nie marginalne, lecz wiekopomne jest czy było to wydarzenie! Pod czaszką jednak ciemność.

Ach nie, nie to, co myślicie – aż tak odklejony ani aż tak „dowcipny” nie jestem. Fundamentalna czerni tej daty, krwawa poświata tej daty, cmentarna wstęga tej daty glob opasała dokumentnie i wszechogarniająco; wszyscy na świecie wiedzą, że 13 grudnia roku pamiętnego but żołdacki, chyba generalski, zdeptał to, co dla Polaków najświętsze – ich wolność mianowicie.

Stan wojenny, *mon amour*. W walce wszyscy brali udział, nawet szwadrony bezlitosnych i lubujących się w okrucieństwie przedszkolaków komunę gromiły. Cały naród się dźwigał, co było owszem skuteczne, ale zasługi dewalowało; zomowiec pałą machnął i zawsze kogoś trafił, bo tłumy były wszędzie. System był zgnilizną i jego obalanie było obalaniem zgnilizny – zajęcie mało efektowne, a pod względem heroizmu kontrowersyjne.

Tak czy owak, pytać, z czym się kojarzy data 13 grudnia, i mieć na myśli czarną noc stanu wojennego, to by była nie tylko ignorancja, nie tylko wielka niestosowność, nie tylko gruba nieprzyzwoitość, ale i swoiste naruszenie tabu. Pytać o datę stanu wojennego w Polsce to trochę tak, jakby pytać o datę urodzin Pana Jezusa. Zaden alzheimer tego nie usprawiedliwi.

17 GRUDNIA

Nieomal rozpisałem się o epoce Jaruzelskiego – taka tej epoki cecha: wjedziesz w ten świat jednym słowem, a on bez umiaru zaczyna cię osaczać i przed głoszeniem jakichś prawd, a nawet banialuk nierozstrzygniętych, za to setki razy wte i wewte wałkowanych, nie chroni.

Zupełnie inny był mój kłopot. Moje zaćmienie inny wymiar miało i czegoś bezbrzeżnie odmiennego i milion razy od stanu wojennego ważniejszego tyczyło. I o jasność i światłość mi szło, nie o ciemność i czerni. Kompletny jednak zator, zupełnie jak wtedy, gdy nie mogłem sobie przypomnieć, jak miał Bruno Schulz na imię.

Rzecz oczywista: 13 grudnia, ale co pod spodem, a raczej wyżej, nieskończenie wyżej? W końcu jednak ulga, i to jaka ulga! Ktoś kiedyś napisał, że nieuchronne z wiekiem sklerotyczne jakieś dolegliwości mają jedną, za to niebagatelną zaletę – męczarnie niepamięci straszliwe, ale jak sobie wreszcie przypomnisz, ulga jest jak orgazm.

Przypomniałem sobie: 13 grudnia – imieniny Łucji, Dzień Świętej Łucji, Święto Światła. Co to za impreza, wie chyba każdy, o Szwedach nie wspominając. I cóż, że ze Szwecji? Tam właśnie jest to podobno gigantyczne święto. Większe od wszystkiego, choć od Wielkiego Piątku – mam nadzieję – nie. W końcu na luterskich jesteście terytoriach i tak nisko, by Wielki Piątek czy Pamiątkę Reformacji przebijając jakąś nawet bardzo fajną świętą, chyba szwedzkie lutry nie upadły? Państwowa to jest sprawa? Chyba tak, ale głowy bym nie dał – w tym ewangelickim rajku rozmaite i o rozmaitym wymiarze kraksy się zdarzają. Jakie ściśle? Mniejsza z tym. Sam fakt, że „święta Łucja” w wytrzebionej ze wszystkich świętych protestanckiej rzeczywistości kluczową rolę, i cóż z tego, że raz do roku, odgrywa, wystarczający popłoch budzi.

W każdym razie święto, a i widowisko wielkie – kostiumy najważniejszych postaci też nie w kij dmuchał – młodziutkie Szwedki w długich białych koszulach, ze świetlistymi, z zapalonych świec uczynionymi koronami na blond włosach od domu do domu chodzą i pięknie śpiewają.

Często bywa tak, że śpiewają laureatom Nobla, którzy mniej więcej w tym właśnie czasie do Sztokholmu na ceremonię wręczenia wiadomych dyplomów i wiadomych medali

przybywają. Czy uroczę koledniczki wszystkich noblistów nawiedzają, nie wiem, do literackich włązą na pewno; jest to i z hotelową obsługą, i z telewizją ustalona pradawna tradycja – potem świat obiegają filmiki ukazujące spłoszonego laureata w pościeli. Przeważnie dobrą minę do niezapowiedzianej wizyty usiłuje on czy ona robić, niekiedy zdarzają się rzeczy barwniejsze. Podobno William Faulkner, który z wielkimi oporami i – delikatnie mówiąc – w nie najlepszej formie po odbiór nagrody przybył, o bładym świecie, widząc stojącą przy łóżku gromadę białych duchów z płomykami na głowach, przeraził się i pomocy wzywał – był pewien, że ma atak delirium. Prawda? Nieprawda? Szczerze mówiąc, w żadnej biografii potwierdzenia anegdoty nie znalazłem – tym większa jej lekkość.

18 GRUDNIA

W naszej starej chałupie święta Łucja była świętą od pogody, i to pogody całorocznej. Jak łatwo wyliczyć, od Łucji (z Łucją włącznie) do Wigilii jest równo 12 dni i pogoda w te dni panująca jest dokładnym odbiciem, wróżbą i przepowiednią pogody, jaka w kolejnych miesiącach nadchodzącego roku panować będzie. Jeśli na przykład w dzień po Łucji mróz, znaczy to, że w lutym też będzie zimno, jeśli w szóstym dniu po Łucji śnieg sypie, w czerwcu deszcze luną, jak w jedenastym dniu mgliście, to mgły w listopadzie itd., itp. Proste? Nie ma rzeczy prostszej, tym bardziej nie ma, że prorocki obrządek w swej prostocie tajemnicy nie traci.

Brat matki Adam – postać na wskroś tragiczna – dopóki był z nami, klimaty kolejnych grudniowych dni w specjalnym zeszycie nie bez literackiego zacięcia zapisywał i nadchodząca przyszłość była wiadoma. Pogoda, ten żywioł bezkarnej nieraz swawoli Pana Boga, okiełznana została – mniej więcej było wiadomo, jaki będzie kwiecień, jaki wrzesień.

Skąd ten obyczaj pochodził? Nawet najstarsi wiślańscy starzykowie nie pamiętają. Na to, że pochodził z Biblii albo z pism Marcina Lutera, raczej nie wygląda. Zdaje mi się, że kiedyś to i owo wiedziałem – teraz muszę się skupić – trochę to potrwa. A zeszyt ze spisywanymi meteorologicznymi podszeptami – niech będzie – świętej Łucji przepadł, rzecz jasna, bez śladu; nawet jak przyjdzie je pisać na nowo, to już to samo nie będzie, to będzie zupełnie co innego.

Amerykanin w Warszawie

Historia Julienu Bryana, jedynego zagranicznego reportera w polskiej stolicy oblężonej przez Niemców we wrześniu 1939 roku

KUBA DĄBROWSKI



FOR: ARCHIWUM IPN/KOLEKCJA JULIENA BRYANA W WARSZAWIE

Pierwszy września 1939 roku. Amerykański reporter pracuje w Holandii, gdzie robi materiał o życiu tamtejszych dzieci. Kiedy dociera do niego wiadomość o wydarzeniach na Westerplatte, rzuca wszystko i jedzie do Polski. Był tam już wcześniej, bardzo polubił Polaków budujących niepodległość między dwoma mocarstwami. Po siedmiu dniach, jadąc pociągiem przez Rumunię, tuż przed zamknięciem miasta przez hitlerowski kordon dociera do Warszawy.

Bombardowana stolica funkcjonuje jeszcze w miarę normalnie. Gdziekolwiek straszą leje po bombach, szyby są zaklejone taśmami, ale tramwaje jeżdżą według rozkładu, a reporter bez trudu znajduje pokój w hotelu. Bryan nie może jednak, ot tak sobie, zacząć fotografować – jako obcokrajowiec zostałby wzięty za szpie-

ga. Przez amerykańską ambasadę dociera do prezydenta miasta Stefana Starzyńskiego. Okazuje się, że w oblężonej Warszawie Bryan jest jedynym zagranicznym dziennikarzem. Starzyński przydziela mu więc tłumacza, żołnierza do obstawy i samochód z kierowcą.

Julien Bryan nie jest reporterem wojennym. Zbombardowane szpitale i kościoły, kolejki po chleb ostrzeliwane z karabinów maszynowych... Amerykanin wie, że nie jest w stanie objąć obiektywem całości wydarzeń. Koncentruje się zatem na ludzkich historiach. Robi portrety, fotografuje i filmuje codzienne życie w obliczu tragedii. Zwraca uwagę na detale. „Matka siedziała na ziemi, obierając ziemniaki. 17-letnia dziewczyna znalazła lustro i malowała się, stojąc przy ruinach jej domu. Dwaj mali chłopcy czytali niedzielny dodatek z pol-

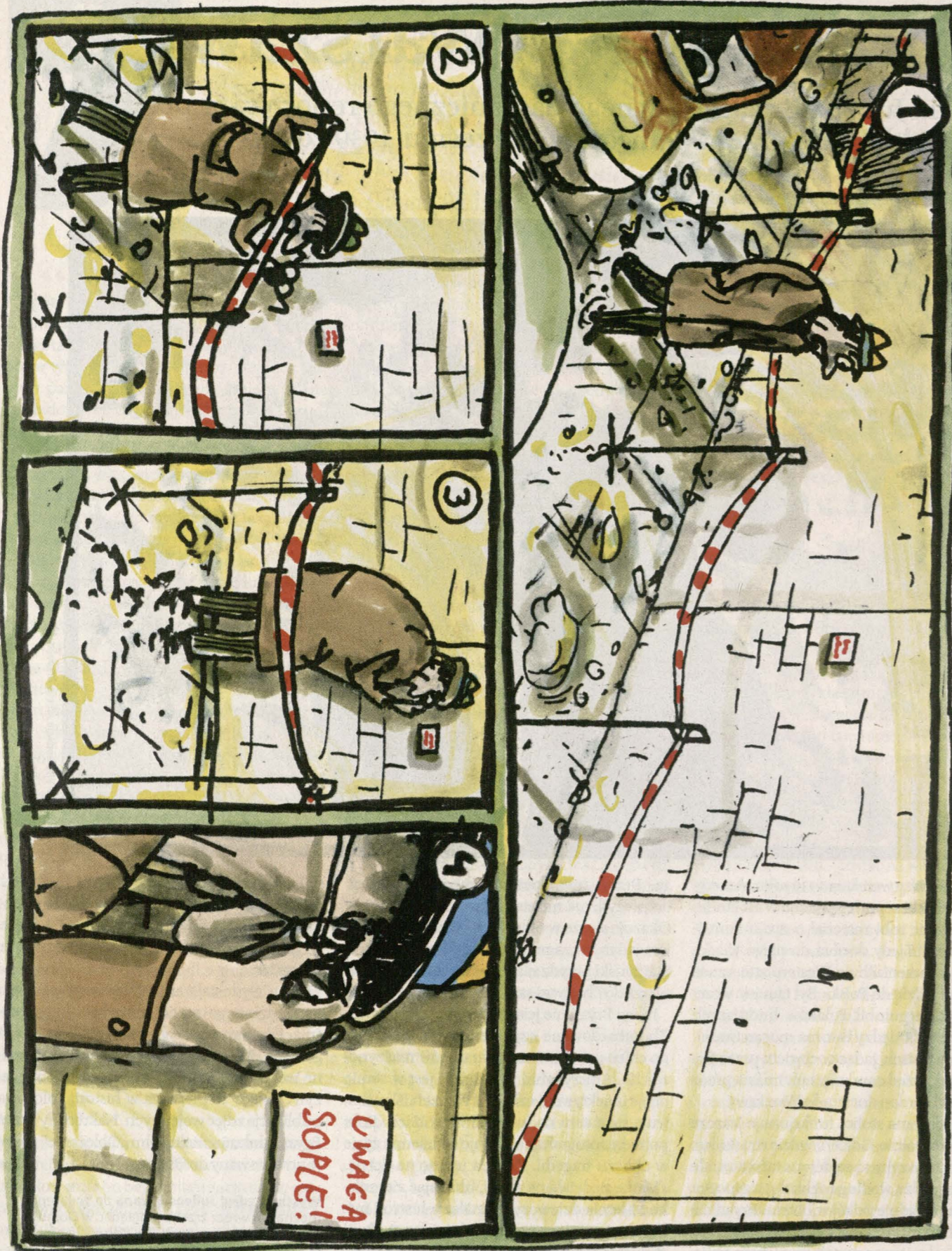
skim wydaniem przygód Myszkki Miki. Pośród ulicy leżało 14 zabitych koni (...). Siedem metrów od koni leżały zwłoki 10 ludzi” – pisze w notatniku o zbombardowanym domu na Pradze.

Bryan wydostaje się z Warszawy podczas trzygodzinnego zawieszenia broni 21 września. Filmy wywozi schowane w filtrze maski gazowej. Miesiąc później kadry pokolorowane według jego wskazówek publikuje magazyn „Look”. To pierwsza w historii kolorowa publikacja zdjęć wojennych. Nakręcony przez Bryana dokumentalny film „Oblężenie” zostanie nominowany do Oscara.

Wystawę zdjęć Julienu Bryana do 20 lutego można – a wręcz trzeba – oglądać w Domu Spotkań z Historią przy ulicy Karowej 20 w Warszawie. Wstęp wolny.

rys. Katarzyna Leszczyńska-Sumińska na podstawie zdjęcia Bożysława Krezla

Szukaj w kioskach



R A Z J E S Z C Z E R A C Z K O W S K I



POZNAJ DRUGIE OBLCZE NOWEGO VOLVO S60. POCZUJ EMOCJE PODCZAS SPORTOWEJ JAZDY. PRZEKONAJ SIĘ, Z JAKĄ ŁATWOŚCIĄ TRZYMA SIĘ DROGI. A KIEDY KTOŚ NAGLE WYSKOCZY NA JEZDNIĘ, TWOJE VOLVO SAMO SIĘ ZATRZYMA, DZIĘKI PRZEŁOMOWEMU UKŁADOWI WYKRYWANIA PIESZYCH Z FUNKCJĄ PEŁNEGO AUTOMATYCZNEGO HAMOWANIA – BO PRAWDZIWA NATURA VOLVO TO DBAŁOŚĆ O BEZPIECZEŃSTWO TWOJE I INNYCH. JEŹDZISZ VOLVO S60, **BO WIESZ, ŻE ŻYCIE TO COŚ WIĘCEJ.**



NOWE VOLVO S60 JUŻ OD 110 800 ZŁ Z VAT

W zależności od wersji silnika zużycie paliwa w cyklu mieszanym wynosi od 5,3 do 9,9 l/100 km, emisja CO₂ od 139 do 231 g/km.

UMÓW SIĘ NA WYJĄTKOWĄ JAZDĘ TESTOWĄ

WWW.VOLVOCARS.PL LUB 502 286 586

VOLVO CAR FINANCIAL SERVICES – KREDYT, LEASING, UBEZPIECZENIA

Volvo. for life

